

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 172.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1883.

SERYA V.

Październik.

TOM IV. — ZESZYT X.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

— 55 —

Ukończono druk dnia 4 października 1883 r.

T R E Ś C.

stron.

I. Stanisław hr. Wodzicki, prezes senatu b. Rzeczypospolitej Krakowskiej. (Przyczynek do dziejów Krakowa, 1815—1830). Napisał Mieczysław-Krzywosąd Kępieński.	1
II. Z Wiednia do Pesztu i Białogrodu. Przez Eugeniusza Lipnickiego.	26
III. O kierunkach nowszej literatury polskiej. Przez Władysława Nehringa.	54
IV. Odsiecz Wiednia. Obraz dramatyczny w pięciu aktach, z prologiem i epilogiem. (Nagrodzony pierwszą nagrodą na konkursie w Krakowie, ku uczczeniu 200-letniej rocznicy oswobodzenia Wiednia). Napisał Wincenty Rapacki. (Dok.).	72
V. Obraz ekonomiczno-statystyczny archidiecezyi gnieźnieńskiej w XVI wieku. Przez Stanisława Marońskiego. (Dalszy ciąg).	96
VI. Korespondencya do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. XVII walne zgromadzenie członków galicyjskiego Towarzystwa pedagogicznego w Stryju. Przez W. Mrawskiego.	121
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
W sprawie gimnazyów galicyjskich. (Dr. Leon Kulczyński: Wykształcenie nauczycieli gimnazjalnych. Lwów, 1883. — Prof. Michał Bobrzyński: W sprawie naszych gimnazyów. Rzecz pomieszczona w wrześniowym zesz. „Przeglądu polskiego” z roku 1883). Przez Michała Chylińskiego.	130
Klemens Kantecki: „Szkice i Opowiadania.” Poznań, u J. Leitgebra, 1883. Przez I.	139
„Poètes grecs contemporains,” par Juliette Lamber. Paris, 1881. Przez J. A. Święckiego.	143
VIII. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. —	
Akt zamknięcia roku szkolnego w Uniwersytecie Warszawskim (149). —Przepisy rządowe o guwernerach i nauczycielach domowych w Król. Pol.—Uroczystość koronacyi obrazu Matki Boskiej w Krakowie (151). —Nowe gimnazjum „Jana III” w Krakowie. —Projekt d-ra. Zyblkiewicza rozszerzenia oświaty ludowej w Galicyi (152). —Egzamin w szkole krawiectwa w Warszawie (154). —Odkrycia archeologiczne w Azji Mniejszej p. M. Sokołowskiego. —Sprawozdanie z piśmiennictwa polskiego na polu nauk przyrodzonych. —Medal na cześć Króla Jana III (155). —Pamiętki po Królu Janie III na Szlązku (156). —Wspomnienie o Janie Turgeniewie (157). —Sprawozdanie sądu okręgowego warszawskiego (158).	149 — 158
IX. Nekrologia: Ś. p. dr. Stanisław Kościński.	160

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 172.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1883.

—————

Tom czwarty.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA BERGERA,
ulica Elektoralna. Nr. 14.

—
1883.



Ос. II 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Сентября 1883 года.

STANISŁAW HR. WODZICKI,

PREZES SENATU B. RZECZYPOSPOLITEJ KRAKOWSKIEJ.

(PRZYSZYNEK DO DZIEJÓW KRAKOWA, 1815—1830).

NAPISAŁ

Mieczysław-Krzywosąd Kępieński.

Felix qui potest rerum cognoscere causas.
Virgil.

Od r. 1812 do r. 1815, od klęski Napoleona pod murami Moskwy i decydującej przegranej pod Lipskiem, do oblężenia przez sprzymierzonych Paryża, wypadki polityczne i wojenne następowały po sobie z szaloną szybkością; niedługo miała się zakończyć ta walka: „monarchia wojskowa bez przeszłości i przyszłości, będąca na łasce kuli działowej”¹⁾, pierwsze cesarstwo zważyło się w gruzy; Napoleon po abdykacji wywieziony na Elbę, a w Wiedniu zgromadzeni na kongresie monarchowie i dyplomaci, radzili nad świeżem zakreśleniem granic krajów na zrujnowanej dawniej karcie Europy.

Księztwo Warszawskie, utworzone przez Napoleona 1807 r. traktatem Tylżyckim, rozszerzone w r. 1809 pokojem w Schönbrunn zawartym, traktowane jako zdobycz po upadłym cesarzu Francyi, miało być na nowo rozdzielone między trzy mocarstwa. Jakkolwiek co do granic niewielki, a co do ludności i zasobów ubogi kraik Księztwa Warszawskiego, był na przecieź powodem długich zatargów, zabiegów i sporów, nieuzasadnionych pretensyi i roszczeń; chodziło przedewszystkiem o to, czy ma się dostać pod berło cesarza Aleksandra w całych swych granicach, czy Austria i Prusy mają także wziąć pewien udział w tym spadku. Ostatnie godziły się na oddanie całego Księztwa w ręce cesarza Wszechrosyi, pod warunkiem aneksyi Królestwa sa-

¹⁾ Adolf Thiers, *Historya konsulatu i cesarstwa.*

skiego; polityka Austrii, Anglii i Francji obawiała się puszczać potężnego władzcę Północy za Wisłę, niemal w środek Europy, a przytém legitymistyczne dwory Bourbonów i Habsburgów nie chciały pozbawiać tronu Saksonii, najstarszego domu z rodzin panujących. Między zgromadzonymi na kongresie, jako naczelnik koalicji, był, rzec można, dyktatorem cesarz Aleksander, młody, pełen siły, potęgi i blasku; potęga ta Rosyi niepokoiła wspomniane trzy dwory, aby ją więc sparaliżować i powstrzymać w wzroście, podjęły zjednoczone gabinety kwestyą polską w bardzo obszernych granicach; późniejsze badania wykazały, ile ten manewr był szczerym, a jak dzisiaj, obmyślanym jedynie na uratowanie Saksonii, którą cesarz Aleksander gotów był poświęcić królowi pruskiemu, by w zamian otrzymać w całych granicach Księstwo Warszawskie, przyległe prowincjom należącym do Rosyi. Ale, myśl zaboru państwa najwierniejszemu z sprzymierzeńców cesarza Napoleona nie mogła pogodzić się z polityką dworów, broniących monarchicznój zasady. Castlereagh otrzymał najsurowsze polecenia, aby przedewszystkiém starał się o utrzymanie na tronie panujących dynastji; cesarz Franciszek chociaż trwożliwie—pobrząkiwał szpadą w obronie zagrożonego sąsiada: nieporozumienia i spory dochodziły do namiętnój zapalczywości, a sprzymierzeńcy stawiali na ostrzu miecza kwestyą Księstwa Warszawskiego. Miłujący pokój Aleksander I, pomimo całej potęgi i wpływu, ustąpił od pierwotnego planu, oddając część Księstwa Warszawskiego pod berko króla Fryderyka z nazwą W. Ks. Poznańskiego, w zamian za utraconą Saksonią, a zachęcony podobnym ustępstwem gabinet księcia Metternicha, zażądał w nocie do hr. Nesselrode współudziału w tój smutnój sukcesji, t. j. przydzielenia dla cesarza Austrii Krakowa z okregiem, od granicy szląskiej aż po rzekę Nidę. Gdy temu żądaniu hr. Nesselrode grzecznie, ale kategorycznie się sprzeciwił, rozpoczęły się targi ze strony austriackiego gabinetu, który ograniczył swoje żądania już tylko do Krakowa i „stosownego” okręgu, a gdy i to żądanie napotkało opór ze strony rosyjskiój, stawia ks. Metternich jeszcze raz warunki w nocie do ks. Hardenberga, żądając tylko samego Krakowa i pozwolenia zamienienia miasta na warownią. I na to nie zezwolił hr. Nesselrode. Gabinet więc austriacki, spuszczać coraz więcej z tonu, odstąpił od ostatniego żądania, chcąc tylko przy samym Krakowie pozostać.

Gdy się w Wiedniu odbywają te narady i targi, Napoleon wylądował w Cannes (20 marca 1815) i w kilkunastu dniach przebywszy Francją, gromadząc wojsko po drodze, stanął w Paryżu, witany z zapalem przez ludność stolicy. Zdeponowana dynastia Burbonów ucieka, a genialny Korsykanin staje na czele dawnych towarzyszków broni, by się upomnieć o prawa mieczem zdobyte. Pod grozą zbliżających się, a niespodziewanych wypadków, przestraszone mocarstwa skłonniejsze były do zgody; pomimo to w kwestji polskiej nie mogło przyjść do porozumienia i byłaby może pozostała w zawieszaniu, gdyby imperator nie był przeciał gordyjskiego węzła. Wziąwszy

ster układów w rękę, tworzy z pozostałości Księstwa Warszawskiego Królestwo kongresowe polskie z odrębną konstytucją, Austrii przydziela kilka obwodów do Galicji, z dodatkiem żup solnych w Wieliczce i Bochni, z Krakowa zaś i jego okolic stwarza „ściśle neutralną Rzeczpospolitą“ pod protektoratem trzech dworów gwarantujących, Austrii, Prus i Rosyi.

Tak więc Rzeczpospolita krakowska, którą się bliżej zająć zamierzamy, była pod względem politycznym i terytoryalnym wynikiem kompromisu cesarza Aleksandra z Austrią i Prusami, stworzona dobrą wolą rosyjskiego władcy, wskutek inicjatywy ks. Adama Czartoryskiego.

Traktat zawarty między trzema państwami: Austrią, Prusami i Rosyą, dnia 3 maja 1815 r., podpisany przez Wacława Lothaire, ks. Metternicha, ks. Hardenberga i hr. Andrzeja Romanowskiego, rozpadł się na trzy części: pierwsza mianowicie między Austrią i Rosyą, druga między Prusami i Rosyą, dotyczyły podziału W. Księstwa Warszawskiego na W. Ks. Poznańskie i Królestwo Kongresowe, jakoteż przyłączenie kilku obwodów Księstwa do Galicji; trzecia zaś część, tak zwana „dodatkowa,” która nas tutaj najwięcej obchodzi, odnosiła się do Rzeczypospolitej krakowskiej. Na podstawie tego traktatu „dodatkowego” uznanym został Kraków, jako miasto „wolne, niepodległe i ściśle neutralne” z okręgiem (którego granice określimy zaraz), obdarzony tytułem Rzeczypospolitej, z gwarancją niezależnego bytu politycznego „po wieczne czasy pod protekcją trzech dworów kontraktujących” (Artykuł I: Traktat dodatkowy).

Granice Rzeczypospolitej zakreślał artykuł II Traktatu dodatkowego w sposób następujący:

„Okręg wolnego miasta ma mieć za granicę na lewym brzegu Wisły linią, która, zaczynając się od wsi Wolica przy ujściu strumienia, który przy tej wsi wpada do Wisły, pójdzie w górę tegoż strumienia przez Cło, Kościelniki, aż do Czulic, tym sposobem, że te wsie należące będą do okręgu wolnego miasta Krakowa. Ztamtąd idąc wzdłuż granicami wsi, linia prowadzoną będzie przez Dziekanowice, Garlice, Tomaszowice, Karniowice, które również pozostaną w okręgu wolnego miasta Krakowa, aż do punktu, gdzie się poczyna granica odłączająca powiat Krzeszowski od Olkuskiego. Dalej taż linia ciągnąc się będzie granicą brzegiem wspomnianych dwóch powiatów, aż do granicy Szlązka pruskiego.”

„Najjaśniejszy cesarz Austrii, chcąc ze swojej strony przyczynić się do ułatwienia związków handlowych i dobrego sąsiedztwa między Galicją i wolnym miastem Krakowem, nadaje nadbrzeżnemu miastu Podgórz na wieczne czasy przywileje wolnego miasta handlowego, jakich używa miasto Brody. Ta wolność handlu rozciągać się będzie do obwodu pięciuset sążni, poczynając od rogatek przedmieść miasta Podgórza. Wskutek tego wieczystego pozwolenia, które jednakże nie

ma naruszać praw Jego Ces. Kr. Apostolskiej Mości, komory celne ustanowione będą ze wspomnianym obwodem. Nie będzie w nim również żadnego zakładu wojskowego, mogącego zagrażać neutralności wolnego miasta Krakowa, lub utrudniać wolność handlu, którego używanie Jego Ces. Kr. Ap. Mość dla miasta i obwodu Podgórze dozwala" (Art. III).

Oto są dwa najważniejsze punkta traktatu dodatkowego, gwarantujące Rzeczypospolitą krakowską niezależność granic jej szczupłego terytorium, poręczające wolność handlu dla miasta, mającą być na późniejszej drodze źródłem ekonomicznego rozwoju i prawdziwego bogactwa narodowego dla tego małego kraiku; nie przytaczamy innych punktów traktatu, których jest 19, częścią dlatego, że i tak w dalszym ciągu tej pracy przyjdzie nam o ważniejsze potrącić, częścią zaś, że są to punkta czysto formalne i zwykłe przy wszystkich podobnych konwencyach.

Niebawem ukazała się i konstytucja dla wolnego miasta Krakowa, konstytucja zagwarantowana przez trzy dwory opiekuńcze, w moc jednak artykułu VII wspomnianego traktatu, każdy z dworów zsyłał zastępcę w osobie komisarza, który wspólnie z trzema obywatelami miejscowymi, wybranymi przez mocarstwa protegujące, tworzyli tak zwaną komisją organizacyjną, o której wspomnimy później obszerniej, gdyż w życiu politycznym Krakowa odegrała ona niemałą rolę, a pracując przez lat trzy, miała dać podstawę organizacji bytu politycznego i administracyjnego Rzeczypospolitej; tutaj jednak wypada nadmienić, że liberalne zasady organizacji, na jakich Rzeczpospolita urządzić się miała, były pomysłem cesarza Aleksandra I, rozwiniętym i zredagowanym w ogólnych zarysach przez księcia Adama Czartoryskiego.

Nieprzyjaźnie usposobione dwory były wprawdzie zmuszone ustąpić nieugiętej woli potężnego sprzymierzeńca i zgodzić się na samodzielną organizację Krakowa i jego okręgu, podstępnie jednakowoż wyjednały dodatkowy artykuł konwencji, mocą którego ogólne zasady organizacji, zredagowane przez księcia Adama, mają być rozwinięte na miejscu, przez zesłanych komisarzy wszystkich trzech dworów opiekuńczych i rozstrzygnięte prostą większością głosów, wejść jako prawo w życie. Z góry więc już obliczono, że dwaj komisarze: austriacki i pruski, zgodnie i w porozumieniu działając, wobec jednego tylko rosyjskiego, zwykłą większością głosów sparaliżują najlepsze chęci i zamiary. Nie trudno więc osądzić, że już nad kolébką małej Rzeczypospolitej krakowskiej czyhała zła wola, że już wtenczas siano ziarno zguby, które rzeczywiście w dalszym rozwoju małego kraiku, przy ciągłej demagogicznej opozycji i wskutek niej wynikłych rozruchów, wybujało w bogaty plon i było powodem smutnych zajęć, rozterek, upadku, a w końcu całkowitej zguby Rzeczypospolitej krakowskiej.

W dniu 3-go maja 1815 roku, powołany został do samoistnego bytu politycznego Kraków, wraz z swoim okręgiem, a kiedy

poczęto stawiać tę kruchą budowę i nim jęj dano trwalsze podwaliny, oglądano się już za jęj przewodnikiem. Wybór w ówczesnych czasach politycznych przemian, wstrząśnień i burz wojennych, był zaiste trudnym. Wypadki wojenne, które od tak dawna miotały całą Europą, a szczególnie prowincjami polskimi, a które wyciskając z naszej biednej ziemi wszelkie soki żywotne, wyczerpnęły ją z ludzi, tak starszych jak i młodszych, wywołując wielu z kraju, zwichnęły karierę wielu na drodze cywilnej, wcielając większą część w szeregi żołnierskie; wypadki te pozbawiły nas odpowiednio ukształconych i uzdolnionych przewodników, zwłaszcza przy świeżej organizacji władz rządowych kongresowego Królestwa polskiego, do którego wszystko, co się odznaczało talentem i zdolnością, ściągano. Warunki zresztą, w jakich postawiono nowego prezydenta Rzeczypospolitej krakowskiej, były niezmiernie trudne. Obok koniecznej reprezentancyi historycznego imienia, znacznego majątku i odpowiedniego obejścia się z ludźmi, słowem obok tak zwanęj dobrej firmy na zewnątrz, potrzeba tutaj było koniecznej wytrawności politycznej i administracyjnej, niezbędnych wiadomości i rutyny dyplomatycznej w korespondencyi z dworami, doświadczonej znajomości spraw wewnętrznych potrzeb i zewnętrznych żądań, potrzeba było pracy niezmordowanęj i wytrwałęj, potrzeba było silnego charakteru, nieugiętej woli, by zapanować nad różnorodnemi żywiołami, jakie się budzić począły w tym małym kraiku. Ówczesnie bawił na kongresie w Wiedniu, późniejszy minister sprawiedliwości p. Marcin Badeni, razem z księciem Adamem Czartoryskim przy boku cesarza Aleksandra; ten zapytany jako obywatel województwa krakowskiego o radę w wyborze na prezesa Krakowa, wymienił jako najzdolniejszego i najwięcej odpowiadającego wspomnianym warunkom, hrabiego Stanisława Wodzickiego, dotychczasowego prefekta departamentu krakowskiego. Zasługi i talenta p. Stanisława Wodzickiego były cesarzowi znane; w najcięższych czasach wojennych burz, kiedy Francuzi rozbici wracali w nieładzie z pod Moskwy, a za nimi nadciągnęły pod Kraków wojska rosyjskie pod generałem Lanskoj, kiedy kraj wyciśnięty do ostatka, zdawał się w niemożności dostarczenia środków wyżywienia olbrzymich armii, wtenczas prefekt Wodzicki stawał na wysokości swojego zadania. Z wyciśniętego prawie do ostatka kraju, zabiegliwością i ofiarą bądź własnego mienia, bądź funduszów rodziny swojej i możniejszych sąsiadów, potrafił zadosyćuczynić potrzebom obozującego wojska, bez uciemiężenia ludności swojego powiatu, potrafił różnorodne spory i kwestye powstałe przy zmianie rządu, pogodzić z obowiązkami i zaufaniem swych współobywateli, z ogólnem zadowoleniem, tak naczelnęj władzy jak i swoich ziomków. Poświęcenie zresztą Stanisława Wodzickiego dla sprawy publicznej, było zdawna znane i zasłużyły na uznanie jeszcze z dawniejszych czasów. Nie zajmując się w pracy niniejszej całkowitym żywotem zasłużonego męża, ale jedynie jego działalnością, jako prezesa senatu Rzeczypospolitej krakowskiej, nie będzie-

my tu wspominać ówczesnej epoki z życia Wodzickiego, godniejsze pióro już się nią zajęło, a ciekawych odsyłamy do książki ś. p. Lucyana Siemińskiego ¹⁾, nadmieniając tylko, że w czasie, o którym piszemy t. j. w r. 1815, był to mąż wiekowy, ciężko skolotany pracą i przygodami życia, i że przeszłość jego czysta a pełna zasługi, była godną tego uwielbienia i miru, jakimi ogół otaczał imię Stanisława Wodzickiego; przytem mąż wytrawny, znakomitych zdolności politycznych i administracyjnych talentów, doświadczony, szlachetny i prawy, znacznego majątku i pięknej pozycji, był bez wątpienia najszcześniejszym wyborem Marcjana Badeniego i najodpowiedniejszym kandydatem do godności prezesa senatu Rzeczypospolitej krakowskiej. Cesarz Aleksander i ks. Adam Czartoryski, przyjęli myśl Badeniego z prawdziwym zadowoleniem i zaraz się zgodzili na szczęśliwy wybór; chodziło jednak o to, czy Wodzicki zgodzi się na przyjęcie ofiarowanego sobie dostojęstwa i czy w danym razie nie będzie stawiał jakich warunków z swój strony; polecono więc Badeniemu, aby jako dawny przyjaciel wyrozumiał zasłużonego prefekta.

Z notat osobistych ś. p. Stanisława Wodzickiego i oryginalnych korespondencji, jakie dziś mamy pod ręką, widzimy, że myśl godności prezydenta kraju nie olśniła zupełnie dostojnego męża, owszem w wahaniu się swoim przechylał się więcej ku rezygnacyi z ofiarowanej mu godności i do cofnięcia się w zacisze domowe, zdala od wszelkich politycznych wypadków. Rozliczne powody składały się na to: najpierw Stanisław Wodzicki był zanadto doświadczonym w naczelnem urzędowaniu jako długoletni prefekt departamentu krakowskiego i zawiele przeszedł w życiu zająć i kolizyi z władzami, aby nie widział zachodzących trudności przewodniczenia Rzeczypospolitej, instytucyi niby niezawistej i samodzielnej, a przecież we wszystkim zależnej od decyzji trzech dworów opiekuńczych a pośrednio od fantazyi i kaprysu panów rezydentów. Jakkolwiek gorliwy patriota i gotów zawsze wszystko poświęcić na usługi kraju, to przecież długoletnią pracą skolotane zdrowie i wiek już podeszły, obowiązki względem licznej rodziny, a wreszcie znaczny majątek, leżący poza granicą świeżo stworzonego kraiku, któryby się musiał zostać na łasce zarządów i do którego chcąc jechać, musiał wyrabiać sobie paszporty: to były powody, które skłaniały Wodzickiego do usunięcia się od ofiarowanej mu godności w ciche zacisze rodzinne, do ulubionego Niedźwiedzia, majątku położonego w Królestwie Polskiem i do zajęcia się oddawna umiłowaną nauką pomologii i w ogóle ogrodnictwa. Zresztą, kiedy Badeni ofiarował mu w imieniu cesarza Aleksandra, godność prezesa senatu, nie znał Wodzicki ani obowiązków, jakie go czekały, ani organizacyi kraju, któremu miał być sternikiem, nie znał stosunku Krakowa do ościennych mocarstw, a nawet wtenczas jeszcze nie znał je-

¹⁾ Wspomnienia brabiego Stanisława Wodzickiego. Kraków, w drukarni „Czasu” 1872 r.

go granic. Blask godności, świetna pozycja prezydenta Rzeczypospolitej, ani zwykła u ludzi ambicya wywyższenia się nad innych, u człowieka tej miary, jakim był Stanisław Wodzicki, nie miały i nie mogły mieć najmniejszego uroku, ani szczególnych powabów; jedynym zatem czynnikiem, jaki mógł być wpłynąć na przyjęcie ofiarowanej sobie godności, była miłość ogółu i gorąca chęć służenia swój dawniej i teraz nowo stworzonej ojczyźnie. Gdzież ona atoli jest ta nowa ojczyzna? jestże ona o milę, czy dwie od Krakowa? ma ona jakiegokolwiek dane trwałe egzystencyi? czy posiada warunki rozwoju tak pod względem intelektualnym jak i naturalnym? czy opiera się na instytucjach, dla których warto poświęcić ostatnie wysiłki pracy, ostatnie lata skolatanego zdrowia, chwycić za ster tej szczupłej i kruchej nawy, by pośród burz i nieodpowiednich warunków, dźwigać w razie niebezpieczeństw na własnych barkach ciężką odpowiedzialność sternika okrętu? Czy wreszcie zdolności intelektualne i siły odpowiedzą przyjętem ciężkim obowiązkom i w razie niepowodzenia nie wywołają przykrych objawów niezadowolnienia, osobistych napaści, kalumnii i oszczerstw?... Jakkolwiek ani granice, ani ustrój, ani stosunki nowo stworzonej Rzeczypospolitej, nie były Wodzickiemu zupełnie znane, gdyż jak powiedziałem, myśl obdarzenia Krakowa bytem samoistnym, poczęła się wcielać dopiero i zdala w Wiedniu przybierać wyrazistsze kontury, to przecież wiedział Wodzicki, że instytucya Krakowa wraz z jego okręgiem, to karlik o wielkiej głowie, wiedział, że w swoim zarządzie i reprezentacyi, będzie wymagał urzędzeń tych samych, jakich wymagają wielkie państwa, nie mając odpowiednich dodatnich warunków, jakie tamte mają.

Całe to wahanie się i całą tę walkę między gorącą chęcią służenia krajowi, a rozważaniem, czy odpowie zaszczytnie powierzonym sobie obowiązkom, całą skromność Wodzickiego widzimy z listu pisanego do Marcina Badeniego, w którym nie mogąc się sam zdecydować i brać na swoje odpowiedzialność przyszłości Krakowa, składa decyzją swoją w ręce doświadczonego przyjaciela, prosząc o radę i określając przyszłe obowiązki urzędników kraju. „Jeżeli ten krak—pisze Wodzicki do Badeniego ¹⁾ — będzie uważanym za część zupełnie odpadłą od tego, co zwykle nazywamy ojczyzną naszą, jeżeli zapewnione w nim będą komunikacye łatwe, tak co do handlu miast, targów zbożowych, utrzymania wszelkich instytucyj, jakimi są szkoły wydziałowe, bursy, szpitale, katedry Akademii, klasztory, seminarya i t. d., jeżeli zapewnioną będzie niezależność władz tej ziemi, pobyt tu nie będzie bez przyjemności, a urzędnik pracujący w Krakowie, pomyśli z pociechą, że należy jeszcze do tej wielkiej rodziny, dla której przeszłość tyle poświęciła, że przykłada się tém samém do ogólnego dobra ojczyzny. Wreszcie pojmuję, że czasu nie ma do prze-

¹⁾ Z autografu pod datą 15-go stycznia 1815 r. (Z pozostałych dokumentów po ś. p. Stanisławie Wodzickim). L. 7.

wlekłej korespondencyi między nami, a partykularnemu nie wypada badać rządu tajemnic. Z tego powodu, gdy jesteś u źródła, czynna twoja przyjaźń niechaj się za mnie determinuje. Przyjmij lub odrzuć propozycje według tego, jak będziesz widział najstosowniej. Masz także dzieci i w tychże, co ja z dobrami zostajesz stosunkach, wybierz tedy dla mnie to, cobyś dla siebie sądził przyzwoitem. Wybór bowiem w tém oddaleniu nie znając stosunków, które całą rzecz stanowią, byłby ślepym i lekkomyślnym. Wolę tedy przez twoje oczy widzieć, przyjacielu, z tą jednak prośbą, abys przyjąwszy za mnie urząd, zamówił mi łatwość usunięcia się co rok, gdybym go dla kraju nie widział z korzyścią, albo sądził dla siebie niedogodnym.”

Złożywszy swoje skrupuły i decyzją w ręce doświadczonego przyjaciela, rozumnego i nader prawego człowieka, jakim był Marcin Badeni, oczekiwał Wodzicki dalszych rozporządzeń cesarza. Wypadki, które na nowo wstrząsnęły Europą, wstrzymały panowie komisarze organizacyjni, pracowali nad rozwinięciem konstytucyi i wyrobieniem statutu organicznego dla miasta Krakowa, ale zresztą wszystko szło dawnym trybem w starym i cichym nadwiślańskim grodzie; mijały miesiące, rzecz pozostawała w zawieszeniu: dopiero listopad przyniósł prefektowi Wodzickiemu następującą odezwę. Cesarz Aleksander zaszczycił Wodzickiego własnoręcznym listem ¹⁾.

Monsieur le Préfet Wodzicki!

„Le Gouvernement provisoire ayant porté à ma connaissance le zèle, que Vous avez constamment montré en remplissant les fonctions de préfet du Département de Cracovie, aussi bien, que les services, que Vous avez été à même de rendre aux troupes pendant le séjour qu'elles ont faites dans ce Département, je veux Vous en témoigner ma satisfaction particulière. Je me plais d'autant plus à Vous donner cet marque de mon approbation, que les circonstances, pendant lesquelles Vous Vous êtes trouvé occuper ce poste, Vous ont souvent imposé des devoirs, difficiles à remplir. Vos talens et Votre zèle ont su Vous concilier l'estime de Vos Compatriotes, je Vous demande d'y ajouter celui de mon intérêt et de la bienveillance, que je ne cesserai de Vous porter.

Varsovie le 19 Novembre, (1 Decembre), 1815.

(signé) *Alexandre.*

Równocześnie z przytoczonym listem polecił cesarz Aleksander rządowi tymczasowemu, aby wydał świadectwo prefektowi Wodzickie-

¹⁾ Z oryginału znajdującego się w papierach i dokumentach po ś. p. Stanisławie Wodzickim, L. 2.

mu z dopełnienia obowiązków, z tém nadmienieniem, że zasługi jego położone w Rzeczypospolitej krakowskiej będą mu policzone w téj mierze, jak gdyby urzędował w Królestwie Polskiem. W obec podobnych objawów zycliwej przychylności i względów cesarza Aleksandra, nie mógł się wahać Wodzicki w przyjęciu godności prezesa. Odłożywszy więc na bok wszelkie skrupuły, zdecydował się poświęcić nowo usługom współziomków w nadziei, że na tém stanowisku będzie w stanie ratować od zatury przynajmniej pamiątki historyczne, od wieków nagromadzone w Krakowie. Po szybko powziętej decyzji, prosił rząd tymczasowy o dymisyą z urzędu prefekta i zawiadomił reprezentantów opiekuńczych dworów o gotowości przyjęcia urzędu prezidenta Rzeczypospolitej krakowskiej ¹⁾.

¹⁾ W papierach po ś. p. St. Wodzickim, dwa te dokumenta brzmią w oryginale jak następuje.

Rząd tymczasowy Królestwa Polskiego.

Lubo żądanie wielmożnego Wodzickiego, prefekta departamentu krakowskiego o uwolnienie go od obowiązków dotychczasowego urzędowania, nie było od rady Najwyższej Księżstwa Warszawskiego przyjęte, z powodu, że Rząd nie chciał się pozbawić tak cnotliwego i światłego męża; gdy jednak Rząd tymczasowy Królestwa Polskiego (uważając go w obecnem położeniu rzeczy polskich za obywatela równie tego kraju, jako téż wolnego okręgu krakowskiego) zna, iż ta nowa Rzeczpospolita, której pomyslnosc tak żywo Najjaśniejszego Imperatora Wszzech Rosyi i Króla polskiego obchodzi, potrzebuje do steru publicznej rzeczy mężów nieskażonej cnoty, doświadczonej gorliwości i światła, chcąc przeto z swojej strony otworzyć mu nowych ważnych posług krajowych zawód i przyłożyć się do tego wszystkiego, coby życzeniom mieszkańców i dobroczynnym wszystkim trzech dworów dla tego kraju zamiarom, ułatwić mogło od wszelkich zawad działanie, uwalnia go od urzędu prefekta, a oświadczając mu wdzięczność za przykładne pełnienie obowiązków pierwszego w departamencie krakowskim urzędnika, łączy zapewnienie, że podjęte przez niego w przeszłym urzędowaniu prace, równie jak te, któreby mu w nowym zawodzie dla Rzeczypospolitej krakowskiej za wolą trzech dworów poświęcić przyszło, przed tronem Najjaśniejszego Imperatora Wszzech Rosyi i Króla Polskiego nie przestaną mieć ceny prawdziwej zasługi.

Działo się w Warszawie na posiedzeniu d. 15 listopada, 1815 r.

podp. L. anskoj,—Czartoryski,—Novossiltzoff,—Wawrzecki,—
ks. L. ubecki.—Główny sekretarz rządu i referend. stanu K. Szaniawski.

Nominacya na prezesa senatu Rzeczypospolitej krakowskiej brzmi jak następuje:

Do JW-go Stanisława hr. Wodzickiego, byłego prefekta departamentu krakowskiego, kawalera orderu ś. Stanisława.

„Komisarze pełnomocni trzech Najjaśniejszych dworów, organizujący wolne miasto Kraków z okręgiem.

Nadszedł dzień 20 listopada 1815 roku, w którym ogłoszono względną samoistność Krakowa i w którym objął Stanisław hr. Wodzicki ster rządu z tytułem prezesa senatu Rzeczypospolitej krakowskiej. Godność tę piastował Wodzicki nieprzerwanie przez lat piętnaście, a jakkolwiek czas ten dosyć długi, był w swoim przebiegu obfitym w przeróżne zajścia i wypadki, które za sobą przynosiły cierpienia, gorycz i uporną walkę z potajemnie nurtującą opozycją Krakowa, jakkolwiek przy najszlachetniejszych chęciach i dążnościach zbierał wiele niewdzięczności, jakkolwiek godność prezesa senatu przynosiła w zamian za olbrzymią pracę same kłopoty i ciężkie zmartwienia, nie zniechęcał się Wodzicki i dążył wytrwale w wytkniętym kierunku. Wiemy, że demagogiczna opozycja Krakowa, rzucając przez lat kilka oszczerstwa i kalumnie na swojego szlachetnego przewodnika, używała wszelkich środków, by go zdepopularyzować w kraju, dopóki wspólnie z ulicznym motłochem nie zmusiła go do abdykacji i wyjechania z Krakowa. Chwila to ważna, nierozświetlona. Dziś, kiedy uspokoiły się już wszelkie namietności, kiedy przebrzmiały krzyki opozycji i zapasy stronnictw, a miejsce ich zajęła zimniejsza rozważa i ściślejsza krytyka historyczna, będzie może na czasie zastanowić się bliżej nad urzędowaniem Stanisława Wodzickiego, a przypatrzwszy się dokładniej całej jego działalności, uchylić czoła przed prawdziwą cnotą, herkulesową pracą i niespożytą zastugą.

I.

Nad zrujnowanym i materyalnie zniszczonym Krakowem objął ster rządów Wodzicki, stając początkowo na czele bardzo szczęśliwie

„Będąc organem woli Najjaśniejszych Monarchów, którzy sobie artykułem VII traktatu dodatkowego zawartego w Wiedniu 21 kwietnia (3 maja) 1815 r. zastrzegli pierwsze nominowanie osób do senatu, przy którym do artykułu IV konstytucyi, rząd miasta wolnego Krakowa i jego okręgu JWPanu powierzonym został, Komisarze przejęci ukontentowaniem, że wysokie obywatelskie cnoty i zasługi przewodniczyły JWPanu do pozyskania tak znakomitego Najjaśniejszych Monarchów zaufania, którego nominacja jest najlepszym dowodem,—są pewni, że JWPan w tym nowym świetnym zawodzie, jako naczelnik rządu, poświęcając swoją ugruntowaną gorliwość dobru kraju tego i ufność już otrzymaną ustalisz i wdzięczność obywateli pozyskasz.“

Komisarze wzywają JWPana, abyś na dzień 20 b. m., w którym się urzędowanie senatu tu w Krakowie rozpocznie, przybyć raczył, łącząc zapewnienie wysokiego poważania.

podp. Miączyński,—Swęcirts-Sporck,—Reibnitz,—Darowski

sekr.

dobranego grona senatorów; pierwsze trzechlecie urzędowania Stanisława Wodzickiego było, rzecz można, najpomyślniejszym peryodem czasu w dziejach Krakowa, poświęconego zabliźnieniu ran, jakie przeszłość ze sobą przyniosła, porządkowaniu i odbieraniu aktów, zajmowaniu się rozwinięciem projektów, dobro wewnętrzne miasta mających na celu, przygotowaniem stosownych reform w ustawodawstwie, słowem, było to trzechlecie spokojnej, ale produktywniej pracy, połączonej z wielką korzyścią dla małego państwa. Dopóki sadownictwo w przymierzu z rektorem uniwersytetu, Walentym Litwińskim, nie przepełniło senatu swemi figurami, by zapomocą większości o władnąc sterem małego kraiku, dopóki wskutek wzajemnych starć przeciwnych stronnictw nie przyszło do słynnego sporu Akademii z senatem, sporu, który sprowadził nawet interwencję dworów i osobną kuratoryą szkół krakowskich, błogie czasy pokoju i dobrobytu przyswiecały zrujnowanym murom grodu Jagiellonów: handel i przemysł, obdarzony szeroką wolnością, wzmagał się z dniem każdym, taniósć środków do życia była niepamiętna, zarobek dla klas uboższych łatwy i korzystny, napływ młodzieży do szkół, a za nią i rodzin z zagranicy do miasta ogromny; słowem, Kraków na początku swojej niezależnej egzystencji mógł się liczyć do najszczęśliwszych miast w Europie, a przynajmniej w Polsce. Budowle wznosiły się z gruzów, zakładano instytucje dobro wewnętrzne mające na celu, a szkoły z wykładami w Akademii w języku polskim stały się przybytkiem młodzieży, ściągającej z całego Polski obszaru. Za nią zdążyło wiele rodzin nie tylko z sąsiedniego Królestwa Polskiego i Galicyi, ale wiele możnych familii z W. Ks. Poznańskiego, Wołynia i Litwy obierało Kraków za stałe mieszkanie.

Senat tak zwany „rządzący” dzielił się na dwie kategorye członków, na dożywotnich i czasowych z wolnego wyboru. Pierwotny skład senatu, powstały w pierwszym trzechleciu z nominacji opiekuńczych dworów, był następujący:

Członkowie dożywotni: Feliks Grodzicki, Józef Michałowski, Liniowski, ksiądz Bystrzonowski, opat mogiński, Walenty Barsch, obywatel miejski, i akademik Radwański. Do czasowych zaś senatorów liczyli się: Stanisław Zarzecki, były prezydent miasta, a później rezydent i konsul rosyjski, Kajetan Florkiewicz, Antoni Szaster, Debszelewicz, ks. Sebastian Sierakowski, kustosz kor. i rektor Uniwersytetu, i Antoni Morbitzer. Sekretarzem zaś generalnym był Jacek Mieroszewski z rangą senatora.

Zaraz przy instalacji podobnie złożonego rządu zapowiedziała komisya organizacyjna nowym senatorom, że aż do rozwinięcia i ogłoszenia konstytucyi pracować będą pod nadzorem i okiem panów komisarzy; było to niejako zapowiedzią ciągłej kurateli, która i po ogłoszeniu konstytucyi skończyć się nie miała, również jak i dosadną charakterystyką owęj pompatycznie głoszonej niezawisłości Krakowa. Po-

czątkowe narady senatu szły wolno i z wielkim oporem, nie wszyscy bowiem senatorowie mieli rutynę i wprawę konieczną w podobnych naradach i urzędowaniu, a otrzymawszy niespodziewanie i nagle konstytucyjne znaczenie, nie dziw, że niektórzy domorośli politycy i senatorowie mieli o nióm zupełnie błędne pojęcie. Dowody tego mamy w protokołach posiedzeń senatu ¹⁾; próżniejszemu roili się po głowie dostojęństwa i szacunku, jak w wielkich monarchiach, innym potęga i znaczenie Rzeczypospolitej krakowskiej, tak, że często do najdziwniejszych wniosków przychodziło, w których nie wiedzieć co pierwój podziwiać: czy śmieszność pomysłów, czy też simplicitatem wnioskodawców. I tak senator Szaster (zkaładną bardzo zacny człowiek) zrobił wniosek zaraz w pierwszych miesiącach politycznego bytu Krakowa o ustanowienie orderu Cincinnata dla zasłużonych ojców narodu i o zaprowadzenie odrębnej klasy patrycyuszów. Inni panowie senatorowie i akademicy dopominali się usilnie i po kilkakroć razy o kosztownie wyszywane mundury galowe, ci sami żądali, ażeby powysyłać ambasadorów Rzeczypospolitej nietylko do wszystkich mocarstw Europy, ale i do Zjednoczonych Stanów Ameryki, z notyfikacją samodzielności Krakowa i jego okręgu; kilku radziło zakładać osobną mennicę w celu wybijania odrębnej złotej i srebrnej monety z stemplem Rzeczypospolitej. Senator Linowski wystąpił wreszcie z oryginalnym wnioskiem o zmianę tytułu, przepisanego przez statut organiczny. Tytuł brzmiał: „Prezes i senat krakowski.” Linowski, opierając się na obszernych i rozwlekłych motywach, mianowicie: ponieważ każdy wniosek zależy od większości kręsek, oczywiście przeto jest rzeczą, że ogół senatu wyższe ma od prezesa znaczenie, dlatego dopominał się, by odtąd pisano: „Senat niepodległego i ściśle neutralnego miasta Krakowa i jego okręgu, podobnie jak jego prezes.” Dzisiaj, patrząc bezstronnem okiem na owo społeczeństwo, obdarzone zmienacka bytem politycznym, widzimy, że prócz małych bardzo wyjątków, panował między mieszczaństwem przeważnie egoizm i próżność. Jedni chcieli odgrywać rolę udzielnych mocarstw niepodległych, drudzy przypinać order na piersiach, albo się stroić w mundur zdobny szychem, inni myśleli najwięcej o osobistych, materyalnych korzyściach. W ogóle duch publiczny mieszczaństwa krakowskiego nie był ówczesnie polskim w znaczeniu obywatelskiem; był on przeważnie tём, co tak charakterystycznie Niemcy nazywają „kleinstädterisch,” był duchem korporacyi w sądownictwie i Akademii. W uboższej zaś klasie zapuszczał powoli korzenie socyalizm, który rozrósłszy się później do znacznych rozmiarów, zostawił nam wybitne ślady swojego istnienia... Jakoż, zdaje nam się to rzeczą bardzo naturalną, że w tej części ziemi, która po tylu kłęskach obdarzona względnie niezawisłym bytem politycznym

¹⁾ Akta Senackie. Protokoły posiedzeń senatu od r. 1815—1817.

stała się Mekką i Medyną rozmaitych przybyszów, zwichniętych karyer, niepojętych geniuszów, niezrozumianych bohaterów, która się stała stekiem najróżnorodniejszych żywiołów i ludzi za chlebem przybyłych, że w częście téj ziemi nie mogło być mowy o jedności w działaniu i o pojęciu solidarności, które zwykle zowiemy duchem narodowym.

Wszyscy byli w jakimś szczególniejszego rodzaju obłądzie, w jakimś niepojętém, fałszywém mniemaniu, że cesarz Aleksander ze wszystkich krajów i miast Europy upodobał sobie jedynie Kraków wraz z jego okręgiem, a stworzywszy Rzeczpospolitą na liberalnych podstawach, oddał ją wyłącznie mieszkańcom w tym celu, by z piastowanych urzędów, godności i posad ciągnęli osobiste korzyści. Kandydatów do urzędów, powołanych i niepowołanych, była ilość, można powiedzieć, nie do przeliczenia, szczególnież z tego powodu, że jak do roku 1815 wszystko służyło pod bronią, tak od tego roku wszystko się rzuciło do nauki prawa. Urząd bowiem sędziego był w danych razach niezmiernie korzystnym, a ze smutkiem wyznać przychodzi, że z małemi wyjątkami sędziowie źle sobie tłómaczyli piastowaną godność a rozumiejąc na swój sposób konstytucyjną niepodległość sędziego, robili nadużycia i to nadużycia bezkarne. Rozciągając definicyą „niepodległości” poza konstytucyjne granice, sądziła klasa tych panów, że sędzia nie podlegał nawet samemu prawu, że mógł je tłómaczyć dowolnie podług własnego sumienia i zapatrywania, a w dwanaście lat po zaprowadzeniu Rzeczypospolitéj krakowskiej widzimy już mnóstwo młodzieży, cisnącej się ze wszystkich Polski zakątków do urzędów w Krakowie i broniącej téj tak fałszywie pojętej zasady. Niezliczona ilość kandydatów nie mogła się pomieścić w trybunałach i na innych posadach wyższych, cała więc masa próżniaczéj młodzieży zostawała do dyspozycji i pod rozkazami ówczesnego rektora, Walentego Litwińskiego, który za pośrednictwem sejmów i sejmików zapełniał nią wszystkie magistratury i zyskowniejsze posady. I tu należy szukać początku i źródła owéj demagogicznój opozycji, która później w lat kilkanaście miała wybuchnąć w nieszczęśliwe zatargi i kłótnie, która dla Rzeczypospolitéj krakowskiej zgotowała tyle klęsk i nieszczęść, a która jéj zacnemu prezydentowi zatrąła ostatnie lata urzędowania piółunem i żółcią.

Okręg krakowski liczył tylko 36 majątków szlacheckich, dwa miasteczka żydowskie, reszta okręgu należała do duchowieństwa, bądź świeckiego, bądź zakonnego, tudzież do samego miasta; prócz tego było kilka królewskich, które po zaprowadzeniu Rzeczypospolitéj przeszły na jéj własność. Nikt nie zaprzeczy, że jak w całej Polsce, tak i w krakowskim okręgu, szlachta po wsiach osiadła, przechodząc rozmaite koleje kraju, będąc jeszcze za czasów samodzielnego bytu politycznie czynną, obeznaną już była mniej czy więcej z życiem i urzędowaniem publiczném, była więc sama z siebie więcej o wiele uzdolnioną do sprawowania interesów publicznych, nizeli mieszczanie.

Prócz tego szlachta była zawsze więcej patriotyczną i bezinteresowną, z tego powodu, że będąc kastą posiadającą pewne przywileje, przywiązywała się więcej do swój narodowości i więcej się poświęcała dla publicznego dobra, niżeli mieszczaństwo, które zajęte prywatnemi spekulacyami i „ciąłaniem” grosza, było prawie zupełnie obojętne dla sprawy publicznej. Dowód tego mamy w pierwszym trzechleciu bytu Rzeczypospolitej. Kiedy w senacie zasiadała większość z duchowieństwa i szlacheckiego stanu złożona, działał senat, ile sił starczyło, solidarnie i zgodnie, a nie mogąc rozwijać „wielkiej polityki” na zewnątrz, ześrodkowywał swoją działalność na wewnątrz, powołując do życia zakłady dobroczynne i instytucje naukowe, regulując stosunki ekonomiczne, przyprowadzając do porządku akta, co po tylu przejściach i kłękach, po tylu różnorodnych zmianach politycznych, było rzeczywiście herkulesową pracą. Dopiero w roku 1820 poczynają się wyłaniać zatargi, kłótnie, ścierania się stronnictw, ciągną opozycja w sejmie i w senacie, a wreszcie spór senatu z Akademią i jej rektorem, Litwińskim, spór, który trwając lat kilka, wyrósł wreszcie do takich rozmiarów, że wywoławszy interwencją opiekuńczych dworów, spowodował usunięcie Litwińskiego z piastowanego urzędu rektora. Z postępek pracy niniejszej przyjdzie nam bliżej się zastanowić nad gorszącym ówczesnym sporem Senatu z Akademią i szczegółowo przedstawić wszystkie intryki i zabiegi rektora i jego zwolenników. Tu zaznaczą pobieżnie, że jeszcze przed rokiem 1809 związał się między młodzieżą uniwersytecką w Niemczech sławny „Tugendbund,” pod protekcją księcia Brunswick-Oels i pod przewodnictwem pruskiego ministra Steina, który odświeżony w roku 1813, na nowo rozpuścił korzenie po wszystkich niemal uniwersytetach w całej Europie i był powodem zjazdu i narad monarchów w Weronie i Leibach. Naśladownictwo tego związku niemieckich studentów znalazło odbicie między młodzieżą krakowską w r. 1819 i 1820, a będąc źródłem rozruchów, buntów i różnych zdrożności, zmusiło władzę do zupełnej reformy Akademii krakowskiej i do zaprowadzenia oddzielnej kuratorji w osobie Józefa hr. Załuskiego, adjutanta świty cesarskiej i generała brygady.

Wodzicki objął prezydenturę senatu z władzą tak przez konstytucją ograniczoną, że prócz decydujących dwu głosów w postanowieniach senatu, prezydentura Wodzickiego ograniczała się jedynie na czym tytule bez najmniejszej władzy, ale tytule pociągającym za sobą cały ogrom pracy. Oprócz bowiem przewodniczenia na posiedzeniach senatu, zasiadał jako przewodniczący na posiedzeniach komitetu, ustanowionego do naradzenia się nad poprawkami niedokładnych artykułów konstytucji. Dobrowolnie załatwiał czynności tłómacza senatu, który nie posiadając dokładnie języka francuzkiego, nie umiał przekładać na język francuzki odnośnych korespondencyj z rezydentami opiekuńczych dworów. Wszystkie też akta dyplomatyczne, z czasów urzędowania Stanisława Wodzickiego, aż po rok

1830, mamy dziś przed sobą, pisane jego własną ręką, a ogrom ich obok innych obowiązków i koniecznych zajęć, obok wzorowej administracji obszernego własnego majątku i interesów prywatnych, daje nam pojęcie o téj olbrzymiej i wytrwałej pracy już w wieku podeszłym człowieka.

Z kolei rzeczy wypada nam się zastanowić nad składem i działaniem tak zwanéj komisji organizacyjnej i podać charakterystykę jéj członków, według notat samego prezesa. Czynimy to dlatego, iż komisya organizacyjna, dając niejako podstawę bytu politycznego Rzeczypospolitej krakowskiej i rozwijając jéj konstytucyą, wywarła przeważny wpływ na dalsze życie polityczne Krakowa i nie mało się przyczyniła do zamieszania pojęć i do stworzenia chaosu krzyżujących się z sobą władz i magistratur. We wrześniu 1815 roku zjechała do Krakowa komisya organizacyjna, reprezentowana ze strony Austrii przez hr. Józefa Swéerts-Sporck, ze strony Rosyi przez Ignacego Miączyńskiego, radcę stanu Królestwa Polskiego, ze strony wreszcie Prus przez Ernesta Wilhelma barona v. Reibnitz.

Pierwszy z tych panów hr. Swéerts-Sporck, był człowiekiem młodym, wielkiego świata, form wytwornych, z najlepszym wychowaniem, przytém bardzo zacnym i wolnomyślącym, wskutek czego podobno popadł w niełaskę księcia Metternicha. Lekki przyjaciel kobiet, towarzyski bardzo a nie mający przytém najmniejszego wyobrażenia o stosunkach, a nawet o miejscowości Krakowa, przekładając przytém towarzystwo i zabawy, nad nudne narady komisji, spuszczał się we wszystkim na swoich kolegów, a szczególnie na barona Reibnizta, podpisując bez przeczytania, co mu przedłożył ostatni.

Komisarz rosyjski Ignacy Miączyński, był człowiekiem ze wszech miar prawym i zacnym i pełnym najlepszych chęci dla Rzeczypospolitej krakowskiej, nie zbywało mu przytém na świetle i znakomitém literackim i politycznym wykształceniu. Początkowo na mocy swoich instrukcyi, obstawał dzielnie przy liberalności pierwiastkowych zasad konstytucyi; opozycja ta jednak nie mogła przynieść najmniejszego dodatniego skutku, gdyż zwykle bywał przegłosowany,—później zniechęcony bezowocném usiłowaniem, nie odpowiadał zupełnie swemu stanowisku. Natura miękka i łatwo się zniechęcająca, brak energii i słabość charakteru, dającego się we wszystkim powodować, cechowały Miączyńskiego, przytém kawałek literata, pisał dużo i więcéj go podobno obchodziła jego rozprawa „o dzieścicach” (nawiasem powiedziawszy bardzo nieszczególna), niż sprawy krakowskie.

Duszą całej komisji organizacyjnej i redaktorem wszystkich artykułów konstytucyi, był komisarz pruski baron Reibnitz, najprzebiegłszy i najwięcéj posiadający sprytu i talentów, z pomiędzy przytoczonych panów komisarzy. Znanym on już był z Kalisza, gdzie pełnił urząd sędziego i gdzie się dał poznać jako człowiek bardzo wolnego sumienia i niskich namiętności, przy wielkich zdolnościach. W interesach szczwany, sprytny i przebiegły, niepospolitą zręcznością potra-

fił sobie zjednać zaufanie swoich współkolegów i posiadał nad nimi tę władzę, jaką zwykle nadaje inteligencja i wyższość talentów, nad słabemi i do odnośnych czynności niewprawnemi głowami. On też prawie sam jeden stanowił całą komisją, a łącząc z złą wolą i chytrością na wielką skalę przedajność, puszczał w porozumieniu z rektorem Litwińskim katedry przy uniwersytecie Jagiellońskim na sekretną licytacyą. Cenę wywołania stanowiło talarów 500, i „kto da więcej?” a wspólnie w ten sposób nabyte pieniądze chowano do kieszeni, lub też trwoniono na rozpustne orgie i hulanki, które się zwykle odbywały przy ulicy świętego Jana w mieszkaniu rektora Litwińskiego, dostojnika Akademii Jagiellonów i przewodnika młodzieży krakowskiej!... Nie są to gołosłowne zarzuty, ale prawdziwe fakta, które poświadczyć mogą dotąd żyjący słuchacze ówczesnych wykładów w sławnej „Alma mater,” a którzy bezwątpienia pamiętają owych profesorów, wskazujących na ulicy palcem, że „piecem powłazili na katedry.” A przecież w rzędzie instytucji Rzpltej krakowskiej, najznakomitszą i najwięcej dobroczynną była bezwątpienia akademia, która rozszerzając promienie oświaty na cały kraj Polski, kształciła spływającą ze wszystkich dzielnic młodzież na światłych obywateli kraju, na prawodawców, stróżów prawa i jego wykonawców, na godnych reprezentantów narodu i użytecznych członków społeczeństwa, wreszcie na ojców rodzin i obywateli kraju, i ten to przybytek nauk, mądrości i światła, szkołę tylu sławnych mężów we wszystkich zawodach, stawiało dwóch nikkzemników przedajnych nad przepaścią, niecnie frymarzcząc światłem, które przyświecać było powinno wszystkim dzielnicom, chociaż z małego ogniska i z małego kraiku, jakim podówczas była Rzeczpospolita krakowska!... Podobnie zebrana komisja organizacyjna rozpoczęła swoje czynności 12-go października od utworzenia komitetu (stosownie do artykułu VII pierwiastkowej konstytucji) z urzędników i miejscowych obywateli, do którego byli powołani: ze szlachty, Feliks Grodzicki, dożywotni senator i właściciel dóbr w Królestwie Polskiem; z duchowieństwa: ksiądz Wincenty Łańcucki, kanonik katedry krakowskiej i archiprezbyter kościoła Panny Maryi; z mieszczaństwa zaś Walenty Bartsch, senator i obywatel krakowski. Ci trzej członkowie z tytułem asesorów czy też komisarzy adjunktów, mieli wspólnie pracować z komisją, gdy tymczasem panowie organizujący stanowili wszystko, a nie zważając zupełnie na opozycją członków komitetu, stanowili co chcieli.

W pierwszych już krokach ich działania można spostrzedz wiele arbitralności i nie legalnego postępowania komisji organizacyjnej. Dwory opiekuńcze zastrzegły sobie tylko pierwotne nominacje urzędników wyższych, komisja rozciągnęła swą władzę aż do nominowania wszystkich stopni urzędników, nawet do woźnych. Głównym czynnikiem podobnej samowoli, był oczywiście Reibnitz, poza którego plecami krył się pan sędzia i rektor Litwiński. W przyjaźni i spółce z komisarzem pruskim, trząsł Litwiński całą komisją i od niego wy-

pływała owa nielegalność, dążył albowiem do tego, by miał do rozporządzenia legiony kreatur bez kwalifikacji, ale napojonych demagogicznymi zasadami przewrotu, któremi zapełniał urzędy, tworząc sobie na później potężne stronnictwo.

Zadalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy się chcieli zapuszczać w całe trzechletnie działanie komisji organizacyjnej, pomijamy je więc pobieżną wzmianką, zaznaczając tylko głównejsze momenta, to jest organizacją Akademii i sądownictwa w Krakowie.

Akademia była w czasie utworzenia Rzeczypospolitej w opłakanym stanie. Kiedy bowiem w roku 1809 wojska polskie zajęły Kraków na rzecz Napoleona, książę Józef Poniatowski począł organizować kraj w sposób dosyć doraźny. Między innemi, do urzędzenia na świeżą modłę instytucji naukowych, odebrał polecenie Horodyski, człowiek bezwątpienia światły i pełen naukowych wiadomości; ale gorączka a przede wszystkim, jak podówczas wszyscy — nie cierpiący Niemców. W ówczesnych kolejach wojennych i przy rozdrażnieniu żywiołów, przy zmianie rządu i świeżej organizacji władz, wrzały i kipiały z całą siłą namiętności polityczne i narodowe. Horodyski, pamiętny na rozproszenie przez Austryaków z Akademii dawnych profesorów polskich, szukał odwetu na Niemcach, zajmujących katedry uniwersyteckie i trochę z nimi za rubaszenie, zanadto po wojskowemu się obszedł. Postępowanie Horodyskiego można tu uwzględnić, mając na oku i w pamięci krzywdy nam zadane; przyznać jednak wypada, że profesorowie krakowscy, jakkolwiek Austriacy czy Niemcy, indywidualnie krzywd naszych zupełnie nie byli przyczyną, i że zanadto surowe traktowanie profesorów, pozbawiło instytucją wielu znakomitych sił naukowych, ludzi, którzy później zasłynęli inteligencją i talentami na innych uniwersytetach europejskich. Zrażeni surowością nowego rządu a raczej Horodyskiego, podziękowali wszyscy profesorowie i *corpore* za swoje posady i do jednego wynieśli się za granicę kraju. Lubo można było z łatwością przewidzieć podobny wypadek, nie był na niego przygotowanym Horodyski. Kiedy więc po wyniesieniu się Niemców, opustoszały katedry, częścią dla pokrycia swojej własnej winy, częścią zaś przez obojętność, z jaką zwykle traktują wojskowi sprawy nie wchodzące w zakres militarny, obsadzał katedry kimbaż, byle je obsadzić w jaknajkrótszym czasie. Trzeba zauważyć, że ówczesnie Kraków, mała miejscina, zepchnięta do rzędu miast prowincjonalnych, nie mógł posiadać wielkiej liczby ludzi uczonych a szczególnie ludzi wykształconych specjalnie i odpowiednio do nauczycielskiego zawodu. Z tego więc powodu, wybór do katedr był bardzo trudnym. Horodyski pomimo rozległego światła i rozsądku, chwycił na bruku co się nawinęło, nie dbając o kwalifikacją ani o naukę, a w przeciągu dwóch tygodni podpisał książę Józef 19 nominacji na profesorów uniwersytetu, obsadzając katedry zwykłymi mieszkańcami Krakowa... Tegoby podobno nie potrafił i największy władzca! Bądź

jak bądź, zwerbowani nakształt żołnierzy profesorowie, nie dziw, że nie mogli odpowiedzieć wysokiemu zadaniu i przyjętemu obowiązkom.

Później dopiero nadeszła komisya oświecenia z Warszawy kilku mężów, odznaczających się głęboką nauką, zrozumieniem swego zawodu i poważnemi obyczajami, w ogóle jednak wzięwszy, skład ten dorywczy profesorów nie był zupełnie szczęśliwym tak pod względem nauk, jak i obyczajów, a szczególniej opinią tę należy rozciągnąć co do profesorów ówczesnego liceum, na których nominacye najwięcej wpływał Litwiński. Byli to ludzie, jakkolwiek może i światli, ale większą częścią z powołaniem i obowiązkami nauczycielskiemi nie obznajmieni, napojeni różnemi maksymami, a zresztą wchodząc w zawód przewodników młodzieży zupełnie wypadkowo, nie mogli mieć koniecznego powołania do swych obowiązków, ani niezbędnego przywiązania do miejsca i stanu, w którym długa tylko praktyka może wzbudzić zamiłowanie i poświęcenie się szczytnemu zawodowi kapłanów nauki i światła.

Trwał ten stan rzeczy aż po rok 1816, kiedy delegowani komisarze od trzech dworów, poczęli organizować Rzeczpospolitą krakowską. Otóż między licznymi komitetami, potworzonymi w celu specjalnego opracowania rozmaitych gałęzi politycznych i administracyjnych, spotykamy tak zwany komitet akademicki, mający się zajmować opracowaniem nowego statutu dla uniwersytetu Jagiellońskiego. Do tego komitetu powołała komisya w dniu 30 grudnia 1816 roku następujących członków: Walentego Litwińskiego, Sebastjana Girtlera, Jerzego Bandtkego, Józefa Sołtykiewicza, Romana Markiewicza, Feliksa Radwańskiego, Karola Hube, księdza Łańcuckiego i Adama Krzyżanowskiego. W tym składzie zwołany komitet miał się zająć ułożeniem obrazu historycznego uniwersytetu Jagiellońskiego pod względem naukowym, ekonomicznym i policyjnym. Komitet nie odpowiedział zupełnie zadaniu a zakresłone instrukcją przedstawienie dziejów Akademii nie przyszło do skutku. Zmarnowawszy dwa lata daremnie, wygotował za ledwie komitet pod redakcją Litwińskiego organizacją Akademii. Projekt ten był jednakowoż nedorzeczną lichotą, a jako utwór samych profesorów, tak był przejęty duchem korporacyi, że go komisya organizacyjna zmuszoną była odrzucić, powierzwszy operat do opracowania Reibnitzowi, który na współpracownika obrał sobie Litwińskiego i uczonego, ale bardzo słabego charakteru, Bandtkego. Dopiero 12 sierpnia 1818 roku, tuż przed odjazdem komisji organizacyjnej, był ten statut organiczny uniwersytetu Jagiellońskiego przedmiotem rozbioru i dyskusyi, nie było więc nawet czasu, by go dokładnie roztrząsnąć, ale w pośpiechu przyjęto wszystkie punkta ryczałtowo. Statut ten, dowód pewnej aberracyi unysłowej, zawierał jedenaście magistratur oddzielnych do zarządu Akademią i tak: 1) wielką radę akademicką; 2) senat akademicki; 3) radę rektorską; 4) kanclerza uniwersytetu; 5) konserwatorów uniwersytetu; 6) rektora; 7) senat

rzządzający uniwersytetu; 8) dziekanów; 9) generalne posiedzenie; 10) wydziałowe posiedzenie uniwersytetu; 11) szkołę główną.

Niedorzeczna ustawa wyszła z pod redakcyi Litwińskiego, ztąd dowód, że stosownie do artykułów statutu, jako rektor uniwersytetu, stawał się nietylko samą Akademią, ale wszystkich innych instytutów naukowych rzeczywistym dyktatorem, jakąś najwyższą, niepodległą, nieodpowiedzialną władzą absolutną, tak w zakresie wykonawczym, jakoteż w prawodawczym i sądowym, co się wręcz sprzeciwiało artykułom istniejącej konstytucyi (§§ 4, 10 i 21). Magistratury bowiem pojedyncze były tylko parawanem dla absolutnego wszechwładztwa rektora. Jakże zaś materyalne korzyści służyły wskutek tego na Litwińskiego, dosyć gdy wykażemy cyframi, że z etatu uniwersytetu w sumie 401,200 złp. pobierał jako rektor 8000 złp., jako profesor aktualny 7000 złp., przyczem jako sędzia apelacyjny 4000 złp., razem więc 19,000 złp. prócz ubocznych dochodów, jakimi były np. wspomniane wyżej sprzedawanie katedr do spółki z Reibnitzem, podczas gdy najwyższy dostojnik Rzeczypospolitej, sam prezes senatu miał wyznaczoną pensyi 12,000 złp.

Wracając jeszcze do komisji organizacyjnej i zastanawiając się bliżej nad jej działaniem, przekonać się można na pierwszy rzut oka z rozwinięcia konstytucyi i statutów wypracowanych przez komisję, że celem działalności komisarzy niemieckich, było zohydzenie dzieła cesarza Aleksandra i księcia Adama Czartoryskiego, zaszczepienia w obywatelstwie i w najwyższych urzędach niezgody, przez ustanowienie kilku władz najwyższych, zupełnie odrębnych a nie podlegających rządowi, stanowiących tylko *s t a t u s i n s t a t u*. Co do Akademii, to pierwszą czynnością komisji, było usunięcie dotychczasowego rektora, księdza Sebastjana hr. Sierakowskiego a nominowanie nowego, wspomnianego tylokrotnie Litwińskiego.

Tu może będzie miejsce właściwe zaznaczyć się z tém charakterystycznym, zdolnym i przewrotnym indywiduum, o którym wspominaliśmy wyżej, że był najzaufanyszim powiernikiem i współnikiem sprzedajności komisarza pruskiego. Litwiński był za czasów austriackich adwokatem, później za czasów Księstwa Warszawskiego prokuratorem trybunału departamentu krakowskiego, człowiek niepomiernie zdolny, głębokiej nauki i nader bystrego umysłu; lecz nie odznaczał się ani szlachetnością charakteru, ani uczciwością zasad. Podobieństwo usposobień z Reibnitzem, jednakowa bystrość umysłu i spryt naturalny, nadzwyczaj lekkie zasady moralności, zbliżyły tych dwóch ludzi do siebie; wspólne interesa pieniężne utrwaliły przyjaźń i zaufanie zobopólne. To też korzystał Litwiński z przyjaźni Reibnitza—a pośrednio z zaufania panów komisarzy i zręcznie używał całego wpływu i przebiegłości, by sobie zapewnić niezależność na przyszłość, stworzyć pozycyą wygodną i nie odpowiedzialną, by zjednać sobie pole do bezkarnych intryg i stanowczej przewagi w Krakowie. Przy skromnym tytule trząśł ten człowiek całą Rzeczpospolitą krakowską, wzbogacał siebie

i swoich zwolenników, rozrządzał dowolnie majątkiem obywateli, ba, targał się przy pomocy lekkomyślnej młodzieży, na cześć i bezpieczeństwo osób sobie nienawistnych. Nie mało pomagał mu do tego urząd sędziego apelacji, w którym na czele swojej kliki przewodził z absolutyzmem nie do uwierzenia. Osadziwszy na siedmiu katedrach prawniczych swoich zwolenników, miał nie długo pięciu uczących profesorów w senacie a dziesięciu wprowadził do reprezentacji kraju drogą nielegalną. Nielegalną powiadam, bo chociaż konstytucya przypuszczała profesorów Akademii do senatu i reprezentacji, miała jednakowoż na oku emerytów, mających czas wolny, wykładami nie zajęty i nie zawistych od wszelkiego wpływu; tymczasem Litwiński powoływał do tych godności samych profesorów czynnych, a to z tego powodu, że ci posłusznymi być musieli swemu zwierzchnikowi, choćby ze szkodą wykładów uczącej się młodzi. W skutek zabiegów bowiem o godności i urzędy dodatkowe, odrywali się profesorowie od właściwej pracy i wykładów, od doskonalenia się w przedmiotach sobie powierzonych z wyraźną stratą dla umiejętności i nauki; zajęci czém inném, co w sferę nauczyciela wchodzić nie powinno, odczytywali machinalnie wykłady z prastarych zeszytów, lub téż co najwięcej, ograniczali się na lichém i doraźném tłumaczeniu obcego autora. Naturalnym wynikiem podobnych wykładów, było zniechęcenie się młodzieży do swych przewodników i zaniedbywanie prelekcyi do tego stopnia, że profesor w obawie, aby nie utracić pensyi, prosił uczniów, by z miłosierdzia przyszli na prelekcyą, a nieraz zachodziło tak daleko, że profesor opłacał kilku słuchaczy, by odsiadawali czas jego wykładu choć na to, by drzémac.

Wracając do Litwińskiego, to prócz zależnych od siebie profesorów, prócz kolegów swoich i przyjaciół w obydwu instancjach sądowych, miał jeszcze na swoje rozkazy tysiące młodzieży swawolnej i lekkomyślniej, której jako rektor był jedynym i najważniejszym sędzią w ostatniej instancji, według statutu wydanego przez komisją organizacyjną. Wyjęci z pod ogólnego prawa i nadzoru publicznego studentci, porywali się bezkarnie na wskazane im ofiary, a w sądach rektora, byli zawsze uniewinniani, statut bowiem akademicki, ułożony przez Litwińskiego, za pośrednictwem Reibnitza, wykluczał zupełnie inne władze od mieszania się w sprawy Akademii, a do rozstrzygnięcia ostatecznego kwestyi, ustanowił trzecią sądową instancją, składającą się z osób, które już znały dokładnie sprawę dotyczącą, gdyż już same ją sądziły, przez co rzecz naturalna, zapewniał Litwiński, nieetykalność swoich wyroków sądowych. Działalność rektora-sędziego nie ograniczyła się na tém; wyjednał w dalszym ciągu swoich zabiegów to, że profesorowie Akademii i urzędnicy sądowi, mogli się ubiegać o wszelkie posady w innych gałęziach administracyjnych i kilka takich posiadać, on ułatwił sędziom nielegalne wdzieranie się do wszystkich spraw rządowych, politycznych i administracyjnych, zapelniając poplecznikami swoimi reprezentacyą sejmową i z ich pomocą, kierując dowolnie obradami sejmów, poniżał rząd krakowski w obec ludności i rezy-

dentów zagranicznych dworów. W nagrodę za intrygi i knowania podziemne, wyjednywał dla siebie i swoich zwolenników gratyfikacye, albo pensye ad personam. Chociaż był rektorem, zatrzymał katedrę profesora, a przytém i urząd sędziego, a prócz tych urzędów na konferencyach stron, które spór ze sobą wiodły, bywał adwokatem.

Z tego co przytoczono, osądzić można, że Litwiński był umysłu bystrego, giętkiego, który spożytkowany dla dobra ogółu, mógłby mu niewątpliwie dużo przynosić korzyści; niestety, przy znakomitych zdolnościach, nie chciał Litwiński wiedzieć ani o dobru kraju ani ogółu, używając swoich talentów i doświadczenia nie dla dobra społeczeństwa, któremu wszystko zawdzięczał, lecz na jego szkodę. Charakter zawsze dwulicowy, chciwy, egoistyczny i nad miarę ambitny, używał bogatych darów natury za czynnik, który mu stworzył pozycyą niezależną i materyalnie dostatnią, a skrycie prowadzonymi intrygami dobijał się znaczenia i przewagi w kraju, których używał do zaspokojenia swych ambitnych celów. Streściwszy całą jego działalność, Litwiński „de facto począł panować nad krajem.”

Gdy przez utworzenie nowych, a obsadzenie wakujących katedr, siedmiu prawników zostało przypuszczonych do grona profesorów uniwersyteckich, przeistoczył Litwiński poważny stan nauczycielski w piekło intryg i zabiegów osobistych, a ludzi, których zadaniem było oświecać i prowadzić młodzież, w rodzaj karyerowiczów, zapominających o swych obowiązkach, nie dbających o naukę i młodzież, ale myślących przedewszystkiem o własnych korzyściach i demagogiczném znaczeniu. Mając co innego na głowie, nie myślał rektor o nadzorze, nie mieli więc profesorowie najmniejszej kontroli, z kąd poszło, że jak już wspominałem, nauki tak ze strony nauczycieli, jak ze strony młodzieży, były zupełnie zaniedbane, a cała uwaga i starania zwrócone, by przemagać na sejmach, chwytając urzędy i pensye, rozdawać je niższym w randze towarzyszom swoim i nadymać się przed rządem rzekomém konstytucyjnym znaczeniem.

Aby zaś choćby dla oka tylko, nie zostawała Akademia bez nadzoru, statut organiczny uniwersytecki ustanawiał tak zwaną „wielką radę” Akademii Jagiellońskiej, która prócz szumnego tytułu, rzeczywiście żadnej władzy a nawet i stosunków z Akademią nie miała. Magistratura ta była prawdziwém arcydziełem sprytu Litwińskiego, gdyż składała się z samych tych członków, którzy mieli być dozorowani, t. j. z profesorów Akademii. W jój skład bowiem wchodziło dziewięciu członków, z tych zaś sześciu, t. j. trzy części całego składu było profesorami; czyż mogło być coś wygodniejszego?... Śmiešność téj instytucyi posuwała się jeszcze dalej, statuta bowiem mogły być przez nią dowolnie zmienione, dla uwieńczenia więc wszelkich nadużyć, przepisano, że każda zmiana nie prostą większością głosów ale tylko większością sześciu przeciwko trzem, ma być rozstrzygnięta, co zaznaczamy z szczególnym naciskiem, ze względu na dalszy ciąg niniejszej pracy. Pozorny nadzór „wielkiej rady” nie mógł pil-

nować ani rozpoznawać uzdolnienia i postępów w naukach Akademii, nie miał więc nic innego, zdaje się, na celu, jak tylko ulegalizowanie przez swoje zatwierdzenie, wszelkich nadużyć i poszczególnych spekulacji; posiadał nadto nigdzie niepraktykowaną władzę, by rozstrzygać spory, wynikłe między Akademią a senatem, a przez to był niejako sędzią naczelnie „rządzącego senatu;” przy przewadze zaś profesorów w gronie „wielkiej rady,” rząd zawsze musiał przegrywać swą sprawę. Nadszedł nareszcie rok 1818. Komisya organizacyjna, zakładająca sobie trzy jeszcze lata pobytu w Krakowie, została na wniosek cesarza Aleksandra nagle rozwiązana. Mnóstwo statutów i reskryptów oddzielnych, nie mających ze sobą najmniejszego związku, zostało oddanych senatowi do ścisłego przechowania, a ustawy pozostały bądź nie rozwinięte, bądź jeszcze nie rozpoczęte, spoczywały w aktach. Z tą kolizyą i ziarno rozmaitych niezgód: każda korporacja mniemając się być udzielną w swym własnym zakresie, wkraczała w cudze granice, których nigdy dokładnie nie określono; względność tylko wyrozumiałego i łagodnego prezesa senatu, zręczność w łagodzeniu wybujałych ambicji osobistych i politycznych namiętności, mogła na razie zapobiedz gorszącym wybuchom opozycji, sprowadzającym zartargi i walkę, kłótnie i rozterki. Tak jednak długo być nie mogło. Rosnąca opozycja na sejmach, pod przewodnictwem Litwińskiego, dwie potężne korporacje Akademii i sądownictwa, pod przewodnictwem Nikorowicza a właściwie jego poufnego sekretarza Chwalibogowskiego, stając w ciągłej negacji do działania rządu, były zawielką i ciągle rozwijającą się potęgą w tym małym kraiku, by nie budziły niepokoju ludzi dobrze myślących i nie zmusiły prezesa do energicznego działania. Wodzicki nie chciał i nie mógł być malowanym naczelnikiem kraju, nie mógł znosić bezkarnie dokonywujących się pod jego okiem niecznych intryg i nurtowań Litwińskiego, nie mógł patrzeć z zimną krwią na niktzemną przedajność i korupcyą urzędników sądu. Tolerować bezprawia, kiedy się jest naczelnikiem władzy, znaczy być ich współnikiem. Wodzicki nim być nie chciał, postanowił więc uderzyć; uderzył silnie i zwyciężył niktzemnych przeciwników, jakkolwiek ze szkodą swojej popularności, ale z czystością sumienia dokonanego obowiązku. Jednego po wielu trudnościach usunął od władzy, drugiego osadził w więzieniu, a przyznać trzeba, że zanim przystąpił do owych heroicznych kroków, wyczerpnął wszelkie środki łagodności i możliwego uwzględnienia miejscowych stosunków.

Pomijaliśmy dotychczas zupełnie działalność Wodzickiego, chcąc przedstawić w ogólnych zarysach tworzącą się opozycyą, teraz nadmienić trzeba, że praca Wodzickiego w tém pierwszym trzechleciu zjednała mu u wszystkich mieszkańców Krakowa i jego okręgu najżywsze uznanie, czego dowodem jednogłośny wybór jego na prezesa, na drugi okres trzechletni.

Pierwsze grono senatorów było bardzo szczęśliwie dobrane,

w zgodzie więc i harmonii działał senat wraz z swoim prezesem, czy to na posiedzeniach własnych, czy na obradach komitetów. Sam prezes Wodzicki liczy ten pierwszy peryod urzędowania w swoich notatach, do najprzyjemniejszych lat w życiu. Litwiński dopióro i jego zabiegi, były pierwszą kością niezgody w senacie i sejmie, pierwszą kroplą gorczy, której Wodzicki dotknąć był zmuszony. Kiedy zapamiętały rektor począł już władać potężnym stronnictwem, trzeba się było zamieniać prezesowi w szczwanego demagoga, by schlebiać z kolei przeciwnym stronnictwom i utrzymywać równowagę, to się jednak nie zgadzało z szlachetnym charakterem i prostotą pana Stanisława, nie obeznanego z intrygami, co wręcz się sprzeciwiało zasadom konserwatystry z przekonania i rodu.

Przyjmując uciążliwy urząd prezydenta, nie miał Wodzicki ani korzyści ani osobistej ambicji na oku; dobro współobywateli, gorliwość obowiązku i wreszcie szlachetna żądza zachowania pamiątek ojczystych, była tu jedyną, przeczystą dążnością i myślą. Konserwatywne zasady i odpowiednie działanie Wodzickiego nie mogło się podobać postępowym demokratom, niedowarzoną głowom, pogrążającym w chaos i nieład kruchą budowę, jaką była Rzła krakowska, idąc pod przewodnictwem dwóch nikczemników, u których prywatą była celem jedynym. Stronnictwo opozycji ciskało piorunami na szlachetnego i zasłużonego prezesa, w bezmiennych paszkwilach i innych piśmi-dłach szkalowało i wyszydzało bezbronnego w obec takich plagiatów starca, który jakkolwiek niedorzeczne pomysły ogólne demagogów odpięrał i niszczył w zarodzie, co do osobistych napaści po pismach publicznych, milczeć był zmuszony. Czuł się zupełnie bez zarzutu, czystym, więc milczał a znaleźli się przecie ludzie zacni, którzy się nie wahałi wystąpić publicznie w obronie napadniętej sławy znękanego starca, mającego za sobą kilkadziesiąt lat pracy i zasług dla dobra ogółu polskiego, którego życie było od lat najmłodszych aż do wieku bardzo podeszłego, jedném, nieprzerwaném pasmem gorliwój i wytrwałój pracy. Lecz wróćmy do rzeczy.

Ponieważ komisarze organizacyjni nie mieli od dworów wyraźnie zakreślonego urzędowania, podawała się więc wszelka łatwość do przeprowadzania poruczeń tajnych w miarę rozwijających się wypadków polityczoych, a chociaż senatowi zabroniono zaraz przy instalacji robienia wszelkich uwag, to przecie Wodzicki korzystał z każdej sposobności, by zwrócić uwagę komisji organizacyjnej na zboczenia od pierwiastkowych zasad konstytucyi, by czynić zarzuty co do sprzeczności, które w rezolucyach komisji znajdował bardzo często; ale samowoli i arbitralności rezydentów nie było miary. Dobrocią więc tylko i przyjaźnią, jaką był związany z komisarzem rosyjskim Miacyńskim, mógł był odwrócić wiele z tych samowolnych zamachów komisyi. Komisya rozwiązała się z woli cesarza Aleksandra z końcem sierpnia 1818 roku, a zostawiła bardzo wiele operatów nieukończonych, wiele wcale nietknięte; prócz tego nie mieli rezydenci chęci po-

prawiania sprzeczności w rozmaitych artykułach, które już same z siebie były niedokładne. Taki niedowarzony utwór, kazano uważać senatowi jako prawo kardynalne. Ktokolwiek miał sposobność bliższego zastanowienia się nad całym utworem komisji, mógł odgadnąć prawdziwe zamiary dworów austriackiego i pruskiego i przewidzieć skutki wynikające z wspomnianych sprzeczności, niedokładnego rozgraniczenia władz i zawiłej niejasności artykułów. Przewidział wszystkie ztąd wynikające kolizje i skutki Stanisław Wodzicki, a protokoły posiedzeń senatu w aktach senackich zawarte, są najlepszym dowodem, ile razy przekonywał dotykalnie na sesjach swoich współkolegów o niedokładności artykułów w rozwinięciu konstytucji i o ich sprzeczności, ile razy wymownym słowem przestrzegał o tajemnych zamiarach dwóch dworów opiekuńczych, by przy pierwszym sporze władz miejscowych między sobą, miały sposobność w mieszania się do spraw Rzeczypospolitej; ile razy ich zaklinał, by ile możności wstrzymywali się od wszelkich z władzami kolizji! Wszystkie te niedokładności, wszystkie te sporne, nierozwikłane kwestye i zawiłości, były niczem innem, jak pułapką zastawioną na wrodzoną charakterowi polskiemu burzliwość i negacyą, która wcześniej czy później miała zniszczyć dopiero dźwigającą się budowę. Przeczuwał to Wodzicki, dlatego nie przestawał przemawiać, ostrzegać i łagodzić spory, a opozycja rozzuchwalona takim łagodnym i pojednawczym działaniem prezesa senatu, w przekonaniu że ustępuje przed jej rzekomym znaczeniem, nie przestawała wicherzyć i coraz więcej głowy podnosić, nie przestawała coraz więcej zjednywać stronników, zdobywać urzędy w sądownictwie, katedry w Akademii i krzesła w izbie poselskiej.

Na przewodnictwie w senacie i na posiedzeniach komitetów rozlicznych, nie ograniczała się jednakowoż działalność Wodzickiego w tém pierwszym trzechleciu. W tym bowiem w okresie, mając na uwadze tyloletnie klęski tej małej krainy a szczególnie miasta Krakowa, w skutek których statystyka ubogich wzrastała w olbrzymie rozmiary, powziął chwalebny projekt założenia domu opieki ubogich, albo Towarzystwa dobroczynności dla biednych, nie mających utrzymania. Opracował więc projekt, stosowny a po bliższej naradzie z Feliksem Grodzickim i ordynatem Stanisławem Mieroszewskim, przedłożył swój wniosek na posiedzeniu senatu, który go jednogłośnie zatwierdził. Wybrano natychmiast komitet dla napisania statutów i przedsięwzięcia odpowiednich kroków do organizacyi Towarzystwa. Znana dobroczynność krakowian była nie małą pomocą w zbieraniu funduszy, które spływały zewsząd bądź w większych, bądź w mniejszych kwotach i sumach, stosownie do hojności i zamożności niosących ofiary. Pani Arturowa Potocka, rodziny Wodzickich, Szenbeków, Morsztynów, Mieroszewskich, Potulickich, odznaczały się tutaj szczególnie ofiarnością, a przez uchwalenie subwencyi ze strony senatu i za pomocą ogólnej składki, zebrał się w krótkim czasie znaczny fun-

dusz tak, że już 9 grudnia 1816 roku, mogło nastąpić otwarcie Towarzystwa, dającego przytułek starcom i kalekom, nie mogącym zarobić na kawałek chleba. Na prezesa zaproszono księdza Woronicza, biskupa krakowskiego, na godność zaś wiceprezesa Stanisława ordynata Miosroszewskiego, który *de facto* wprowadził w ruch świeżo stworzoną machinę, która później z pomocą dobroczynności ludzkiej, funduszów szpitalnych i legatów prywatnych, doszła do tego bogactwa i zamężności, w jakiej ją dzisiaj widzimy. Prócz tego, zawiązał Wodzicki dla podniesienia gospodarstwa i ekonomicznego rozwoju prowincyi krakowskiej Towarzystwo rolnicze, którego sam był prezesem, starał się o podtrzymywanie Towarzystwa naukowego, które egzystowało wprawdzie ówczesnie, ale na bardzo słabych podstawach; rozpoczął w mieście budowę kanałów publicznych pod dyрекcyą Wojciecha Kucieńskiego,—słowem, gdzie tylko spojrzymy w ówczesne karty Krakowa, widzimy wszędzie doświadczoną i umiejętną rękę Stanisława Wodzickiego, pod którego kierunkiem Kraków począł się coraz więcej podnosić, wzrastał dobrobyt mieszkańców, kraj się rozwijał na drodze ekonomicznej i mógł się liczyć rzeczywiście do najszcześniejszych, konstytucyjnie rządzonych państw, gdyby nie prywatna i ambicye kilku ludzi, którzy dla osobistych celów narażali całą przez Stanisława Wodzickiego z takim mozółem podtrzymywaną budowę.

Przebiegłszy pokrótce działalność Wodzickiego w pierwszym okresie trzechletnim, skreśliwszy grupowanie się stronnictwa opozycyi, przechodzimy następnie do walki, jaką jeszcze i senat staczał z dwoma korporacyami niezależnymi od władzy, do walki z Akademią i jej rektorem, następnie do walki z sądownictwem, a przedstawivszy fakta według źródeł autentycznych, zostawimy sąd bezstronny uznaniu czytelnika. (*d. c. n.*)

Z Wiednia do Pesztu i Białogrodu.

I.

Dunajem do Pesztu.

„Wiedeń nad modrym Dunajem,” to tak samo banalny frazes, jak przydomek „città fedelissima,” zastosowany do Tryestu, albo znane przysłowie: „Vedere Napoli e poi mori,” albo też dawniejsze: „Kto nie widział Madrytu, nie nie widział.” Wiedeń nie leży wcale nad modrym Dunajem. Wiedeńczycy dostrzegają go tylko, gdy w lutym lub marcu tłumami zdążają do dalekiego Nussdorfu, aby się przekonać, czy słynny Sperrschiff żelazny, wynalazek dzisiejszego członka izby panów Engertha, istotnie zabrania krom wstępu do kanału; latem zaś widują Dunaj na swych wycieczkach z Kahlenbergu. W Wiedniu samym nigdzie go nie widać. Tam płynie tylko ciasny i brudny, wcale nie modry, kanał, który dzieli przedmieście Leopoldstad od głównego miasta.

Tym kanałem od przystani przy moście Aspern, w poniedziałek 6 sierpnia r. b., zrana o godzinie 7-ój wyruszyliśmy w wielkim tłumie pasażerów na malutkim parostatku, odbywającym służbę omnibusów. Na brzegu stoi mnóstwo krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy przy odjeździe powiewają chustkami, jakgdybyśmy wybierali się w podróż około świata. Na pokładzie stajemy w pobliżu grona oficerów, którzy czytają ranne dzienniki, zapełnione oczywiście szczegółami o dopiero co skończonym, po całorocznych przesileniach i niespodziankach procesie tisz-eczslarskim, i napróżno badają jeden drugiego, co to mogła być za sprawa Mortary, którą przypomina „Nowa Presse”? Po całogodzinnej jeździe przybywamy wreszcie do głównego koryta Dunaju, gdzie na nas czeka wielki parowiec. Przesiadamy się więc, oddajemy kufarki do garderoby, kto nie wypił kawy w hotelu lub w domu, zasiada w gustownej kajucie o czerwonych aksamitnych kanapach do śniadania, niebawem zaś wszyscy zbierają się na pokładzie. Teraz Dunaj przedstawia się wspaniale. Przed nami i za nami ogro-

mna sina wstęga około 1000 metrów szeroka. Przy lekkim wietrzyku pienia się fale, pod gorącemi strzałami słońca igrając w najrozmaitszych kolorach. Brzegi gęsto zarosłe wierzbami. Raz po raz z wody wynurzają się wierchołki drzew małych wysp w części zalanych. Ptaki morskie krążą po falach. Słowem, krajobraz dziko-romantyczny, zwłaszcza, że nigdzie nie dostrzedz ani wioski, ani chaty nad brzegiem.

Dla tych, co tę podróż odbywają nie po raz pierwszy, krajobraz staje się przecież niebawem monotony. Szukamy więc rozrywki, oglądając dokładnie parowiec, na którym mamy spędzić dzień cały. Dziś jestto „Iris.” Nikt, wsiadając do wagonu, nie raczy spojrzeć na maszynę parową, a w miarę jak one się mnożą w sposób zdumiewający, wyschła też wyobraźnia fabrykantów; zamiast wymyślać nowe nazwy, kładą teraz poprostu prozaiczny numer. Tymczasem, imię okrętu oddziaływa jeszcze na uczucie pasażerów; żaden nie omeszka dowiedzieć się go i spamiętać. „Iris” jest jednym z średnich parowców Towarzystwa żeglugi parowej na Dunaju, posiada siłę 100 koni, kosztował 160,000 fl. i dziś zapisany w księgach Towarzystwa wartością 143,335 flor. Największe parowce Towarzystwa są „Czerna” i „Jan Baptista,” o sile 300 koni, dalej „Erös,” „Kolowrat,” „Kübeck,” „Magyar” o sile 200 koni i t. d., wszystkie zresztą odznaczają się wytworném urządzeniem, wspaniałemi kajutami, do których przytyka zwierciadlany salon dla dam, wygodnemi kanapami, przyjemném oświetleniem (na parowcu „Iris” właśnie teraz wprowadzają oświetlenie elektryczne), przedewszystkiém zaś wyborną kuchnią i winami. Table d’hote na tych statkach śmiało stanąć może obok obiadów najlepszych hoteli wielkomijskich.

Towarzystwo żeglugi parowej na Dunaju założyli dwaj Anglicy John Andrews i Józef Prithard, którzy uzyskawszy w r. 1828 od rządu wiedeńskiego koncesyę, w dwa lata potem utworzyli istniejącą dotąd spółkę. Pierwszy parowiec „Franciszek I” dnia 4 września 1830 roku wyjechał z Wiednia do Pesztu, w roku następnym rozpoczęła się regularna jazda pomiędzy temi miastami, nieco później do Semlina, od roku 1834 aż do Gałaczu. Na rok 1882 budżet Towarzystwa żeglugi parowej wynosił poważną sumę 78 milionów flor. Wartość statków (159 parowców, 20 propelerów (malutkich parowców, które utrzymują komunikacyę pomiędzy dwoma brzegami Dunaju, w Buda-Peszcie), 645 okrętów transportowych, remorqueurów i t. d., wynosi 17,685,354 fl., wartość zabudowań 3½ miliona, kolei z Mohacza do Pięciokościołów 8 milionów, kopalni pod Pięciokościołami, w komitacie szabalczkim, i pod Vasasarem 9 milionów i t. d. W ciągu lat 20 liczba pasażerów na liniach Towarzystwa podwoiła się. W r. 1863 liczono na parowcach pasażerskich 759,767 osób, na parowcach lokalnych, przewozowych, 654,026; w r. zaś 1882 na pierwszych liczono 1,748,796, na drugich 1,588.065 osób; przewóz towarów podniósł się z 985,634 bez. w r. 1863, na 1,674,862 bez. w r. 1882, przyczém trzeba

uwzględnić, że w tym czasie powstało mnóstwo nowych kolei żelaznych, które tworzą dla Towarzystwa żeglugi parowej bardzo niebezpieczną konkurencją¹⁾. Jakoż, odkad koleją austriacko-francuzką można dojechać wprost do Bukaresztu, ubył parowcom bardzo znaczna część dawniejszych pasażerów rumuńskich; tak samo, skoro będzie ukończona kolej żelazna z Pesztu do Semlinu i Białogrodu, a dalej do Sambułu, ubędzie im druga serya pasażerów. Towarzystwo jednak umie odkrywać coraz nowe drogi zysku: buduje koleje żelazne, eksploatuje kopalnie i t. d., a nadto pod względem przewozu towarów, zawsze będzie skutecznie współzawodniczyć z kolejami żelaznymi.

To pewna, że kto nie śpieszy zbyt, dla kogo czas nie jest pieniądzem, jak mówią Anglicy, kto szuka wrażeń, malowniczych krajobrazów i wygody, ten podróż z Wiednia do Pesztu i do Białogrodu nie odbędzie inaczej, jak tylko parowcem na Dunaju. Wprawdzie jazda koleją z Wiednia do Pesztu pociągiem pośpiesznym trwa tylko ośm godzin (od drugiej do dziesiątej wieczorem), jazda parowcem zaś od 7-jej rano do 7½ wiecz., ale jakże sownie tę zwłokę wynagradzają różnego rodzaju przyjemności żeglugi na Dunaju, których nie doznawamy na prozaicznej jeździe, a właściwie wśród szalonego lotu pociągu pośpiesznego! Co do mnie, podróż Dunajem do Pesztu odbyłem kilka razy, natomiast po raz pierwszy, w lipcu r. b. wracając z Ischlu poznałem także Dunaj od Linczu aż do Wiednia. Trudno sobie wystawić odmienniejszy charakter tej samej rzeki na dwóch przestrzeniach. Tam, od Linczu aż do Wiednia Dunaj z trudnością wyłamuje sobie drogę wśród górzystego kraju; skaliste brzegi, gęsto zaludnione miasteczka i wioski osiadły tuż nad rzeką; tu most, pod którym przejeżdża parowiec, tam lecący świszcząc i dymiąc nad samym brzegiem pociąg kolei żelaznej, świadczą o wielkim ruchu, przemyśle i życiu. Wzgórza zdobią pałace bogatych opactw (Melk) albo szczątki historycznych zamków, które przy ciągłych wykrętach rzeki czasem widać bardzo z daleka i z różnych stron, zanim parowiec do nich dotrze. Wymieniam tylko ruinę Dürrenstein (Tyrnstein) w Niższej Austrii, gdzie według podania w r. 1292 król angielski Ryszard Lwieserce po powrocie z krucjaty przesiedział trzy miesiące, więziony przez arcyksięcia Leopolda, i gdzie (zawsze według legendy, bo krytyka historyczna podaje to w wątpliwość) powstała słynna, zwłaszcza od pamiętnej nocy w pałacu wersalskim pieśń trubadura Blondela:

„O Richard, o mon roi, si l'univers t'abandonne” i t. d.

Za Wiedniem jeszcze kilka mil przeważa okolica górzysta. Odnogi Karpat z północnej strony, przednia straż Alp z południowej przy stacji Deveny (Theby), gdzie spostrzegamy wielką ruinę starożytnego zamku, nad ujściem Morawy do Dunaju, zwiężają koryto rzeki

¹⁾ Por. „Geschäftsbericht der Betriebsdirection der ersten K. K. privilegierten Donau Dampfschiffahrtsgesellschaft.” Wiedeń, 1883.

do 292 metrów: to porta hungarica! Odtąd nastaje ogromna płaszczyna. Majestatycznie, jakby dumny z odniesionego w dawniejszej walce o byt zwycięstwa, poważny Danubius toczy tu swe wody w szerokiem korycie na wschód. Żadna już nie staje mu w drodze przeszkoda. Brzegi płaskie, piaszczyste, jednostajne, pokryte wierzbami, topolami i trzciną, ogołocone z wszelkich malowniczych znamion. Tylko liczne oryginalne młyny, spoczywające na dwóch czołnach w rzece stanowią osobliwość, która nam towarzyszy aż do Białogrodu. Wsie i miasta ostrożnie przed niebezpiecznymi kaprysmi Dunaju, usunęły się daleko w głąb kraju. Stacye, przy których się zatrzymuje parowiec, to szopa wśród lasu karpobowego. Kilkanaście osób zwykle tam czeka na parowiec, aby usiąść, albo przyjmować oczekiwanych gości. Śród wieśniaków i skromnie odzianych rzemieślników lub kupców, zwykle zjawia się tam para, albo też pani sama w wykwinnym stroju, według najnowszego żurnalu mód paryzkiego. Często w Węgrzech dostrzedz można tego kontrastu. W roku zeszłym o tej samej porze odwiedziłem Tokaj. Niedaleko stacyi Tarczalu, na gołém polu odbywał się targ na konie. W ogromnym półkole rozłożyły się namioty, budy jarmarczne i całe szwadrony koni. Roiło się od Csikosów w białych kamizelkach i szerokich białych szarawarach, od włościan w niebieskich kurtkach, od różnobarwnie odzianych dziewcząt i czarno ubranych pejsatych żydów, aż nagle wśród tego tłumu, jak na targu w Ryszmondzie w „Marcie,” zjawia się para elegancka, albo też pani sama w jedwabiach (sic). Naszym wyobrażeniom zachodnim sprzeciwia się, występować na jarmarku, jak na balu; ale to pewna, że malowniczość tych scen ludowych w Węgrzech, wiele zyskuje na tej strojności szlachty madziarskiej. Czasem tylko, jak przy stacyi Kortvelyes, kilkanaście brudnych bryczek, stojących na brzegu, dozwala się domyślać, że w pobliżu znajduje się większe miasto (Somerein). Zresztą całemi godzinami nie dostrzedz ze statku ani chaty, ani śladu ręki ludzkiej. Cicho wszędzie i pusto. Czasem mimowolnie nasuwa się myśl, czy nie my pierwsi drogą, na której nie powstała stopa ludzka, płyniemy w nieznanne kraje?

Jednostajność jazdy przed stacją Deutsch Altenberg przerwała jedna z tych przygód, które się tam zdarzają niekiedy, ponieważ piaszczyste łoże rzeki nieustannie się zmienia tak, że najbardziej doświadczony kapitan, nie może zawsze uniknąć niespodzianki: „Iris” około godziny dziewiętej ugrzązł w piasku. Z razu mało który z pasażerów zwrócił na to uwagę. W pięć minut jednak cały pokład zapełnił się ciekawą publicznością. Przez pół godziny machina pracuje podwójną siłą; żelazne koła wyrzucają fale piasku, rzeka dokoła przybiera barwę żółtą, ale parowiec nie rusza z miejsca. Wreszcie zbliża się trzymany w pogotowiu remorqueur i szarpiać nas to w tył, to na przód, to na boki, po blisko całogodzinnych zapasach, wyswabadza „Iridę” z przykrego położenia. Ale, trwało to wszystko blisko dwie godziny. Pociąg, zatrzymany przypadkiem, może przyspieszoną jaz-

dą wynagrodzić sobie zwłokę, parowcom niedostaje tej możności. Wiemy więc wszyscy, że nie staniemy na czas w Peszcie, a zatem nie użyjemy dziś tego wspaniałego widoku, który się nastrecza turystom, przybywającym do stolicy węgierskiej o zachodzie słońca.

Zamiast o godzinie 10-jej, jak nakazuje plan jazdy, dopiero około godziny 12-jej przybywamy do Preszburgu (Pozsony), gdzie dawniej obradowały sejmy węgierskie, gdzie się wydarzyło owe słynne: „Mori-amur pro rege nostro” za czasów Maryi Teresy, gdzie się odbywała koronacja królów i gdzie około roku 1830 na sejmie zajaśniały poraz pierwszy nazwiska Ludwika Kossutha, Szechenyiego, Deaka i innych patriotów. Dziś Preszburg jest tém dla Węgier, co Hradec Styryjski dla Cislitawii, ulubioném miejscem spoczynku wysłużonych wojskowych i urzędników, pensjonopolis węgierskie, a nadto celem świątecznych wycieczek Wiedeńczyków, których tam zwabiają wykwiintna restauracya „pod zielonem drzewem” i znakomite wina Pallugyaja. Malownicze wzgórze, zasiane pięknymi, w większej części nowemi kamienicami, wieńczą szczątki dawniej bardzo silnej fortecy. Oba brzegi rzeki łączy tutaj spoczywający na czołnach most, który się grzecznie rozstępuje przed nadjeżdżającemi okrętami.

Tuż za Preszburgiem od głównej rzeki odłącza się w północnym kierunku małe ramię, które następnie łączy się z rzeką Waag i dopięro pod Komornem znowu powraca do głównego koryta. Pomiedzy dwoma ramionami spoczywa ogromna, 83 kilometrów długa, 15—30 kilometrów szeroka wyspa Csalloköz (Schütz), zasiana 200 wioskami¹ i miastami. Na wschodnim krańcu wyspy leży najsilniejsza warownia węgierska: Komorno. Dopięro około godziny 4-tjej zbliżamy się do tej ciekawej stacyi. Już o całą milę przed Komornem można dostrzedz daleko wysunięte wały forteczne. Nad brzegiem cały szwadron ułanów w kostiumie Adamowym pławi konie w Dunaju. Dalej z obu stron rzeki mnożą się wały. Niewtajemniczonym w misterya sztuki fortyfikatorskiej, tym, którzy zwykli siłę fortecy mierzyć według wysokości murów, Komorno sprawi wielką niespodziankę. Murów tu prawie wcale nie widać. Wszędzie tylko nizkie wały, gdzieniegdzie połączone równie nizkimi murami. Ale z dwóch stron spoczywająca niejako na półwyspie forteca, zabezpieczona jest Dunajem. Oprócz kilkakroć stotysięcznej armii lądowej, trzeba by więc nadto całej flotyli pancerników, aby ją zdobyć. Od strony lądu zaś, pomiedzy dwoma ramionami Dunaju broni warowni tak zwana linia palatynałna, łańcuch silnych fortów, tém trudniejszych do zdobycia, ponieważ bagnista okolica utrudnia przystęp. Podwaliny fortecy tej, po madziarsku Komarom, położył król Maciej Corvinus, dopięro jednak w r. 1808 wykończono główne baszty i liczne enveloppy. Węgrzy Komorno nazywają warownią dziewiczą, dotąd niezdobytą, zdobył ją jednak na początku XIV wieku król Robert neapolitański, a w r. 1527 król Ferdynand habsburski. Natomiast Komorno oparło się zwycięzko Turkom w r. 1594 i 1663, następnie wojskom austriackim w r. 1818 i 1819.

Załogą węgierską dowodził tam od pierwszych dni czerwca r. 1849 generał Jerzy Klapka i dopiero w ostatnich dniach września, po katastrofie pod Villagos, oddał fortecę dowódcom cesarskim na mocy układu, który oddziałom węgierskim zapewniał wolne odejście z wszelkimi honorami wojskowemi.

Jeszcze z innego tytułu Komorno zasługuje na ciekawość turystów. Tu dnia 19 lutego r. 1825 z szlacheckiej rodziny kalwińskiej urodził się najznakomitszy, nadzwyczajną płodnością przypominający Kraszewskiego powieściopisarz i publicysta madziarski, Maurycy Jokay. W Komornie też odgrywają się główne akta jednej z najlepszych jego powieści: „Arany Ember” ¹⁾. Kto raz odczytał tę jakby z marmuru wyciosaną powieść, nie zapomni już i głównych figur i wątku wypadków. Jedną z najznakomitszych scen stanowi nocna przeprawa uciekającego przed złotem głównego bohatera powieści, Timara, przez zamarzły Dunaj z Komorna na brzeg południowy. Kto to czytał, nie zwiedzi tych miejsc bez głębokiego wzruszenia.

Dopiero pod Ostrzygoniem, dokąd zamiast o godzinie 4-tój, przybywamy o 6-tój, koryto znowu się zwięża wśród brzegów górzystych. Miasto leży na pochyłości wzgórza, tuż nad prawym brzegiem Dunaju. Zdaleka świeci 80 metrów wysoka kopuła katedry, której budowę rozpoczął w r. 1821 prymas Rudnay, a wykończył kardynał Scitovszky. Nadzwyczaj wspaniała z zewnątrz katedra, ma być jeszcze świetniejsza wewnątrz, ozdobiona znakomitym obrazem Grigolettego: „Wniebowzięcie N. Maryi Panny,” pomnikiem prymasa Ambrosyusza dłuta Canowy i t. d. Poniżej, tuż nad Dunajem, stoi gustowny pałac prymasa, tuż obok nowo wystawione seminaryum i pałace, jak wiadomo, bardzo hojnie wyposażonych kanoników ostrzygońskich. Co tam o nich opowiada złośliwa fama, doczytać się można w obfitującym w tłuste anegdotki dziele Victora Tissota: „Voyage au pays des cyganes.” Mnie tutaj, rozumié się, przysły na myśl inne wspomnienia. Któż z nas, zwłaszcza w tych dniach i w tym roku, nie byłby sobie przedewszystkiem przypomniął bitwy pod Parkanami i zdobycia Ostrzygonia? W Ostrzygoniu dowodził dość znaczną załogą basza Sofii. Do Parkan, wioseczki na lewym brzegu Dunaju, naprzeciwko Ostrzygonia, wyruszył z Budy Kara Mehemed z Tatarami: tam miał się z nim połączyć Tekeli. Król Jan Sobieski, maszerując wciąż od Wiednia na czele wojsk sprzymierzonych, dnia 3 i 4 października 1683 r. przeprowił się pod Komornem przez rzekę Waag, czyli lewe ramię Dunaju, 6 paźdz. stanął o dwie mile od Parkan. Następnego dnia z rana król uderzył na Parkany, gdzie niespodzianie napotkał na bardzo znaczne siły tureckie; po stracie 2000 żołnierza, sam zagrożony kilkakrotnie śmiercią, musiał się cofnąć, aż wreszcie nadeszła armia cesarska, która zbyt późno wyruszyła od Komorna. Następnego dnia wojska sprzymierzone

¹⁾ Dosłownie: mąż złota, Goldmensoh; w polskim przekładzie powinno to brzmieć: „Złoto a szczęście.”

odpoczęły. Tegoż dnia młody, energiczny basza Budy, Kara Mehed, stanął w Parkanach, zajętych teraz przez 16,000 Turków. Dnia 9 października wojska sprzymierzone, po zaciętej walce zdobywają Parkany. Most, łączący Ostrzygoń z Parkanami, zapada się pod karcaczami cesarskimi. Turcy wtedy rzucają się do Dunaju, gdzie „powstaje straszliwy most z ciał ludzkich i koni.” Dnia 20 i 21 października sprzymierzone wojska po świeżo wystawionym powyżej Ostrzygonia moście przeprawiają się na prawy brzeg Dunaju, 22 października rozpoczyna się oblężenie bardzo silnej, zajętej przez Turków poraz pierwszy w r. 1543, powtórę zaś w 1605 fortecy, która 27 października poddaje się Janowi III. Tu pod Ostrzygoniem król bohaterski godnie dokonał dzieła, tak świetnie rozpoczętego pod Wiedniem; a my, mijając i to miejsce, możemy westchnąć: „Quae regio, quae tellus non plena nostri laboris!”

Dunaj teraz w znacznie zwężonem korycie, śród stromych wzgórz, pokrytych bujnemi winnicami, wywija to w prawo, to w lewo, czasem nawet, jak pomiędzy Szob a Nagy Marosz, tworzy półkole. Przeto krajobraz przy złączających rzekę i wzgórz to z téj, to z innéj strony promieniach zachodzącego słońca, przybiera ciągle nowe, romantyczne kontury. Zrazu kopuła katedry ostrzygońskiej pozostaje w tyle za nami, potem nagle widzimy ją pomiędzy wzgórzami po prawej stronie parowca, nakoniec przy nowym śmiałym skrócie rzeki ukazuje się nam po lewej stronie. Jakby w czarodziejskim kalejdoskopie, mijają jasno oświetlone wierzchołki wzgórz z ciemnymi już dolinami, fale Dunaju zaś świecą najrozmaitszemi barwami, za parowcem tylko ciągle wije się coraz to jaśniejsza wstęga srebrna. Już zmierzch zapada, gdy na prawym brzegu ukazują się na stromém, przeszło 1000 stóp wysokim wzgórz szczytki zamku wyszegradzkiego. Najlepiej zachowana okrągła wieża u podnóża góry, zwana wieżą Salomona, gdyż tam król węgierski tegoż imienia był więziony przez 1½ roku. Za czasów Karola Roberta andegaweńskiego tu znajdował się pałac królewski, tu odbyło się świetne wesele króla z Elżbietą Piastówną i tutaj 5 marca 1326 r. urodził się Ludwik W., król węgierski i polski. W pałacu wyszegradzkim téż w listopadzie r. 1335 odbył się zjazd trzech najwybitniejszych władców wschodnich swego czasu: Kazimierza Wielkiego, Jana, króla czeskiego, ostatniego błędnego rycerza na tronie, i przebiegłego Karola Roberta, który uczcił swych dostojnych sąsiadów huczniemi festynami. (Świecie króla polskiego dostarczano dziennie 108 beczek (?) wina, świecie króla czeskiego 2500 chlebów). Śród tych uczt i zabaw, na podstawie układów trenczyńskich przyszedł do skutku sojusz pomiędzy trzema sąsiednimi państwami, w równéj mierze zagrożonemi przez ówczesny germański „prąd na wschód,” tudzież stanęła ugoda specjalna pomiędzy Polską a Czechami, na mocy której król Jan przestał używać tytułu „króla polskiego” ¹⁾. Ztąd potem 26-letni Kazimierz

¹⁾ Porównać: Szujski: „Dzieje Polski,” t. I, str. 230; Caro: „Geschich-

Wielki pojechał z Janem do Pragi, gdzie na cześć króla polskiego odbyły się ponowne świetne uroczystości. Na zamku też wyszegradzkim odegrała się tragedia nieszczęśliwej Klary Zachówniej, uwiedzionej przez brata królowej. Zrozpaczony ojciec, sędziwy Felicyan Zach, 7 kwietnia r. 1330 napadł przy obiedzie rodzinę królewską, zranił króla i królową, aż od sług dworskich został zabity ¹⁾. Później król Maciej Korwinus na wierzchołku wzgórza wystawił pałac o 350 pokojach, nad którym unosili się współcześnie, zowiąc go „rajem ziemskim.“ Mało kto dziś po tych kilku gołych ścianach i po tej okragłej wieży domyśli się tych świetności. Natomiast u podnóża góry zamkowej wzrok zdumiony zatrzymuje się na przeszlicznym, bielu-tkim pałacyku o zielonych żaluzjach, jakby dżutem Canovy wyciosanym z kararyjskiego marmuru. Jest to nie do opisania urocze cacko architektoniczne, godne być przytułkiem jakiej zaklętej królowej, jakiego „dornröschen,” albo też jakiej Armidy, która łaską czarodziejską cudny ten pałacyk wskrzesiła śród nędznych domków Wyszegradu (liczącego dziś około 1300 mieszkańców), u podnóża ponurzej ruiny zamku królewskiego.

Niedaleko za Wyszegradem Dunaj znowu rozdziela się na dwa ramiona, tworząc dość znaczną wyspę ś. Andrzeja. Już po zachodzie słońca przybывamy do starożytnego miasteczka Weizenu o wspaniałej, dokończonj w roku 1777 katedrze. Tu Dunaj, płynący dotąd w kierunku wschodnim, nagłym zwrotem w prawo uderza w południową stronę, z pogardą pozostawiając na lewym boku ogromną płaszczyznę, a dumnie wyzywając i zaczepiając skały i góry, które mu bronią drogi od południowej strony aż do Budy. Podróż trwa jeszcze przeszło godzinę, noc zapada, mijamy zieloną wyspę Małgorzaty, tymczasem przed nami zabłysło tysiące światel; po lewej stronie to Peszt, po prawej to Buda, a w środku świecą latarnie gazowe z grzmiących od turkotu powozów i tramwayów mostów Małgorzaty i łańcuchowego, pod któremi parowiec przejeżdża, aby nakoniec około godziny 9½ stanąć u nabrzeża peszteńskiego. Ogromny tu ruch. Tłumy komisyonerów, portyerów hotelowych i t. d., dalej krewnych, przyjaciół i ciekawych flanerów oczekują nas na brzegu. Długi szereg fiaków uzupełnia obraz życia wielkomijskiego. Do hotelu pod „Królem węgierskim” od przystani tylko kilkaset kroków, ruszamy więc pieszo w drogę. Z nabrzeża po wygodnych schodkach wstepujemy na wywyższone Corso, czyli quai Franciszka Józefa, makadamizowany, nieprzystępny pojazdom, wysadzony pigną aleją kasztanów. Przy falach światła elektrycznego noc tu zamienia się w jasny dzień. Przed wykwintnym hotelem „Grand Hungaryan” roi się od tłumu przechodniów; mnóstwo

te Polens,” t. II, str. 187, i L. Hevesi: „Budapest und seine Umgebungen,” Pest, 1873.

¹⁾ Poeta węgierski, Arany, opisał to wydarzenie w jednjej z swych najlepszych ballad.

osób siedzi na trotuarze przy eleganckich stolikach, jak na bulwarze Włoskim w Paryżu, tylko że tam nie dostaje czarującej dekoracyi Dunaju. Jeszcze kilka kroków, a stajemy w hotelu; w dziedzińcu ogródkowym przy dźwiękach jednej z najwytworniejszych kapeli węgierskich, zasiadamy do smacznój wieczerzy.

Jeżeli prawda, że „morze lub wielka rzeka są niejako naturalnym zwierciadłem, w którym się odbija charakter mieszkańców,” to z właściwością Dunaju od Deven aż do Wrót Żelaznych możnaby z góry domyślać się dwóch mianowicie znamion charakteru Madziarów: melancholii i energii. Tylko napozór są to sprzeczne właściwości. To zupełnie stwierdza się na Madziarach. Przysłuchajmy się tylko narodowej grze cyganów, która zrazu do łez rozrzewnia słuchaczy, nagle zaś wprawia nas w zdumienie pustotą; zobaczymy tylko jak ci smętni tancerze nagle w czardaszu zdobywają się na zastraszającą niekiedy namiętnością wesołość! Że zaś naród madziarski, jak Dunaj, kiedy mu przyjdzie walczyć z przeszkodami, odznacza się nadzwyczajną energią, o tém dostatecznie świadczą jego 1000-letnie dzieje. Znacomity dziejopisarz i patryota czeski Franciszek Palacky wypowiedział w swych „Dziejach narodu czeskiego” zdanie, że osiedlenie się Madziarów nad Dunajem było straszną klęską dla Słowian, rozdzielając północnych od południowych i wydając drugich z czasem na pastwę Turkom. O takiej hipotezie: co byłoby się stało, gdyby Madziarzy nie byli wbili się klinem do dzierżaw słowiańskich?—można rozprawiać i sprzeczać się bez końca. Możnaby np. wyrazić zdanie, że właśnie inwazyja madziarska przyczyniła się znacznie do obudzenia samowiedzy różnych narodów pochodzenia słowiańskiego. Przedewszystkiēm jednak nasuwa się przypuszczenie, że gdyby nie był w tych stronach osiadł obdarzony tak nadzwyczajną energią i wytrwałością naród madziarski, Dunaj byłby się stał rzeką niemiecką, czēm teraz nie jest. Od Deven aż Draueku przy ujściu Drawy do Dunaju, Madziarzy umieli się zwycięzko oprzeć germańskiemu prądowi na wschód. Od czasu, gdy osiedli w tych stronach, nie utracili ani piędzi ziemi, kiedy rozległe kraje słowiańskie pomiędzy Łabą a Odrą padły ofiarą germanizacyi. Dopiero w południowych Węgrzech, w tak zwanój Baczce i Wojewodzinie, około Nowego Sadu i Temeszwaru, jakotēż w Pograniczu wojskowym, to jest tam, gdzie prąd germański na wschodzie napotkał już nie twarde Madziarów, lecz na miękkih, słabszych, uleglejszych Słowian, namnożyły się osady niemieckie, które dziś nadają tym okolicom dość wyraźne znamię germańskie i stanowią niejako konduktor niemieczyny, nie kończący się nawet w Białogrodzie ¹⁾. To tēż, jak z jednej strony zupełnie są nam zrozumiałe nieustanne umizgi germanizatorskiego centralizmu do Słowian południowych, zwłaszcza do Chorwatów, których zawsze używano jako dźwignie — niemcy mówią

¹⁾ Por. „Völker- u. Sprachen-Karte von Oesterreich u. den Unterdonau-Ländern,” von H. Kiepert, Berlin, 1867.

„Kanonenfutter” przeciwko Madziarom, tak z drugiej strony byt narodu madziarskiego uważamy jako najtrwalszy filar monarchii austriacko węgierskiej, nie niemieckiej i germańskiej, lecz opartej na uznaniu różnych, równouprawnionych narodów.

II.

B u d a p e s z t.

Aż do najnowszych czasów Buda i Peszt ¹⁾ stanowiły dwa samodzielne miasta, dopiero w roku 1873 zjednoczone zostały w jedną gminę. Aby ocenić należycie zdumiewająco, na amerykańskie rozmiary rozkwit Buda-Pesztu, trzeba przynajmniej w głównych rysach przypomnieć sobie dzieje stolicy węgierskiej.

Przechodziła ona bardzo zmienne koleje. Już ś. Stefan około r. 1015 wystawił kilka kościołów w Budzie. W XIII stuleciu kanonik Roger wielkodaradyński nazywa Peszt „bardzo wielkiem i bogatym niemieckim miastem.” Tatarzy ogniem i mieczem zburzyli miasto (r. 1241), mieszkańców uprowadzili w jasyr. Po wygaśnięciu rodu Arpadów, gdy się zaczęły odbywać sejmy na pobliskim polu Rakos, stolica szybko się podniosła. Ludwik W. i Zygmunt Luksemburski znacznie upiększyli Budę. Zygmunt założył tam wszechnicę, zwaną „Sunda” (Sigismunda), sprowadził z Francji dwustu artystów i rzemieślników i wystawił świetny pałac królewski. Najwięcej jednak do rozkwitu stolicy przyczynił się król Maciej Corwinus. Podróżni wówczas z uniesieniem opisywali Budę, a przedewszystkiem nadzwyczaj okazały pałac królewski. Po klęsce pod Mohaczem (1526) Turcy owdągnęli Budę i Peszt, gdzie wytrwali aż do roku 1684. W tym długim okresie 145 lat, stolica utraciła wszystkie znamiona dawniej wielkości i odtąd bardzo zwolna tylko wracała do życia. Jeszcze w r. 1838, dnia 13 marca, wylew Dunaju, który trwał aż do 17 marca, z 4251 kamienic, które wówczas liczono w Peszcie, zupełnie zburzył 2281, mocno uszkodził 827; w Budzie z 762 domów, pozostało tylko 91 nie uszkodzonych. Aż do r. 1860 stolica Węgier znajdowała się w stanie stagnacji.

Z tych uwag wynika, że jakkolwiek trzeba zaliczyć Budapeszt do najstarszych miast Europy, nie było tam jednak ciągłości roz-

¹⁾ Według podania, nazwa Budavar (miasto Budy) pochodzi od króla Budy, zabitego tam przez brata swego Atyllę, co znakomity poeta madziarski Arany opisał w swym poemacie: „Śmierć Budy.” Według innego domysłu, Słowianie dawną osadę rzymską Aquincum (aque quinque) nazwali „wuda” (woda), z kąd powstała Buda. Nazwę „Peszt” wyprowadzają od bułgarskiego „pest”, czyli piec. Zob. L. Hevesi: „Budapest,” tamże r. 1873. W r. 1857 liczono w Peszcie 131,705, w Budzie 55,240 mieszkańców,—w roku 1870 na obydwie miasta 270,476,—obecnie Budapeszt liczy blisko 400,000 m.

woju historycznego jak w Krakowie, w Pradze, w Wenecyi i t. d. Inwazyja Tatarów i Turków po dwakroć, jak wielki pożar, zburzyły miasto do szczętu. W Krakowie, Pradze i Wenecyi na każdym kroku napotykamy pomniki dziejowe; ani w Budzie, ani w Peszcie nie dostrzeżesz ich, bo i pałac na wzgórzu budzińskiem i cytadela na drugiem wzgórzu (Bloksberg) pochodzą z nowszych czasów. Ktoby więc w Budapeszcie szukał starożytności, ten mocnoby się zawiódł.

Zato pod względem malowniczego położenia, stolica węgierska przewyższa niewątpliwie wszystkie inne miasta. Przybywając parowcem za dnia, z daleka spostrzegamy na prawym brzegu wysokie wzgórze, pokryte domami i wieżami, po lewej zaś stronie, w płaszczyźnie morze domów. Pod wyspą Małgorzatą jeszcze 500 metrów szerokie koryto Dunaju, następnie powoli się zwęża, aż tam, gdzie Bloksberg wyskakuje naprzód, wynosi już tylko 160 metrów. W miarę, jak się zbliżamy do miasta, a zwłaszcza skoro minniemy most Małgorzaty, cudowna panorama przybiera wyraźniejsze kontury. Na prawym brzegu amfiteatralnie piętrzą się wzgórza. Najprzód zielona, pokryta winnicami góra Kalwaryi, potem wzgórze zamkowe, którego wierzchołek zdobi poważny pałac królewski, otoczony pałacami magnatów; od pałacu królewskiego aż do nabrzeża, pochyłość wzgórza mieści wspaniały park zamkowy, u wejścia świeżo ozdobiony przepyszniemi arkadami o wykwintnych filarach i pawilonikach. Dalej na wzgórzu Bloksbergu sterczą ogromne stare mury cytadeli. Na przeciwnym brzegu rząd nowych, wystawionych w najgustowniejszym stylu pięciopiętrowych kamienic, od czasu do czasu tylko wyszczerbiony zieleniejącym placem lub promenadą, tworzy niejako kulisy, za któremi się ukrywa Peszt. Trzeba stanąć na wzgórzu zamkowym, na które w pięciu minutach wjeżdżamy wygodną koleją o linie (drahtseilbahn), aby z téj wyżyny objąć wzrokiem labirynt domów i ulic Pesztu, dalej zielony lasek miejski i dalej jeszcze rozciągającą się za miastem równinę Rakosu. Na odwrót z nabrzeża peszteńskiego cudowny otwiera się widok na poważny amfiteatr Budy, zrana jaśniejący pod strzałami słońca, łamiącemi się w złotych krzyżach kościołów i blaszanych dachach pałaców, wieczorem błyszczący od tysiącznych lamp gazowych czarownic, aniżeli najsztuczniejsza iluminacya miejska. Stanąć wieczorem na piazecie w Wenecyi lub na corso peszteńskim, to w równej mierze pozostawi w pamięci niezatarte nigdy wspomnienie.

W środku zaś szumi potężny, siny Dunaj, kilkakroć szerszy niż Wisła pod Warszawą. Najwięcej jeszcze to panorama budopeszteńskie przypomina Pragę, Tylko, że Hradczyn, pod względem zabytków starożytnych nierównie bogatszy od Budy, nie dorównywa jój jednak ogromem; tak samo słynny taras Brühlowski w Dreźnie nie wytrzyma porównania z corso peszteńskim. Na Dunaju ruch wielki. Tu przesuwają się z jednego brzegu na drugi malutkie omnibusowe parowce (propelery) przewożące pasażerów z Budy do Pesztu i na odwrót; tam płynie to w tę, to w drugą stronę większy parowiec z tych,

co utrzymują komunikacją pomiędzy stolicą a sąsiednimi stacyami, Promentorem na wschód, Weicenem na zachód; wreszcie raz poraz wśród téj zwinnéj flotyli zjawia się poważny parostatek największych rozmiarów, dążący to do Wiednia, to w daleką drogę do morza Czarnego. Przy obudwu brzegach setki statków stoją na kotwicy. Tłum majtków, faktorów i flisaków krząta się około naładowania jednych, wypróżnienia drugich; tu wzrok pada na postać herkulesową, o gęsto obrosłej, obnażonej piersi, o poczerniałej od słońca twarzy—nigdzie malarz nie znalazłby równie wdzięcznego modelu. Tam zwija się pobratymiec wschodni z czerwonym fezem na głowie o długich i szerokich płóciennych spodniach na jednej, a zwiniętych aż do góry na drugiej nodze. Śród tego różnobarwnego tłumu raz poraz zjawia się urzędnik marynarki w gustownej ciemno-niebieskiej kurtce o złotych guzikach: tu stolica węgierska sprawia wrażenie pierwszorzędnego miasta portowego.

Równie okazałe jak z corso peszteńskiego i wzgórza zamkowego, przedstawia się Budapeszt z mostu łańcuchowego. Jest to środkowy z trzech mostów, które teraz łączą oba brzegi. Dalej na zachód powstał niedawno (r. 1875) nowy żelazny most Małgorzaty, który odmiennie od wszystkich innych, nie idzie w linii prostej, lecz w kształcie łuku, aby tem łatwiej oprzeć się nawale i krom Dunaju. Z drugiej, wschodniej strony, pod Bloksbergiem, powstał świeżo most węgierskiej kolei żelaznej. Most zaś łańcuchowy, jedno z cudów nowoczesnej sztuki inżynierskiej, powstał w r. 1842—49 za staraniem wielkiego patrioty hr. Szechenyi'ego i barona Siny, wystawiony przez Anglika Adama Clarea. Most ten 1230' długi, od placu Franciszka Józefa na brzegu peszteńskim, prowadzi do wzgórza zamkowego Budy, pod którym wydrążony wielki tunel. Z obu stron mostu na filarach granitowych spoczywa niejako brama tryumfalna, ozdobiona potężnymi lwami, na których postumencie znajdują się herby hr. Szechenyi'ego i barona Siny, tudzież napis, dotyczący wybudowania mostu. Ruch tu wielki. Wciąż dwoma rzędami jadą powozy, dorózki, omnibusy; tylko tramwaje przejeżdżają szerszym mostem Małgorzaty.

Przejdźmy się teraz po Peszcie. Najlepiej rozpocząć przechadzkę od nabrzeża nowopeszteńskiego, naprzeciwko wyspy Małgorzaty. Tu powstają dopiero nowe ulice. Dalej przybywamy do nabrzeża Rudolfa, już zabudowanego okazałymi cztero i pięcio-piętrowymi kamienicami. Następnie dochodzimy do placu Franciszka Józefa naprzeciwko mostu łańcuchowego. W środku znajduje się mały park, ogrodzony żelaznymi sztachetami. Na miejscu, gdzie w roku 1867, usypiano z nadesłanej z wszystkich komitatów węgierskich ziemi pagórek, na którym król Franciszek Józef dokonał przy koronacji tradycyjnej ceremonii cięcia mieczem na cztery strony świata, dziś wznosi się spiżowy posąg wielkiego patrioty Stefana Szechenyi'ego. Z trzech stron plac Franciszka Józefa ogrodzony wielkimi gmachami. Przeciwległy mostowi łańcuchowemu bok tego wspaniałego kwadratu tworzą hote-

le: „pod arcyksięciem Stefanem” i „Europa,” dalej pałac spółki akcyjnej francusko-węgierskiej, pałac księcia „Koburga” i łaźnie „Diany.” Prawy bok (wstępując na plac z mostu łańcuchowego) tworzy obszerny pałac stanu kupieckiego, przeciwległy zaś lewy bok wytworny pałac Akademii węgierskiej.

Jestto jeden z najświetniejszych pałaców peszteńskich. Już w roku 1790 lingwista Mikołaj Revay poruszył myśl założenia Towarzystwa przyjaciół nauk w Peszcie. Dopiero jednak hr. Stefan Szechenyi przyczynił się stanowczo do urzeczywistnienia tego projektu, gdy na sejmie preszburskim dnia 2-go listopada r. 1825 wystąpił z wnioskiem założenia Akademii i ofiarował na ten cel jednoroczny swój dochód w kwocie 60,000 fl. Natychmiast hr. Jerzy Karolyi ofiarował 40,000 fl., hr. Jerzy Andrassy 10,000 fl., baron Vay 8,000 fl. w ciągu kilku minut zebrano kapitał zakładowy 120,000 fl. Później na tenże cel Palatyn arcyksiążę Józef dał 10,000 fl., książę Feliks Batthyany 40,000 fl., hr. Stefan Karolyi 20,000 fl., hr. Ludwik Karolyi 10,000 fl. i t. d.; w tak hojny sposób magnaci węgierscy w tej sprawie (jak i w tylu innych) naznaczyli swe patryotyczne dążności! W roku 1830 ukonstytuowała się Akademia, wybierając prezesem uczonego hr. Józefa Telekiego, wiceprezesem hr. Stefana Szechenyi’ego. Dopiero jednak w roku 1860 ówczesny prezes hr. Emil Desseffy poruszył myśl wystawienia dla Akademii własnego pałacu. W krótko zebrano na ten cel milion florenów. W roku 1862 rozpoczęła się budowa pałacu według planów berlińskiego architekta Stüllera, ukończona roku 1864. Jestto pałac w najczystszej formie renesansowej, składający się z wysuniętego nieco naprzód środkowego risalitu, bogato ozdobionego wysmakłami filarami i figurami (Leibnitz, Newton, Galilei, Kartezjusz i Raphael), tudzież dwóch bocznych nieco niższych skrzydeł. Na pierwszym piętrze znajduje się wspianała, o pięciu wielkich oknach sala, w której odbywają się coroczne walne posiedzenia Akademii. W drugim i trzecim piętrze od r. 1864 umieszczona słynna Galerya Eszterhazy, zakupiona przez kraj za 1,200,000 fl. Jakkolwiek to zbiór wcale okazały, obok Galeryi wiedeńskiej, drezdeńskiej i monachijskiej nie zasługuje jednak na wzmiankę. Atoli można dziś już przewidzieć, że naród madziarski wkrótce zdobędzie się na własną szkołę malarską, pierwszorzędną, nie ustępującą ani niderlandzkiej ani niemieckiej.

Od placu Franciszka Józefa rozpoczyna się wspianały quai Franciszka Józefa, wykończony w roku 1874 kosztem blisko 4 milionów fl. Gustowne, cztero i pięcio-piętrowe kamienice, od strony Pesztu przytykają do tego jedynego w swym rodzaju corso nad potężnym Dunajem. Niebawem docieramy do pięknego, wysadzonego drzewami skweru, w którego głębi wznosi się pałac reduty, wystawiony pomiędzy rokiem 1859 — 1865, w stylu, oryginalnie łączącym motywy bizantyjskie, maurytańskie i gotyckie. Imponującym przysionkiem i wspianymi schodami wchodzimy do wielkiej, nadzwyczaj malowniczej sali, w której zimą

odbywają się sławne bale i koncerty, często pod dyrekcją Liszta. Tu właśnie w dzień naszego przyjazdu wystawiono niesłychanie ciekawą „plastyczno-monumentalną” reprodukcją głównego obrazu największego malarza węgierskiego Munkaczego: „Chrystus przed Piłatem,” o czém pomówimy później. Postępując dalej nabrzeżem Franciszka Józefa, doszliśmy do innego square, na którym pod koniec roku zeszłego stanął wytworny posąg Petöfięgo. Trzecią sekcją nabrzeża kończy ogromny, wystawiony kosztem 3 milionów fl., w poważnym stylu renesansu pałac celny, któremu zarzucić tylko można, że zbyt wspaniały na tak prozaiczny użytek.

Ztąd wielkim łukiem bulwary środkiem miasta prowadzą znowu do mostu Małgorzaty, zupełnie tak, jak w Paryżu, gdzie na podstawie Sekwany opiera się wielki łuk, utworzony przez place de la Concorde, bulwar Włoski i t. d., aż do bulwaru Strasburskiego. Najprzód skręcając w lewo rynkiem celnym dostajemy się na plac Kalwina, gdzie się krzyżuje dziewięć ulic. Dalej wchodzimy na bulwar muzealny. Tu w środku ogrodzonego żelaznemi sztachetami o połączanych szpicach parku, stoi przepyszny pałac muzealny, z przodu żywo przypominający kościół św. Magdaleny w Paryżu. Po szerokich wschodach wstępujemy do portyku, spoczywającego na ósmiu filarach korynckich. Na poddaszu znajduje się rzeźba Montiego, w grupie siedmiu figur wystawiających Panonię, rozdającą dary. Białe marmurowe wschody w obszernym przysionku prowadzą do wielkiej sali na pierwszym piętrze, gdzie teraz obraduje izba magnatów. W przestworzym gmachu muzealnym mieszczą się zbiory: 1) Galerya obrazów, najmniej ważna, 2) zbiory etnograficzne, nadzwyczaj doniosłe; 3) bogata biblioteka, 4) zbiory przyrodnicze i starożytności. Zwłaszcza ten ostatni oddział stanowi jeden z najciekawszych zbiorów tego rodzaju. Od kilkunastu lat we wszystkich stronach Węgier systematycznie, z wielką pilnością i z odpowiedniem powodzeniem poszukują starożytnych zabytków. Niedawno temu w pobliżu Budy wykopano fundamenta wielkiej areny, tudzież łaźni rzymskich. Zresztą ciągle odnajdują pomniejsze, ale niemniej ważne zabytki, przedewszystkiem z okresu rzymskiego. Wszystko to napływa do muzeum peszteńskiego, które tym sposobem staje się coraz wyraźniej jednym z najbogatszych zbiorów starożytności rzymskich. Nie wymieniamy pojedynczych przedmiotów, bo tych każdy doczytać się może w katalogach muzealnych (istnieje nawet katalog z ilustracyami). Natomiast wspomniemy tylko jeszcze, że w jednej z sal muzeum znajdują się teraz skromne sprzęty, które zdobiły pomieszkanie Deaka, słynny hotel, który mu darowały damy węgierskie w r. 1866, wieniec, który królowa Elżbieta osobiście złożyła na trumnie jego, wstęgi wszystkich komitatów węgierskich, przysłane na pogrzeb i t. d. W innej sali pokazują przedmioty, które stanowiły własność hr. Szechenyięgo, różne pamiątki odnoszące się do powstania r. 1848, autografy Koszuta i t. d. Tam też w r. zeszłym widziałem darowany muzeum przez hrabinę Raczyńską miecz Jana III, wy-

słany teraz, jak mi mówił generalny dyrektor muzeum, znany, znakomity patriota węgierski Franciszek Pulszky, na wystawę historyczną do Wiednia.

Park, w którym stoi muzeum, otoczony pięknymi ulicami, gdzie się znajdują pałace Karolych, Palffyich, Zychych, Festeticzów i t. d. Tu też stoi pałac parlamentu, niepozorny w porównaniu do palais Bourbon, lub do nowego parlamentu wiedeńskiego. Osobliwość wewnętrznego urządzenia salki obrad stanowi, że krzesła ministrów nie stoją, jak zwykle, przed trybuną marszałka, lecz ustawione w półkole przed czerwonymi ławami posłów, tak, że ministrowie, jak posłowie, siedzą naprzeciwko marszałka i niejako do niego przemawiają.

Daliej rynkiem Karolowym, bulwarem Wejcenu, bardzo szerokim, ale dotąd jeszcze tu i owdzie szpeconym starami kamienicami i dość dziką jeszcze ulicą „fabryki broni,” dojeżdżamy do mostu Małgorzaty, a zatem do miejsca, od którego rozpoczęliśmy naszą wędrówkę. Najbardziej zaludnione, świecące przepysznyimi wystawami i bazarami i po większej części makadamizowane ulice znajdują się pomiędzy rynkiem Karolowym a nabrzeżem. Ulice Deaka, Doroty, Maryi Waleryi, Wejcęńska i t. d., noszą zupełnie to samo pignto wielkomiejskie, co ulica Richeliego w Paryżu, albo Kärntnerstrasse w Wiedniu. A jednak główna ulica peszteńska, jaką żadna inna stolica pochłubić się nie może, powstaje, a raczej już powstała w innej stronie, od bulwaru Wejcenu aż do lasku miejskiego. Tu przez stary cyrkuł Terezyański, według metody Haussmana, skupując stare kamienice, lub wywłaszczając z urzędu, wycięto prościuchną, szeroką ulicę Radyalną. Osobny, utworzony w tym celu komitet, złożony z radców miejskich i artystów, czuwa nad tem, aby tu powstawały jedynie domy o fasadach artystycznych. Mniejwięcej za rok cała ulica będzie wykończona; dziś już czaruje poprostu. Całe społeczeństwo węgierskie współubiega się, aby tę ulicę uczynić czemś nadzwyczajnym. Tu rząd wystawił wspaniałe gmachy, jak wykończoną już, zewszecmiar wytworną operę, pałac konserwatorium, gdzie mieszka Liszt i t. d.; tu wielkie spółki kolejowe wybudowały okazałe kamienice, zdobiące piękny plac mniejwięcej w środku ulicy (oktagon). Mianowicie zwraca tam uwagę istne arcydzieło architektury, pałac kolei francuzko-austryackiej, cały pokryty sgrafitami, a naprzeciwko pałac kolei węgierskiej o prześlicznej gotyckiej fasadzie. Magnaci, bogaci mieszczanie, artyści, architekci, współzawodniczą z rządem i wielkimi spółkami w przyozdobieniu ulicy Radyalnej to ógromnymi kamienicami, to cackami architektonicznymi. W słynnym dziele: „L’histoire romaine à Rome” akademik francuzki Ampère zauważył, że tylko pod despotyzmem kwitnie sztuka budownicza. Prawda, że despotyzm olśniewa potomość budowlami potworami, jak piramidy, różne mauzolea, łuki tryumfalne (często kłamiwe) i złote pałace (Nerona); że jednak naród z własnych sił umie swobodnie, równocześnie w najużyteczniejszy i najpowabniejszy sposób korzystać ze sztuki budowniczej, na to peszteńska ulica Radyalna pozostaje

stanie na zawsze jednym z najświetniejszych dowodów. Z żalem zdumiony wzrok odrywa się tu od jednej fasady, aby z równem uniesieniem spocząć na drugiej. Wystawcie sobie próby wszelkich stylów: bizantyńskiego, gotyki, odrodzenia, barokko, florenckich pałaców o modnych dziś znowu sgrafitti, arkad greckich i przysionków maurytańskich: oto z takich kopii, często w oryginalny, zawsze w gustowny sposób zmieszanych, składają się dwa boki ulicy Radyalnej. Jest to niejako w wielkim stylu druga rue des nations, którą podziwialiśmy wszyscy na wystawie paryżkiej r. 1878. Żadna inna stolica nie posiada czegoś podobnego, ani nawet Monachium z swą malowniczą ulicą Maksymilianową.

Od bulwaru Wejcenu ulicą Radyalną dojeżdżamy do obszernego lasku miejskiego. Oprócz wymienionych już placów, w środku miasta znajduje się jeszcze przepyszny park, zwany promenadą Elżbiety, ozdobiony wykwintnym kioskiem, przed którym wieczorami grywa muzyka wojskowa. W godzinach wieczornych jest to, jak w Wiedniu Stadtpark, a w Paryżu ogród Tuileryi lub Palais royal, ulubione miejsce schadzek wielkiego świata peszteńskiego, gdzie elegancja strojów publiczności sprawia wrażenie całkiem wielkomięjskie. Najpoważniejszym celem wycieczek peszteńczyków jest jednak wyspa Małgorzaty, do której co pół godziny od wszystkich stacyi Budy i Pesztu przewożą nas parowce lokalne. Ogromna ta wyspa w czasach rzymskich stanowiła część warowni ówczesnego Aquincum. Później stał tam klasztor. Od Małgorzaty, córki króla Beli IV-go, która w nim umarła, wyspa otrzymała dzisiejszą swą nazwę. Jeszcze później znajdował się na wyspie pałac arcybiskupa ostrzygońskiego. To, czém jest dzisiaj, zawdzięcza arcyksięciu Józefowi (bratu królowej belgijskiej), który nakładem kilku milionów florenów zamienił pustą przedtém wyspę w istne Eldorado ziemskie. Na południowym krańcu wyspy, który czasem osobnym mostem będzie połączony z środkiem mostu Małgorzaty i gdzie teraz zatrzymują się parowce, stoi wykwintna restauracja. Ztąd tramwajem, którego konduktor nosi mundur huzarski arcyksięcia, w dziesięć minut przybywamy na drugi kraniec, gdzie przedewszystkiém zwraca na siebie uwagę przepyszny pałac kąpielowy. Po szerokich wschodach wchodzimy do wytwornego portyku, następnie do rotundy pod wysoką kopułą, z kąd nakrzyż prowadzą ganki do eleganckich kabin kąpielowych wszelkiego rodzaju (kąpiele ciepłe, stalowe, błotne, iglicowe i t. d.). Z przysionka precudny widok na przestronną, zasianą różnobarwnymi klombami kwiatów, dalej odwiecznymi drzewami łąkę, tak bujnie i równie zieloną, jakby kobierzec z zielonego aksamitu. Umyślnie w tym celu urządzone wodociągi najstaranniej utrzymanej wegetacji dostarczają potrzebnego pokrapiania. Za pałacem kąpielowym znajduje się druga wykwintna restauracja, gdzie grywa codziennie jedna z najlepszych kapel cygańskich, tudzież kilkanaście will i pałacyków, w których mieszkają goście (w r. b. liczono przeszło 500). Zdrojowisko na wyspie, jak wszystkie źródła w Budzie

(Racz-fürdő, łaźnie królewskie, Łukasza i t. d.), mocno przyprawione siarką.

Z wyspy Małgorzaty pojechaliśmy do teatru. Było to w niedzielę 12 sierpnia po naszym powrocie z Białogrodu. Wracaliśmy koleją żelazną z Bazyaszu. W Czegledzie, dokąd przybyliśmy w niedzielę rano około godziny 6-tój, dowiedzieliśmy się z sprzedawanych tam na dworcu dzienników o rozruchach, które w Peszcie zaszły w czwartek i w piątek. „Famo crescit eundo;” zapewniano nas tedy na dworcu, że w Peszcie wybuchła rewolucya. Na dworcu stołecznym mnóstwo żandarmów stwierdzało poniekąd pesymistyczne domysły. Jednakże w przejeździe do hotelu nie dostrzegliśmy żadnych śladów zaburzeń. Następnie w ciągu całego dnia przekonaliśmy się, że Peszt bawi się, jak zawsze, i nie czuje się wcale zaniepokojonym. Promenada Elżbiety, corso, wyspa Małgorzaty, jak zawsze, w niedzielę przepętnione. Około południa miałem zajmującą i długą rozmowę z p. Pulszkiem, generalnym dyrektorem zbiorów narodowych. Dotknęliśmy naturalnie kwestyi zaburzeń i antisemityzmu. Jak wszyscy stojący na czele narodu mężowie, p. Pulszky stanowczo potępia agitacye antisemickie, przekonałem się jednak, że w średnich warstwach inteligencji (profesorowie gimnazyalni, adwokaci, kapitanowie okrętów i t. d.) antisemityzm jest nadzwyczaj rozpowszechniony. P. Pulszky ¹⁾ sądził, że ostatnie rozruchy uliczne wynikły nie tyle z motywów antisemickich, ile raczej z burzliwości motłochu, po większej części obcej narodowości. Wspominam o tém tylko, ponieważ główną widownią tych zaburzeń była ulica Kerepesowa, przy której zaraz u wejścia od Karolowego rynku znajduje się teatr narodowy, a nieco dalej teatr ludowy. W teatrze narodowym dotąd grywają dramata i opery, dla których jednak rząd wystawił już nowy gmach przy ulicy Radyalnej. Kiedyśmy przybyli o godzinie 7-mój, cała ulica Kerepes była zajęta silnym kordonem wojska i żandarmów; wszelako rozruchy nie ponowiły się. Teatr nie wspaniały, ale elegancki. Przysłoniętymi łożami przypomina teatr Fenice wenecki, tylko że tu przeważa kolor niebieski i biały. Trafiliśmy na dramat jubileuszowy wielce zasłużonego pisarza dramatycznego Edwarda Szigligettego (1814—1878), który dla sceny madziarskiej był mniejwięcej tém, co Bogusławski dla naszej. Przysłuchawszy się tylko dwom aktom niezrozumiałego dla mnie dramatu, nie umiem naturalnie ocenić gry artystów.

To jednak pewna, że z materyalnym rozwojem stolicy idzie w parze świetny rozkwit piśmiennictwa madziarskiego. W roku zeszłym miałem sposobność poznać najznakomitszego reprezentanta tego piśmiennictwa Maurycego Jokaja. Odwiedziłem go w Füredzie nad jeziorem Balatonem. Ktokolwiek przybędzie do Pesztu, nie powinien omieszkąć zwiedzić Füredu, najszynniejszych wód węgierskich. Po-

¹⁾ P. Pulszky świeżo wydał nadzwyczaj ciekawe swe pamiętniki, dotyczące r. 1848 i emigracyi.

ciąg osobowy kolei południowej, odchodzący z Budy rano o godzinie 7-jej, staje na stacyi Sio-fok nad jeziorem Balatonem o godzinie 10³/₄. (Pociąg pośpieszny, wyjeżdżający z Budy o 5-jej po południu, dojeżdża do Siofok o 7-jej, paryżanie takie pociągi, które do okolicznych willegiatur przywożą wieczorem „zazdrosnych“ małżonków, nazywają „le train jaune“). Ztąd w ciągu godziny stary, ale wytrzymały parowiec „Kisfaludy“ przez 76 kilometrów długie, 11 do 15 kilometrów szerokie „morze węgierskie,“ jak nazwano Balaton, przewozi nas do spoczywającego na lekkim wzgórzu Füredu. Wsiadamy na wspaniałą esplanadę Deaka, gdzie nas wita tradycyjna orkiestra cygańska. Füred jest dziś zakładem leczniczym pierwszorzędnym, obfitującym w źródła mineralne, wytwornie urządzone kąpiele w wannach, słynne kąpiele w jeziorze, w świetne pałace i hotele i wytworne restauracye, gdzie główną piecde resistance smacznych obiadów stanowi sławny fogosz, łowiony w jeziorze. Do wstawienia Füredu oprócz poety Kisfaludego, któremu tam wystawiono śpizowy posąg, przyczynił się głównie Maurycy Jokaj prześlicznym opisem Balatonu w wspomnianym już „Arany ember.“

Na wzgórzu, w środku starannie utrzymanego ogrodu stoi willa Jokaja, gmach parterowy na wysokich suterrenach. Po schodkach wchodzimy do przysionka, z którego dwa wielkie okna i szklane drzwi dostarczają przepysznego widoku na jezioro. Przysionek zapełniony skończonemi już lub rozpoczętymi obrazami, które świadczą o niezwykłych zdolnościach córki pana domu. Słynny powieściopisarz przyjmuje nas uprzejmie i wprowadza do gustownie urządzonej pracowni. Nikt po tej marcyalnej postaci, o dość długiej siwej brodzie, z wzięciem wysłużonego generała, nie domyśliłby się pisarza, który wydał już przeszło 250 tomów powieści ¹⁾ a nadto poświęca się mozolnej czynności posta i redaktora naczelnego (obecnie „Nemzeta,“ najznakomitszego organu madziarskiego). Na mej ostatniej wycieczce dowiedziałem się jednak, że wbrew pozorom, p. Jokaj także w życiu jest, albo był poetą. Oprócz willi w Füredzie i drugiej w Budzie, których utrzymanie naturalnie wymaga bardzo znacznych funduszów, słynny pisarz węgierski posiadał jeszcze wielką kamienicę w cyrkułe Terezyi. Przemysłny spekulant z takiej kamienicy byłby ciągnął znaczne zyski, ale p. Jokayowi niepodobał się spór z lokatorami, dlatego wolał nie mieć ich wcale. Tym sposobem znaczne dochody poety-pisarza rozchodziły

1) Wkrótce wyjdzie pod tytułem „Zonen des Geistes“ w przekładzie niemieckim nowe dzieło Jokaja, zawierające ciekawe przyczynki biograficzne. Autor sam w następujący sposób podaje tam bilans swęj literackiej czynności: „Ateneum“ wydało 66 tomów mych pism, Stowarzyszenie Franklina 112, księgarz Pfeifer 50, bracia Rovay 7, Stampfel 6, Rath 2, Abasti 1; własnym nakładem wydałem 7, nadto ogłosiłem 4 tomy wierszy, 4 tomy dramatów i 2 tomy dziejów węgierskich. Pomniejszych prac, ogłoszonych w dziennikach „Hostökös,“ „Hon“ i t. d. nie liczę.

się na reperacye domów, podatki i t. d. Na szczęście, wskutek wywłaszczenia z powoda przecięcia ulicy Radyalnej, dom p. Jokaya uległ zburzeniu (oczywiście za stosowném wynagrodzeniem właściciela) i od-tąd dopiero znakomity pisarz wolno oddycha, radując się, że przynaj-mniej honorarya płyną teraz do jego, nie do obcych kieszeni. Tak po-wiadał mi jeden z przywódców madziarskich. Po długiej i ciekawej rozmowie, w której ponownie przekonałem się o szczerzej tych panów sympatyi dla nas, p. Jokay obdarzył mnie przy pożegnaniu jednym z swych nowych romansów: „Szaleńcy miłości” (w przekładzie niemiec-kim) z własnoręcznym przypiskiem. Jestto powieść ze wszech miar znakomita, w której zwłaszcza rozdział jeden (osnuty na tle wymu-szania podatków w czasach absolutyzmu po r. 1849), zdolny do łez wzruszyć najflegmatyczniejszego czytelnika.

W dwa miesiące po mych odwiedzinach w Füredzie (było to w piątek 18 sierpnia 1882 r.), odsłonięto w Peszcie pomnik Petöfięgo na placu tegoż nazwiska przy corso. Na téj uroczystości (15 październi-ka), p. Jokay wygłosił znakomitą mowę na cześć największego liryka madziarskiego, a swego przyjaciela młodości. „Czterdzieści lat upłynęło — tak rozpoczął — gdy się z nim spotkałem poraz pierwszy, a 33 lat, gdy poraz ostatni mówiłem z nim przy oblężeniu Budy. Cho-dziłem do klasy fizyki w Papie, gdy mi się ukazał poraz pierwszy, w czarnym, wytartym płaszczyku, zgniecionym kapeluszu i z gołą szy-ją. Spółtuceń, z którym mieszkalem, znał go i przechodząc zawołał: „dzień dobry, bus magyar.“ To był jego przydomek. Każdy z nas posiadał takowy. Mnie przewano „Jamborem“ (pobożnym). Nie odpowiedział na powitanie, lecz śpiesznym, jak zawsze krokiem, ucho-dził. W szkole rzadko go widywałem. Dlatego mało go poważałem. Zamiast chodzić do szkoły, pisywał wierszyki, które potem deklamo-wał w stowarzyszeniu „Köpzötarsasag.“ Wtedy zacząłem mu za-zdrościć. Potem poznałem jego sposób życia. Opuszczony od wszyst-kich, przepisywał prace dla młodych paniczów. Wtedy zacząłem go szanować. Kiedyśmy się rozstali, już go kochałem. Ten opuszczony i z nędzą walczący chłopiec wiedział, że w sercu jego świeciła gwia-zda, która go wyniesie tak wysoko, jak się sklepi firmament narodu, i że ta gwiazda dopiero wtedy najjaśniej zabłyśnie, gdy on sam w proch się rozpadnie. Dziś stoimy przed jego posągiem spiżowym, na świetnym placu, któremu metropolia węgierska nadała jego nazwę. Jakaż to daleka droga od owéj szopy oedenburskiej, na której ścianach drewnianych pisywał swe pierwsze wierszyki, aż do piedestału tego po-mnika.“ Mówca następnie w sposób mistrzowski przedstawił obraz Petöfięgo, poety, patrioty, kochanka i żołnierza, aż do tragicznego i tajemniczego zgonu w oddziale Bema.

„Oby ten posąg zdołał widzieć, czego dokonano od czasu, gdy duch poety opuścił ziemię“—tak skończył Jokay swą mowę. Najgo-rętszy patriota w roku 1846 nie przewidywał tego ogromnego postę-pu, który nastąpił tu we wszystkich gałęziach narodowego życia: w in-

stytucjach politycznych, w piśmiennictwie, nawet w sztukach. Bo któż przed dwudziestu laty przewidywał, że naród madziarski wyda jednego z najznakomitszych malarzy tegoczesnych, Munkaczego? Nie należę bynajmniej do przesadnych wielbicieli mistrza madziarskiego. Widziałem, studyowałem obrazy jego na wystawie wiedeńskiej w roku 1873, na wystawie paryzkiej w r. 1878, potem na wystawie monachij-skiej i na zeszłorocznej wystawie wiedeńskiej. Pominąwszy fakt, że Munkaczy przynajmniej z początku, zdobywał się tylko na temata powszednie, („Ostatni dzień skazanego na śmierć,“ „Rekruci węgier-scy“ i t. d.), niedostaje mu poczucia kolorytu i pod tym względem nigdy nie dorówna wielkim mistrzom kolorytu, jak Paolo Veronese, Ru-bens, Matejko i Makart. Jednak jestto bezwątpienia mistrz pierw-szorzędny, który utworami swemi (jak np. „Milton“) wywiera wraże-nie potężne. Mianowicie zaś ostatni utwór jego „Chrystus przed Pi-łatem,“ należy bezwątpienia do rzędu najwybitniejszych arcydzieł ma-larstwa, prawda, rodzaju realistycznego. Bądź jak bądź, w wspaniałej galerji głów Chrystusa, ta głowa pendzla Munkaczego zajmuje jedno z miejsc naczelných. Właśnie w dzień naszego przybycia do Pesztu, wystawiono w maurytańskiej sali pałacu reduty „plastyczno-monu-mentalną“ reprodukcję tego słynnego obrazu. Figury z wosku najsta-ranniej skopiowane, arkady sali i przysionek, w którym odbywa się rzecz przed Piłatem, wiernie oddane, kunsztownie ustawione lampy tworzą to samo oświetlenie, które widzimy na obrazie. Słowem, jest to coś nadzwyczaj ciekawego. Obraz Munkaczego ma być zakupiony drogą składek publicznych. Właściciel, handlarz paryzki Sedelmayr, żąda za niego ogromną sumę 800,000 fr.

III.

B i a ł o g r ó d.

Parowiec o godzinie 11-ój w nocy odchodzi z Pesztu do Białogro-du. Przeszedłszy się raz jeszcze po oświetloném rześciście światłem elektryczném corso, we wtorek 7-go sierpnia r. b. o godzinie 10-ój udaliśmy się na parowiec. (Zajmującą tę podróż odbywałem współ z młodym adwokatem z Pragi, dr. Strobachem, synem marszałka sej-mu wiedeńskiego w r. 1848). Zaledwo, cośmy zasiedli w wytwornej kajucie „Albrechta,“ gdy zahuczała burza i lunął silny deszcz. Nie po-zostawało więc, jak wypić jeszcze herbatę i udać się na spoczynek do kabiny. Dopiero około 7¹/₂ z rana wyszedłem na pokład, parowiec zbliżał się wtedy do zapisanej tragicznemi literami w dziejach świata stacyi Mohaczu, gdzie w krwawej bitwie r. 1526 poległ król węgier-sko-czeski Ludwik, z rodu Jagiellońskiego.

Na całej tej przestrzeni Dunaj nie dostarcza widoków romanti-cznych. Poezya lubi uosabniać rzeki, a personifikacye te rzeczywiście silnie przemawiają do wyobraźni. I tak można sobie łatwo wyobrazić

Danubiusa, jak począwszy od Passau ciągle pragnie utorować sobie drogę w kierunku południowym, ale niezdolny przewyciężyć stromych gór, które jęj bronią, postępuje wciąż na wschód. Dopiero pod Wejcenem, gdzie się kończy przednia straż południowego pasma gór, Danubius czyni śmiały zwrot w prawo i odtąd w prostęj linii dąży w kierunku południowym, aż do Vukowaru w Sławonii. Tu nagle skały „fruskiej góry” wstrzymują jego pochód ku południowi i odtąd znowu płynie w prostęj linii na wschód, jakby z żalem, że był zmuszony zaniechać zamierzonej podróży do morza Egejskiego. Od Budapesztu aż do Vukowaru koryto Dunaju szerokie (około 1000 metrów), brzegi niskie, bagniste, zarosłe topolami i wierzbami, sioła i miasta (jak słynna rezydencya kardynała arcybiskupa Haynalda Kalocsa) schroniły się daleko w głąb kraju, godzinami nie dostrzedz pomieszkania ludzkiego, tylko oryginalne owe młyny wodne na czołnach, jako tako przypominają, że się znajdujemy w kraju zaludnionym. Mohacz, do którego przybywamy o godzinie 8¹/₂ leży na prawym brzegu rzeki i niskimi, otoczonymi ogrodami domami zajmuje bardzo rozległą przestrzeń nad rzeką.

Około południa przybywamy do stacyi Drauek. Tutaj rzeka Drawa wpada do Dunaju, Wesoła, kapryśna, burzliwa w ciasném i skalistóm łożu w Tyrolu, Karynty i Styryi, tutaj w bagnistym gruncie, szerokiém korytem leniwo kończy swój zawód. Mały parowiec ztąd w ciągu godziny przewozi pasażerów Drawą do Osieku, stolicy Sławonii, gdzie w r. zeszyłym wydarzyła się straszliwa katastrofa załamania się drewnianego mostu kolei żelaznej. Przy table d'hotel zapoznajemy się z młodym, wracającym na wakacye z Heidelbergu p. Proticzem, synem byłego serbskiego posła w Petersburgu, tudzież z młodym adwokatem chorwackim Pawłem Michaljewiczem. Pierwszy w Heidelbergu obcował wiele z studentami polskimi, zakrawa trochę na dandysa, zresztą przyzwoity młodzieniec, który naturalnie jako gorący patriota serbski reklamuje Bośnią dla Serbii ¹⁾. Drugi, pan

¹⁾ Oskarżenia, jakie dziś podnosi opozycya serbska przeciwko Austrii są całkiem nieuzasadnione. Co do Bośnii i Hercegowiny bowiem traktat, zawarty w San-Stefano, w artykule 14 orzekał, że w tych prowincyach będą przeprowadzone reformy, zaproponowane w znanęj nocie hr. Andrasego z 31 grudnia r. 1875, że więc Bośnia i Hercegowina pozostaną i nadal prowincyą turecką. Co do Serbii, wymieniony traktat w artykule 3-cim orzekał tylko, że Serbia będzie uznana jako księstwo niezależne, a serbsko-turecka komisya ustanowi ostateczną granicę. Na posiedzeniu kongresu berlińskiego dnia 28-go czerwca r. 1878 pełnomocnik austriacko węgierski baron Haymerle, późniejszy minister spraw zagranicznych, wystąpił z wnioskiem: Serbia będzie powiększona, komisya, wybrana przez kongres ustanowi granicę. Równocześnie pełnomocnicy austriacko-wygierscy podali dotyczący nowych granic Serbii projekt. Wnioski to zostały przyjęte przez kongres na posiedzeniu 8-go lipca r. 1878. Stosownie do tych wniosków traktat berliński

Michaljewicz, obeznany z piśmiennictwem naszym, nader sympatyczny i chociaż, jak większa część młodzieży zagrzebskiej hołduje zasadom d-ra. Starcewicza, przywódcy skrajnej opozycji (anti-madziarskiej), w swych poglądach politycznych i socyalnych przejęty motywami zachodniemi. Rzeczywiście naród chorwacki jest najwierniejszym przedstawicielem oświaty zachodniej w tych stronach. Po każdym wykształconym chorwacie, jako po każdym włocho, poznać, że wyrósł na podstawie 1000-letniej, nie przerwanej, cywilizacji. W roku zeszłym byłem w Zagrzebiu; odwiedziłem tam kardynała-arcybiskupa Michajłowicza, szefa sekcji czyli ministra oświaty p. Vonczyne, przywódcę większości parlamentarnej p. Miskatowicza, który równocześnie jest najznakomitszym publicystą chorwackim, przywódcę opozycji umiarkowanej d-ra. Mrazowicza i t. d.; wszędzie przekonałem się, że nadzwyczaj nam łatwo porozumieć się z tym rycerskim i oświeconym narodem bratnim, który wydał Gundulicza i Zriniego i który ma wielką przed sobą przyszłość, byle... nie wydał drugiego Jellaczycza, ślepe narzędzie systemu germanizatorsko-centralistycznego, który zawsze rad się posługiwał chorwatami przeciwko madziarom, aby narzucić jarzmo jednym i drugim.

Sympatyczny p. Michaljewicz opuszcza nas w Vukowarze, jak widać z parowca, ładnym miasteczku, gdzie tłumy włościan w różnobarwnych strojach i mieszczan oczekuje przybycia statku. Od Vukowaru aż do Białogrodu brzeg lewy pozostaje ciągle płaski, natomiast po stronie południowej piętrzą się niezbyt wysokie, ale malownicze wzgórza, po części ozdobione starożytnymi zamkami i kościołami. Przy miasteczku Kamenic, dokąd przybywamy około godziny 6 $\frac{1}{2}$, krajobraz staje się uroczy. Z wspaniałego parku wychyla się tam ogromny pałac, w którym znajdował się dawniej zakład kadetów. Z daleka potem widać na stromym wzgórzu słynną fortecę Piotrowaradynu. Na przeciwnym brzegu znajduje się najznaczniejsze miasto tych stron Nowy-Sad, główne siedlisko ruchu serbskiego. W tej chwili powstaje tam potężny most kolei żelaznej, który w roku przyszłym połączy oba brzegi. Pod warownią piotrowaradyńską wydrążają wielki tunel. Tędy kolej żelazna w prostej linii z Pesztu prowadzić będzie do morza Egejskiego: czemu nie podołała elementarna siła Dunaju, to urzeczywistniła potężniejsza sztuka ludzka! O zmierzchu mijamy sławny w dziejach Karłowacz. Na wzgórzu, tam gdzie stała szopa, w której 26-go stycznia r. 1699 po trzech-miesięcznych sporach, spisano słyn-

w artykule 36-tym, ustanowił nową granicę Serbii, która uzyskała zatém okręgi Niszu, Pirotu i Leskowaczu z 500,000 mieszkańcami, tak że ludność księstwa podniosła się na 1,860,824 dusz. Zważywszy te fakta, o których każdy może się łatwo przekonać, kto sobie zada pracę odczytania protokółów kongresu berlińskiego, trzeba przyznać, że serbowie nie mają wcale powodu oburzać się na politykę austriacko-węgierską, której przeciwnie zawdzięczają bardzo wiele.

ny traktat, dziś wznosi się kościół. Smutno pomyśleć, że tyle ofiar i tyle świetnych zwycięstw nie przyniosło Rzeczypospolitej nic oprócz Kamieńca; smutniej jeszcze, że dzisiejsza historyografia austriacka (Onno Klopp: „Das Jahr 1683” str. 521) wystawia to jako „wspaniałomyślny” dar ligi! Dziś Karłowacz liczy około 5,000 mieszkańców, żyjących z rybołówstwa i handlu, i jest siedzibą prawosławnego patriarchy serbów węgierskich. Potem nie pozostaje już, jak zasiąść w kajucie do wieczerzy, bo nic już nie widać, ani nawet Teisseku, gdzie Cisa którą w roku zeszłym poznałem niemal u źródła, pod Tokajem, wpada do Dunaju.

Podczas wieczerzy rozmawiamy żywo z młodym profesorem węgierskim, z którym poznałem się przed godziną i z którym wracając z Białogrodu, spotkaliśmy się znowu w Panczowie. Przed Semlinem nasz Madziar, odznaczający się trochę przesadną dumą narodową, i nie wiadomo, czy podróżujący w celach archeologicznych, czy też antisemitycznych, opuścił nas, zato przy jednym z sąsiednich stołów rozpoczyna się coraz to głośniejsza sprzeczka dwóch serbów, z których jeden wstępujący właśnie do służby, nie wiem na pewno czy węgierskiej, czy chorwackiej, wymownie broni zasady, że urzędnik powinien przedewszystkiem spełniać swe obowiązki a nie kusić się o rolę polityczną, gdy drugi, wracający po trzechletnich „studiach” w Paryżu do Białogrodu, hałaśliwie popisuje się skrajnie republikańskimi, po części socjalistycznymi teoryami.

Powoli kajuta się wypróżnia. Grono ładnych pańienek jadących do Bułgarii a bardzo niezadowolonych z niewczesnego politycznego ferworu młodzieży, usuwa się do sali sypialnej. Pozostaje nas 6 czy 7 osób, oczekujących przybycia do Białogrodu. Około godziny 11-jej parowiec przybija do brzegu. Z obu stron pomostu stoją dwaj żandarmi odbierający paszporta, które nam odeszła nazajutrz do hotelu. Następnie wchodzimy do brudnej szopy celnej, gdzie się odbywa zbyt ścisła rewizya tłumoków. Powiedziano nam, że najlepszy hotel pod „Serbską koroną,” znajduje się tuż przy przystani. Wybieramy się więc pieszo w drogę. Komisyoner w czapce wojskowej, zresztą dość podejrzanych pozorów, niesie przed nami kufry. Wstępujemy na ogromne, ciemne schody. Na prawo i na lewo stoją niskie chatki, połamane sztachety drewniane i kilka domów do połowy wybudowanych. Wszystko to nader ponure. Na szczęście mamy w kieszeni rewolwery. Po dziesięciu minutach dobywamy się nareszcie na przestronny, ale równie dziki plac. Na przeciwnym końcu stoi ciemny hotel. Przed hotelem przechadza się żandarm z bagnietem na broni, przypatrujący się nam podejrzliwem okiem. Odpłacamy mu tą samą monetą. Nareszcie zaspany portyer otwiera wielką bramę, dwie zbyt uprzejme pańienki krzątają się w dwóch skromnych pokoikach; aż trochę rozweśleni tym nie świetnym wstępem do stolicy królestwa serbskiego i trochę pobudzeni do ironii, udajemy się około północy na spoczynek. Za dnia to wszystko wygląda inaczej. Owe zapadające się ol-

brzymie schody stają tedy nawet bardzo malowniczymi. Pocię przy-
szłoby nie trudno zaludnić je orszakiem nadobnych odalisk, zchodzą-
cych tedy z pałacu baszy w cytadeli, do łaźni dunajskich. Przekona-
liśmy się też, że nasza mozolna przeprawa ze statku do hotelu była
całkiem zbyteczna, gdyż można tam z dwóch stron, choć dalszą drogą,
dojechać powozem. To pewna, że tak z Dunaju (czego doznaliśmy
przy odjeździe), jakoteż od parku Topczydera nad Sawą, Białogród
prezentuje się pod względem malowniczym bardzo okazale. Stolica
serbska spoczywa na wzgórzu, które się wznosi na trójkącie, utworzo-
nym przez Dunaj i Sawę. Wierzchołek wzgórza, tuż nad zlewem obu
rzek, zdołają poważne mury ogromnej, choć zapadającej się teraz cy-
tadeli. Z glacis, gdzie od strony Sawy znajduje się teraz piękny
ogród, przecudny widok na miasto, na dwie rzeki, daleki Semlin i ró-
wninę węgierską ku północy, a romantyczne wzgórza w południowym
kierunku. Od tego najwyższego punktu grzbiet wzgórza wzdłuż Sa-
wy spada coraz niżej, aż w parku Topczydera, gdzie został zastrzelo-
ny książę Michał, odległym o milę od środka miasta, zchodzi się z ró-
wniną. Samym środkiem grzbietu wzgórza prowadzi główna, staro-
żytna ulica Tarazia, wysadzona kasztanami, od niedawna nazwana Mi-
lanową. Z nią równolegle, ale na dole, tuż nad brzegiem, idzie druga
główna ulica, jeżeli się nie mylę, Długa. Pomędzy temi dwiema głów-
nymi arterjami miejskimi, amfiteatralnie piętrzy się labirynt do-
mów, bardzo rozległy, bo aczkolwiek Białogród dziś liczy tylko około
30,000 mieszkańców, to jednak przeważnie jednopiętrowe, lub nawet
parterowe, nadto przedzielone ogródkami domy, zajmują kilkakroć wię-
kszą przestrzeń, aniżeli ścieśnione ulice miast zachodnich, np. Norym-
bergi, Pragi i t. d. Amfiteatr ten drobno rozsianych śród zieleni o-
grodów, dachów, śród których raz poraz wyskakują w górę wysmuk-
łe wieże kościołów lub minaretów, jest nadzwyczaj malowniczy.

Natomiast to, co stanowi cechę wielkowiejską, w Białogrodzie
dotąd dopiero powstaje i to bardzo zwolna. Bruk głównej ulicy Ta-
razii szkaradny. Wieczorem rzadkie lampy olejne daremnie walczą
z ciemnością. Nie ma ani trotuarów, ani tramwajów, ani omnibusów,
tylko długi rząd dwukonnych fiaków, stojących przy Terazii, oraz na
pobliskim placu, ponieważ przypomina większe miasto. Nie ma też
dotąd wodociągów. Jak w miastach dalekiego Wschodu, co chwila
przesuwa się ciągniony przez karłowatego konika wózek, na którym
spoczywa beczka z wodą, którą fakin w czerwonym fezie na głowie,
rozwozi do domów. Dopiero teraz powstały lub powstają przy Terazii
niektóre gmachy, jakotako stołecznych pozorów. Mały, o białych ścianach
i czerwonym dachu teatrzyk, skromnemi rozmiarami przypomina po-
dobnego rodzaju budynki nie w Wiedniu albo w Peszcie, lecz w Ischl,
Franzensbadzie i t. d. Nieco dalej wznosi się niewykończony jeszcze
pałacyk dyrekeji policyi, wystawiony w jakimś oryginalnym, maury-
tańsko-bizantyjskim stylu. Kilkanaście kroków dalej budują nowy
pałac królewski. Z wysmukłej wieży świeci biały orzeł o rozpuszczo-

nych, jakby do lotu skrzydłach. Tuż obok znajduje się dawny konak książęcy, teraz królewski, skromne zabudowanie, na wzór naszych dworzków szlacheckich. Jednak piękna królowa Natalia umiała ten skromny pałacyk zamienić w widownię wykwintnych balów i wieczoroków. Obok konaku, którego główną ozdobą jest starannie utrzymany ogród angielski, znajduje się skromniejszy jeszcze pałacyk, gdzie umieszczone biura prezydium gabinetu. P. Piroczanacz mieszka jednak w nowej, przyzwoitej kamienicy, na innej ulicy. Po tej samej stronie co konak królewski, tylko o kilkaset kroków dalej, na drodze do przedmieścia Wraczaru, stoi mały, żółty, parterowy dom o wielkiej zielonej bramie: to dom tak często wymienianego w ostatnich latach regenta, a potem prezesa gabinetu Jana Risticza, którego przyjaciele nieco przesadnie ochrzcili przydomkiem Cavoura serbskiego.

Ztąd od Terazyi szeroka, w części tylko zabudowana ulica, prowadzi na prawo do Topczydera. Przy tej ulicy znajduje się dość obszerny gmach Akademii, naprzeciwko zaś, na dość dzikim placu, pałac, a właściwie szopa, w której obraduje skupczyna, czyli parlament serbski. Sala obrad przypomina cyrk podrzędnego rodzaju, ławy jakby szkolne, ciemno pokostowane; na estradzie marszałka i ministrów u ściany znajduje się krzesło trochę wyższe: to tron, z którego król osobiście zagaja i zamyka sesyą. W ogóle, co dotyczy domów, Białoogród bardzo ubogi. Stare domy brudne, nowe nie imponują, zwłaszcza gdy się przyjedzie z Pesztu. Najciekawsze jeszcze, to niskie domki w dolnym mieście, nad Dunajem, gdzie jeszcze według wschodnich zwyczajów, rzemieślnicy, piekarze i t. d., klęcząc z turecka, pracują w otwartych od ulicy kramach, następnie chaty, albo też podziemne ale ozdobione zawsze jakimś różnobarwnym dywanem jamy cyganów poczęści w tym dolnym mieście, gdzie też przebywa znaczna kolonia żydów hiszpańskich, po części na końcu Wraczaru. Najokazalszym z zewnątrz gmachem jest bezwątpienia, widoczna z daleka katedra prawosławna w pobliżu cytadeli. Wewnętrzne jednak urządzenie katedry, gdzie się znajdują groby książąt serbskich i gdzie 23 października r. z., wdowa po pułkowniku Markowiczu, Helena, wykonała zamach na wchodzącego z żoną króla Milana, dość skromne. Naprzeciwko stoi obszerny, ale nie wytworny pałac metropolity. Najciekawszym dla turystów zabytkiem, byłyby bezwątpienia tureckie meczety. Na nieszczęście, Serbowie zbyt gorliwie pracują nad tym, aby te znaki dawniej niewoli zburzyć ze szczerem i ani chęć słuchać, gdy im się przedstawia, jak ważną byłoby rzeczą ze względów archeologicznych, starannie je zachować. Jeden tylko zabytek z czasów tureckich używa widocznie poważania: mianowicie rozległy plac musztry u podnóża cytadeli, nad Dunajem i ogromne koszary janczarów. Przekonawszy się w ostatniej wojnie, że pospolitem ruszeniem niepodobna przy dzisiejszym stanie „sztuki“ wojennej odnosić zwycięstwa, rząd serbski widocznie stara się bardzo pilnie o wyćwiczenie znacznej armii. To też od rana do nocy ów plac musztry, na którym niegdyś ćwiczyli się

janczarzy, a za czasów austryackich (1718—1739) pułki rakuskie, roi się od wojska, a zwłaszcza rekrutów.

Białogród liczy obecnie blisko 30,000 mieszkańców, a zatem niewiele więcej, co stolica Chorwacy, Zagrzeb. Jak Turcy wszystkich obcych nazywali „Frankami“, tak Białogrodzianie obcych nazywają „Szwabami.“ Rozróżniają nawet pomiędzy tubylcami a braćmi z drugiej strony Dunaju i Sawy, zowiąc tych „Serbami“, siebie zaś „Serbianami.“ Napływ tych Serbów węgierskich jest oczywiście bardzo znaczny. „Ex ungue leonem.“ I tak zamianowany w miejsce usuniętego 29 października r. 1881 z powodu przeniewierzeń znacznych sum Michała, dzisiejszy metropolita Teodozjusz, pochodzi z Baji w Węgrzech. Redaktor naczelny urzędowych „Serbskich Nowin“, p. Czurczyc, zięć byłego ministra, obecnie zaś posła w Carogrodzie, Gruicza, wielce inteligentny publicysta, pochodzi z Nowego-Sadu. Tak samo właściciel hotelu naszego, Kirczański, fryzyer nadworny, furszpan, który nas wiozł do Topczyderu, kelner w „hotelu paryzkim“, były kurjer znanego korespondenta wojennego „Timesów“ Forbesa i t. d., pochodzą z Węgier. Z takich próbek można się domyślać, że istotnie napływ „Serbów“ jest bardzo silny. Może też właśnie ta okoliczność tłumaczy nienawiść przeciwko monarchii austriacko-węgierskiej, rozpowszechnioną w Białogrodzie. W kołach wyższych naturalnie przytaczają różne powody na uzasadnienie tej niechęci przeciwko Austrii i przeciwko polityce dzisiejszego gabinetu. W kołach niższych nienawiść dochodzi do takich rozmiarów, że np. nienawidzą Austrii dlatego, ponieważ rząd serbski nauczył się od Austryaków—nakładać podatki! Oczywiście nie tu miejsce na rozbiór systemu podatków w Serbii. Zapiszę tylko jeden szczegół. Odjeżdżając z Białogrodu, przed wejściem na stację trzeba zapłacić, zdaje mi się, 30 centów brukowego. Za to należałoby przynajmniej wybrukować główne ulice stolicy, bo tak, jak są dzisiaj, raczej przyjezdny miałby prawo żądać wynagrodzenia od władz miejskich.

Bądź jakbądź, pomimo wszelkich niedostatków, jakie przedstawia Białogród wobec wymagań wielkomiejskich, zwłaszcza też pod względem gastronomicznym (obiady najlepsze w hotelu paryzkim po dwa franki, ale też nędzne), jest to miasto wielce ciekawe, a ludność sympatyczna. Wprawdzie w porównaniu do chorwatów rycerskich, eleganckich i bardzo uprzejmych, serbowie wyglądają trochę pospolicie, na kupców i komiwojażerów, jakoż od dawnych czasów słyną z talentu kupieckiego. Z tém wszystkiém jest to naród wytrwały, inteligentny, który umiał nie tylko w trudnych okolicznościach wywalczyć sobie niepodległość, lecz nadto utrzymać ją. Dotąd rządy serbskie zbyt wyłącznie miały na oku wielką politykę, dlatego Białogród pozostał niewiele więcej, czém był w r. 1812. Dopiero rząd dzisiejszy zwrócił należycie uwagę na wewnętrzne reformy. Dopiero teraz budują pierwszą koleją żelazną w Serbii i zakładają banki, a zatem powstają dwa filary nowożytnego rozkwitu gospodarskiego. To też można się

spodziewać, że w krótkim czasie stolica Serbii ogładzi się i wypiększy. Że w miarę tego rozwoju życie towarzyskie stanie się tam nader miłym, o tém świadczą wdzięki, a mianowicie nadzwyczaj miły akcent płci żeńskiej. Każde dziewczę serbskie, nawet najniższych stanów, choćby nie piękne, niesłychanie miłym, śpiewnym tonem mowy i przyrodzoną gracyą w ruchach sprawia wrażenie, o jakie najsztuczniejsza kokieterya daremnie się ubiega.

Rozmówić się po „słowiańsku“ naturalnie rzecz trudna. Trzeba poprzestać na najpospolitszych frazesach. Rzecz ciekawa, że ilekroć przemawiałem do serbów po polsku, choć nie dodałem ani słowa po rosyjsku, gdyż tego języka nie znam, zawsze zaczynali od zapytania, czy przybywam... z Rosyi? Ztąd wniosek łatwy, raz, że z pomiędzy słowian najlepiej tam znani rosyjanie; powtóre: że język rosyjski, jakkolwiek napozór tak bardzo zbliżony do serbskiego, zwłaszcza alfabetem, nie jest jednak serbom zupełnie zrozumiały. Zresztą bardzo łatwo w Białogrodzie rozmówić się w wyższych kołach zapomocą francuzkiego, w średnich zapomocą niemieckiego języka. We wszystkich hotelach, kawiarniach, trafikach, sklepach bankierskich i t. d., mówią po niemiecku, przynajmniej tyle, co w Peszcie i Zagrzebiu. Oprócz niemieckiego, zwłaszcza w hotelach, usłyszysz tam wiele innych języków, bo od kilku lat Białogród roi się od spekulantów, komiwojażerów i awanturników z wszystkich krajów, zwłaszcza z Francyi i Anglii, to też poczciwi białogrodzianie nie chcieli uwierzyć, abyśmy kilkaset mil przyjechali jedynie dla zwiedzenia stolicy serbskiej i bez interesu. Rzeczywiście jest to jeszcze kraj dziewiczy, gdzie jakotako zdolny i rzetelny przedsiębiorca może i własną z bogacić kieszeń i przyczynić się znacznie do rozwoju miasta i kraju. I tak do niedawna nawóz z kloak miejskich wrzucano tout simplement do rzeki. Nikomu nie śniło się, aby ta rzecz brzydka miała bardzo wielką cenę w gospodarstwie racjonalném. Dopiero jakiś anglik, który przed trzema laty nabył pod stolicą znaczne grunta i sprowadzając tam nawóz z miasta, zebrał plon obfity, nauczył białogrodzian, co to znaczy „non olet,“ i że niekiedy najbrzydsza rzecz, użyta umiejętnie, może się zamienić w złoto.

Przyrodzone skarby ziemi serbskiej dopiero wtedy staną się użyteczne dla narodu, gdy znikną fatalne, choć tak naiwnie podziwiane, zwłaszcza przez turystów francuzkich, „zadrugi,“ „komunie,“ czyli po prostu komunistyczne falanstery serbskie. Ten, niby to tak idealny patryarchalizm uniemożliwia wszelki postęp w rolnictwie. Gdy do pracy na polu nie wystarcza zjednoczona w organizacyi komunistycznej rodzina, naczelnik, nie mogąc nigdzie nająć robotników, bo tam niezależnych, samodzielnych robotników po wsiach nie ma, udaje się z grzeczną prośbą do sąsiada, który mu wtedy pomaga z swą „zadrugą“ i vice versa. W ten sposób, główny bodziec gospodarstwa, konkurencya, spółzawodnictwo, jest tam całkiem nie znany i to wzajemne wspieranie się w przyjaźni i sąsiedztwo, sprawia tylko, że wszyscy po-

zostawają w tym samym nędznym stanie materyalnym. Rząd chorwacki zabrał się energicznie do usunięcia tych „komunii,” zabytków z barbarzyńskich czasów, to też w Chorwacyi od kilkun lat gospodarstwo rolne znacznie się podniosło. Oby także serbowie, nie uwiedzeni pochwałami komunistów lub marzycieli obcych, śmiało wzięli się do istotnego uwłaszczenia i zindywidualizowania narodu.

Spędziliśmy w Białogrodzie czwartek i piątek. W sobotę z rana o godzinie 7-jej wsiedliśmy na statek, płynący na wschód. Z Bazyaszu, gdzieśmy zwiedzili „Marosz,” jeden z dwóch żelaznych monitorów, które hr. Andrassy kazał wybudować, koleją żelazną powróciliśmy do Pesztu. Od Bazyaszu aż do Temeswaru, stolicy Banatu, kraj zasiany bogatymi siołami, licznymi miastami, pięknie uprawianymi polami i rozległymi lasami. Jadąc Dunajem od Pesztu aż do Sławonii możnaby często przypuszczać, że jedziemy krajem dzikim, pustynią; na powrocie z Bazyaszu wszędzie dobitnie ukazują się nam dowody, że to kraj nietylko żyzny, lecz także pod względem uprawy wyrównujący najbardziej oświeconym krajom zachodnim.

Eugeniusz Lipnicki.

O KIERUNKACH NOWSZEJ LITERATURY POLSKIEJ *).

PRZEZ

Władysława Nehringa.

IV.

Balladyna i Lilla Weneda.

Na dwóch głównie krawędziach oparła się nowsza poezya polska: jedną z nich była narodowość i ludowy pierwiastek, drugą historyczność. Po wypadkach r. 1830 wykwitło na niwie poezyi polskiej kilka poematów osnutych na temacie o służbie i poświęceniu dla ojczyzny, które stawiały wzory lub okazy obywatelskich usiłowań i porywały umysły w najwyższe sfery ideałów. Peryod, który wydał te poematy, nie trwał długo i pozostał bez ostatniego słowa, bo Mickiewicz już nie napisał dalszej części „Dziadów,” do której się zabierał w dzień po napisaniu „Pana Tadeusza.“ Wróciła więc poezya polska na szeroki obszar Królestwa dwóch wspomnianych żywiołów niewyczerpanych, zdolnych zawsze do nowego odrodzenia i przybrania coraz to nowych kształtów. W pierwszym kierunku pojawiły się „Pieśni Janusza,” a zanim kierunek historyczności wydał opowiadania Wincentego Pola i Kraszewskiego, zwrócił się w tę stronę Słowacki, który idąc za wrodzoną sobie skłonnością, sprowadził historyczność na niwę i do formy dramatu. Był to przywilej jego ducha, że wszystko widział w łamanych liniach namiętności ludzkich. Te dwa dramaty zaś, które mamy tu na myśli, osnuł na kanwie jakby legendowej, wprawdzie nie wprost z ludowych utkanéj powiastek, ale na wzór ich fantastycznie uwitéj i tym sposobem znalazły się dwie rzeczy razem z sobą, które trudno się pogodzić dadzą: powieść fantastyczna i dramatyczna forma. Ale nie mamy zamiaru obierać krytycznego punktu wi-

*) Zob. zeszyt styczniowy 1883 r.

dzenia zgóry i wiązać się pewnym uprzedzeniem względem dwóch kreacji poetycznych, które pomimo słabych swych stron są niepospolitemi brylantami poezji polskiej i nie bez powodu zjednały sobie wielką w narodzie sympatya i wziętość. Mam mówić o „Balladynie“ i „Lilli Wenedzie“ Słowackiego.

Słowacki powziął, jak się zdaje, r. 1838 plan napisania kilku obrazów dramatycznych, które miały odtworzyć okres najdawniejszych Lechowych dziejów Polski. Poeta mówi o tém sam w przedmowie do „Balladyny“, że chciał „z dawnój Polski utworzyć fantastyczną legendę...“ i odzywa się do Krasińskiego, do którego przedmowa jest wystosowana: „Uśmiechnij się, Irydynie, bo oto naśladować francuzkich poetów, powiem ci, że Balladyna jest tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Aryosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyi, czyli kronik dramatycznych“ ¹⁾. Co skłoniło Słowackiego do tak znaczącego zwrotu, jakim było przejście od Kordyanów do Lechów i Popielów, zboczenie od wysień XIX wieku i od bohaterów, na których ludzie jego wieku patrzyli, do czasów i ludzi zamglonych przesłoną wielu wieków i oddzielonych prawie przepaścią zupełnego w tradycyi historycznej milczenia? Trudno dociec. W listach poety nie ma o tém żadnych napomknień. Jedno napomknienie uboczne moglibyśmy szczególniej co do Lilli Wenedy upatrywać w tém, że epoka Lechów w historii polskiej była wtedy z gruzów odgrzebywana przez Szafarzyka (1837) i innych, a pomiędzy tymi innymi był téż i sam Mickiewicz, który wedle oświadczenia wydawcy „Pism pośmiertnych Adama Mickiewicza“ (u Brockhousa, 1869), t. j. znanego i łatwo z liter początkowych odgadnionego L. R., miał już r. 1837 pisać „Pierwsze wieki historii polskiej,” doprowadzone tylko do końca wieku XII, głównie zaś mające rozjaśnić przedchrześcijańską epokę. Niejednokrotnie zdarzało się Słowackiemu, że z Mickiewiczem się na jednem polu pracy ducha spotykał, albo téż bezpośrednio w ślad za nim się zapędzał. Czyżby rzeczywiście przypuścić można, że Słowacki wiedział o tych zajęciach archeologicznych Mickiewicza i za jego przykładem te same badania o Lechu i Lechitach podejmował, choć nie na tak szeroką skalę, jak ów „mój starszy i wielki Pierwszy?“ (tak Słowacki Mickiewicza nazwał w liście z 2 kwietnia 1838 r.). Nie byłoby w tém nic nadzwyczajnego, skoro zkądinąd wiadomo, że Słowackiego każda wiadomość o Mickiewiczu żywo obchodziła, z którym tak bardzo lubił się

¹⁾ Balladyna wtedy, kiedy Słowacki te wyrazy pisał, już od kilku lat była gotowa do druku, bo już w listopadzie r. 1834 była napisana (Małecki o Juliuszu Słowackim, II, 262). W grudniu wymienionego roku donosi poeta o tém matce swojej. Ani w tym liście, ani téż i w innych listach, np. z r. 1836 (Małecki, II, 63), nie wspomina o żadnym cyklu „Kronik dramatycznych“, ani téż o jakimkolwiek poemacie dramatycznym, któryby mógł być z tego cyklu i mógł dowodzić, że Słowacki tę myśl stworzenia takiego wieńca historycznych dramatów miał już dawniej.

porównywać, i skoro około tegoż samego czasu, kiedy miał myśl swoją w epokę Lechów i Popielów kierować, w liście do matki dał dowód, jak żywo go obchodzi wiadomość, że Mickiewicz „chcąc zarobić na kawałek chleba, dramę po francuzku napisał i sam wyznał, że ją pisał... jak rzemieślnik, bez natchnienia“ (z listu z 19 maja 1838 r. w „Ruchu Literackim“ z r. 1875, nr. 51 i 52).

Wydaje nam się też prawdopodobną rzeczą, że w tych fatamorganowych dissolving views, które Słowacki, kiedy myślał o Lilli Wenedzie, wywoływał z epoki Lechów, i które pragnął zakląć w formy poetyczne, brał także udział poeta-historyk Zygmunt Krasiński, z którym nasz poeta przez kilka tygodni przebywał we Florencyi na pewien czas przed ukazaniem się Balladyny i Lilli Wenedy ¹⁾). Obydwa te poematy poświęcone są Zygmuntowi Krasińskiemu. Że Lilla Weneda jest świadectwem takiego hołdu i takiej z naszym poetą wspólności, iż dedykacja jedynie Krasińskiemu się należała, to pokaże się niebawem, ale że i Balladynę Słowacki Zygmuntowi w czci składa, zdaje się być wskazówką, iż o takich „Kronikach dramatycznych,“ jak Balladyna Lilla Wenedy, była pomiędzy obu poetami mowa ²⁾). Może i to mającąc znaczenie, że Słowacki Krasińskiego w przedmowie do Balladyny Irydyonem nazywa, a w dedykacji Lilli Wenedy do jego nazwiska dodaje: autorowi Irydyona.

Z Irydyonowych myśli nie ma tam nic i w ogóle z historycznych żywiołów nie ma tam ani tyle, aby to w jakąś formułę ująć się dało, w którejby był obraz i podobieństwo historii, a jednakże „Balladyna” i „Lilla Weneda” zasługiwały na to, aby stanąć obok „Irydyona.” Co się tyczy nasamprzód „Balladyny,” to należy ona do tych utworów poetycznych Słowackiego, które mają najwięcej bogactwa myśli, instynktów poetycznych, poetycznego uroku i siły poetycznej, i chociaż uczucie krytyka buntuje się na uchybienia i wady, to jednakże czytelnik zamilowany szczególniej w idealnych sferach poezyi, zawsze wraca do tego poematu z lubością i zadumą. Nie bez słuszności Krasiński „Bal-

¹⁾ A. Małcki: O Juliuszu Słowackim, II, 122². Balladyna już roku 1834 napisana, widocznie dopiero wtedy weszła do cyklu „Kronik dramatycznych,“ kiedy nasz poeta powziął myśl stworzenia takiej większej całości. Czy poeta Balladynę, przeznaczając jej teraz miejsce pomiędzy temi sześciami „Kronikami,“ zmienił stosownie do okoliczności, trudno wiedzieć; to, co o niej mówi w liście z 18 grudnia 1834 r., przypada zupełnie do tej Balladyny, którą znamy, która więc drukowaną była w Paryżu r. 1839 z przedmową do Krasińskiego.

²⁾ Zygmunt Krasiński pisze w liście z r. 1840 do Słowackiego: „Com przed laty myślał o siostrze Aliny „Balladynie,“ to samo dziś myślę.” Małcki Jul. Słowacki II, 157 wydanie nowe. Ponieważ Balladyna wyszła r. 1839, więc to wyraźnie „przed laty” znać daje, że Krasiński już dawniej Balladynę znał i że zapewne pomiędzy poetami o niej już dawniej była mowa.

ladyne” stawał pomiędzy utworami Słowackiego bardzo wysoko ¹⁾ i sam Słowacki mówi o niej w przedmowie z zadowoleniem. Musi więc „Balladyna” mieć nie małą wartość i musi mieć w sobie „wewnętrzny siłę żywota” i musiało się tam wszystko w niej „stworzyć w głosie poety podług praw boskich,” jak Słowacki sam w przedmowie powiada. Prof. Tarnowski w poznańskiej prelekcji z 6 stycznia 1881 ²⁾ z bystrą ale nieubłaganą krytyką przyznawał piękności w fantastycznych częściach, odmawiał harmonii całości; prof. Małeckie w znanym dziele o Juliuszu Słowackim z wielkim uznaniem mówi o „Balladynie,” ale w szczegółowym rozbiórce nie jedno przypisuje poecie, na co trudno się godzić. To co Małeckie mówi o reminiscencyach z Szekspira, że przy czytaniu „Balladyny” przypomina się i duch Banka i lady Mackbeth zabijająca króla, i sceny z „Króla Leara” i owo rozpaczliwe słowo: „mój cały zamek za błysk świecy,” przypominające podobne słowo króla Ryszarda III i t. d., jest zupełnie trafne i prof. Tarnowski słusznie mógł wyliczyć o wiele obfitszy szereg takich reminiscencyi. Na te wszystkie przypuszczenia Małeckiego, że się Słowackiemu marzyło Kochanowskiego słowa:

„Wszystko się dziwnie plecie
Na tym biednym świecie”

wcielić w formy plastyczne, któreby miały w sobie coś z ducha klasycznej tragedji, możnaby się pisać, choć w rzeczy samej do takich przypuszczeń nie ma powodu: ale na jedną rzecz trudno się godzić in *essentia*, to jest na analizę tych motywów, które uplotły tę dziwną tkaninę treści, z jakiej uwita jest „Balladyna.” Prof. Małeckie wylicza pięć takich motywów, które rzecz sprawują i wiklą: postanowienia ludzkie, przypadek, demonizm, logikę zdarzeń, która w fatalizm się zamienia, i wreszcie palec Boży; to co jest cudownością w całej tej uroczoności, ale i okropnie pięknej poezji, co więc Goplana, Skierko, Chochlik czynią, to podpada pod kategorię przypadku. Te więc sprężyny działające wykrywa i wymienia prof. Małeckie konsekwentnie, idąc krok w krok za akcją dramatyczną. Cała argumentacja o przypadku ma głównie punkt wyjścia w następującym miejscu: „jak nie byłoby lawiny, gdyby coś nie było stworzyło pierwszego onęj zawiązku, tak

1) Zobacz List Zygmunta Krasińskiego o Juliuszu Słowackim z 13 maja 1840 r. w dodatku do „Czasu” z r. 1859, t. XIII, str. 519. W „Balladynie” jest najpiękniejszy *mid summer night's dream*, najpiękniejsza epopea, ale nie homeryczna, jak „Pan Tadeusz” tylko aryostowska, sama z siebie żartująca, przyskająca na wszystkie strony, fantasmagoryczna, kapryśna, awawolna” i t. d. Por. Małeckie: „O Juliuszu Słowackim,” II, 157, gdzie wydrukowany jest list Krasińskiego do Słowackiego po odebraniu „Balladyny,” z roku 1840.

2) Dwa odczyty prof. Stanisława hr. Tarnowskiego, miane w Poznaniu w styczniu r. 1881. Poznań, 1881.

i Balladyna nie byłaby przysłała w pokuszenie zabicia siostry, a w następstwie dalszém popełnienia i innych występku, gdyby sam przypadek nie był jój do tego dał sposobności i zewnętrznej potrzeby" (str. 153). Tą argumentacją wiedzie krytyk czytelnika do przekonania, że Słowacki chciał w „Balladynie” pokazać, jak dziwnie się wszystko składa. Tymczasem te sprężyny działają w każdym innym także utworze tragicznym, intencyj zresztą swojej, aby z nich właśnie w „Balladynie” uczynić rzecz główną, poeta nigdzie nie wyjawia i jedno miejsce w przedmowie właśnie przemawia przeciw takiemu przypuszczeniu, mianowicie, że „Balladyna z aryostycznym uśmiechem na twarzy, ma wewnętrzną siłę urągania się z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie.”

Pokusimy się o to, aby odgadnąć, co poeta chciał napisać, w jakim duchu i sposobie? przyczém niczego więcj trzymać się nie będziemy, jak tego, co poeta w przedmowie i w samjéj „tragedyi” napisał. „Balladyna” osnuta jest na pewnych ludowych powieściach, które weszły w ballady Mickiewicza i jego towarzyszków, szczególnj na balladzie „Maliny” Aleksandra Chodźki:

„Przez litewski łąn,
Jedzie, jedzie pan.”

Pan litewski zajeżdza do ubogiej chaty. Dwie są w domu córki, obie pokochał, jedną tylko mógł wziąć. Więc ta ma być jego żoną, która prędzej wróci z dzbankiem malin. Starsza młodszą zabija, maliny jój odbiera, idzie za możnego pana, i potem karę ponosi za zbrodnię. Ale na tém nie kończy się treść „Balladyny,” powieść nabiera szerszych rozmiarów przez to, że tu jeszcze chodzi o koronę Lecha i o tron królewski. Rzecz się ma tak: możny pan, Kirkor, dziedzic wielkich włości za Popieła IV koło Gopła, z porady starca pustelnika, który się odsłania jako zdetronizowany Popiel III, jedzie do pierwszej lepszej ubogiej chaty którą wskaże pierwsza jaskółka, aby sobie poszukać żony. Goplana, królowa błękitnych fal goplańskich, tak rzecz pokierowała, że zajechał do starej wdowy, gdzie są dwie córki, Balladyna i Alina. Balladyna ma pójść za Kirkora, aby Goplana została bez rywalki w posiadaniu Grabca, z którym Balladynę łączyła miłość. Jak w balladzie Chodźki, możny pan pokochał obiedwie córki, maliny miały rozstrzygnąć, Balladyna zabiła szczęśliwszą siostrę, oddała maliny, otrzymała pierścionek i pojechała z młodym mężem na mурowany zamek z czterema wieżami. Tymczasem od samego początku pokazuje się, że w tragedyi chodzić będzie o ważniejszą jeszcze rzecz, aniżeli znalezienie sobie młodej żony. Na tronie siedzi wdzierca i samozwaniec Popiel IV, na jego głowie fałszywa korona; prawdziwym królem jest ów starzec w lesie, od dwudziestu lat zdetronizowany, a prawdziwa i cudowna Lechow korona, którą niegdyś Lechowi dał jeden z trzech królów świętych, zakopana gdzieś w lesie. Kirkor posłyszawszy o tém od starca, przyrzeka mu znów tron przywrócić, starzec koronę z pod

ziemi znów wydobywa i korona ta przechodzi teraz dziwne koleje, które splatają się z losami Balladyny. Dziwnym zbiegiem okoliczności Goplana wkłada tę koronę na skronie swego ulubionego Grabca, ten idzie jako „król dzwonkowy,” jak się sam nazywa, na ucztę weselną do Kirkora; tu Balladyna dowiaduje się, jaką wielką wartość ma ta korona, która zdobi skronie Grabca i zabija go, aby osiąść tron królewski w Gaieźnie; a że mąż jej walczy w sprawie uciśnionego Popieła III, więc Balladyna z pomocą Kostryna, niemieckiego jakiegoś rycerza przybłądy, zwalcza Kirkora, obejmuje tron i sprząta Kostryna jako już zbytecznego spółnika. Teraz dopiero przychodzi pomsta nieba za tyle zbrodni, pomiędzy którymi nie ostatnie miejsce trzyma ohydne postąpienie z matką, i karę wymierza, stosownie do charakteru całej sztuki przepełnionej cudownością, Deus ex machina, to jest piorun, który spada na Balladynę. I tak z głównych osób nikt nie pozostał przy życiu.

„W przedmowie do Balladyny” pisze Słowacki do Krasińskiego, że powziął myśl napisania cyklu historycznych tragedyi, czyli, jak się wyraża, „Kronik dramatycznych.” „Balladyna” ukazała się najprzód r. 1839, „Lilla Weneda” która niezawodnie miała być pierwszą w tym cyklu, ukazała się w rok po niej, do tej wiązanki miał należeć także „Krakus,” z którego zostały tylko pierwsze cztery sceny, ale który zapewne był przez poetę ukończony, jak Małeckci wykazał. Jakie miały być trzy inne utwory, czy do nich miał także należeć „Wallenrod, z którego też tylko fragment pozostał, niepodobna się ani domyślać. W innym miejscu przedmowy powiada Słowacki, że pisząc „Balladynę,” spełniał sny dzieciństwa. „Bo ileżto razy patrząc na stary zamek koronujący ruinami górę rodzinnego mego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie „niestety.” A nieco wyżej mówi, że „Balladyna” wbrew rozwadze i historii zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości.”

Więc „Balladyna” ma być koniecznie jakimś obrazem historycznym. Chodziło o odmalowanie epoki Popielowój, o której właśnie historia nie pewnego nie wie, bo wszystko, co się o owych czasach da powiedzieć, jest przypuszczeniem: i takim przypuszczeniem, jak dziś wiemy, już bardzo wątpliwem, jest to, że pieśni, przypowiadki i opowiadania ludowe, mieszczą w sobie żywioły z epoki przedhistorycznej. Więc na skreślenie epoki Popielowój, musiał jako materyał posłużyć pierwiastek czysto bajeczny, a ponieważ poeci z pierwszej epoki wystąpienia Mickiewicza, ballady swoje snuli z podań ludowych, więc Słowacki mógł go w umyśle swoim obejmować jako balladowy. W tym czasie, kiedy Słowacki pisał „Balladynę,” jeszcze powszechnie jak najmocniej wiercono, że tak nazwana literatura ludowa mieści w sobie żywioły i pokłady z najodleglejszych epok, i jest nieprzebraną skar-

bnicą wiadomości o czasach przedchrześcijańskich. Chodakowski już r. 1817 i nast. badał Słowiańszczyznę i zbierał wszelkie zabytki przeszłości w żywym słowie i w martwych przedmiotach; Wacław z Oleska, wydał r. 1833 „Pieśni polskie” i „ruskie ludu Galicyjskiego,” nie mówiąc o dawnych rozprawach i dziełach, np.: Woronicza, Gołębiowskiego i innych. Miał więc Słowacki owe skarby z czasów przedhistorycznych przed sobą i czerpał z nich, jak się zdaje, pełną ręką: to widać w jego „Balladynie,” gdyż wszystko jest w duchu i rytmie poezji, gdzie żyjemy w świecie duchów, i obcujemy z nimi jak z dobrymi znajomymi.

A potem było jeszcze jedno źródło do poznania epoki Popielowej t. j. kroniki i to, co uczeni z nich wydobyli, i to widać nie było obcym Słowackiemu. W jednym z listów pisanych z Szwajcaryi do matki r. 1833, prosząc o dzieła Kochanowskiego i o inne książki, pisze: „Co ci tylko, mamó, wpadnie w ręce ze starych kronik, które się często po rękach żydów walają, to mi przyslij.” Kroniki go zawiodły, bo kroniki też niczego więcej, nad poetyczne zmyślenia objawić nie mogły. Ale te baśnie kronik pochodziły z dawnych czasów, i były żywymi okazami, jak fantazyja tworzy podania. Pomiędzy temi krouikarskiemi baśniami były także historye o bezkrólewjach i o ubieganiu się o tron, powieści w wysokim stopniu fantastyczne; otóż mógł poeta na takiz sam motyw powieść wymyślić o tronie zagrabionym i o koronie ukrytej. Ta baśń nie była lepsza ani też gorsza od baśni krouikarskich, owszém jest ona bardzo piękna i urobiona, jakby z tego samego materiału, z którego fantazyja narodu już przed wiekami utworzyła baśń o Popiela okrutnym panowaniu. Ale Słowacki znał także i uczone o bajecznych czasach wywody, choć może więcej z rozmów i korespondencyi, aniżeli z książek. Wszakże te bajeczne czasy były szczególnie od r. 1829, kiedy się pojawiła Surowieckiego książka o pochodzeniu Sławian i kiedy Maciejowski w „Historji prawodawstw Słowiańskich” r. 1832 rzucił myśl, że Lazi u Sasów są milites sclavonici (II, 262), że szlachta i Lach mają z tym wyrazem związek, na inném zaś miejscu wywodził wyraz lech od lechy t. j. zagonu i tłómaczył jako równoznaczny z ziemianinem (II, 163), przedmiotem badań i rostrząsań. Zkąd Słowacki wziął swoje przypuszczenie, że szlachta to potomkowie zdobywców, a lud prosty, „chamy,” jest narodem antochtonów Słowian, to trudno wiedzieć, ale to pewna, że na tém przypuszczeniu polega stan społeczny w „Balladynie.” Ze ci panowie szlachta już o herbach rozprawiają, w tém może jest trochę satyry, jak w tém, że dwóch burmistrzów skazanych na powieszenie, poeta nazywa „Kuryer i Pismo.”

Wziął więc Słowacki do swojej kroniki dramatycznój powieści i pieśni ludowe, wziął krouikarskie wspomnienia, i rzucił te żywioły korytem poezji. Kto będzie chciał z poetą w obrachunki wchodzić, że w tylu rzeczach ubliżył historyi, że Kirkora ubrał w zbroję jak husarza, że w Gnieźnie osadził burmistrzów, że za Popiela sprowadził już chrześcijaństwo do Polski? Dla nas dość wiedzieć, że chciał stwo-

rzyć obraz historyczny, tchnieniem poezji do życia przywołać ludzi i czasy dawno zamarte. A skoro jako materyał do tego przypadła mu tylko baśń i jeszcze raz baśń, jedna z ust ludu, którą opiewali nowsi poeci, druga z kronik, więc znalazł się poeta w samym środku fantastycznego świata i mógł oddać ster wypadków bajecznej Goplanie, wód Kruszwickich królowej, i jej drużynie. Szkoda, że te istoty trochę podobne do Szekspirowskiej Titanii i do Pucka, jak to prof. Tarnowski wykazał, ale czy tak bardzo? czy Titania nie jest pod urokiem Oberona, gdy tymczasem Goplana prawdziwą królową, której władza sięga tak daleko, jak jej sympatye i antypatye?

Wypadkami w „Balladynie kieruje nie „rozmyśl ludzki,“ i nie przypadek i nie „ład i porządek świata tego,“ ale kaprys, fantazyja, psoty Goplany, elfów i sylfów. Goplana, aby Balladynę wydać za mąż i pozbyć się rywalki, skierowała Kirkora do Balladyny; służbisty Skierko posłany przez nią do wdowiej chaty, podszeptnął stariej wdowie myśl o zbieraniu malin, czemu? bo liczył „na czarne Balladyny serce;“ Skierko i Chochlik z pustoty unieśli Lechową koronę, którą pustelnicy Popiel zostawił zapomnianą, Goplana tę koronę na głowę Grabca włożyła, a Skierko i Chochlik w rękę zamiast berła włożyli piszczalną z wierzby, która patrzyła na zabicie Aliny przez Balladynę; piszczalka wyśpiewała wszystko na ucztę, widok korony Lechowej zapalił w Balladynie żądzę udania się na tron i t. d. Całe to mieszanie się duchów do spraw ludzkich i ich psoty sprowadzają okropne wypadki, których te wodne lub napowietrzne Cudotwórcze i Cudackie Ich Moście nie zamierzają, a których po niewczasie żałują. W gruncie rzeczy nie ma w nich złości, nie ma zbrodniczych zamiarów, Goplana nic złego uczynić nie chciała, wszakże ona sama, która ma taką wielką władzę, „nie może zabić,“ tylko ukarać i dziwi się, że ludzie zabijają się mogą. Pomimo to ona sprowadziła te biedy i za to skazana jest przy końcu na wygnanie. W scenie 1 aktu V mówi:

Poplątałam ludzkie czyny,
Tak że Bogu mścicielowi
Trzeba wziąć grom i upuścić
Na ludzkie dzieła i winy.

a potem żegnając Skierkę i Chochlika woła:

Bądźcie zdrowi! moja wina,
Że wygnana w północ locę.

Więc główna wina za wszelkie zbrodnie i okropności spada, nie jak zwykle w tragedji, na namiętności ludzkie, ale na Goplana, ową istotę „z mgły i galarety,“ która rozkochała się w obzartuchu Grabcu i taką namiętnością zapłonęła, że gotowaby zgasić światło słoneczne i księżyc rozłamać, byle nie stracić kochanka. Ona to miesza się w sprawy ludzkie, bo jej rywalką jest z śmiertelnic jedna. Taki więc jest punkt wyjścia poety i tak rozumieć należy owe słowa jego w przed-

mowie, że poemat „Balladyna“ „urąga się z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie.“ Jest to więc udramatyzowanie „związku świata duchów z światem ludzi,“ o jakim często wspominał Wójcicki i inni. Poeta go wystawił może właśnie w taki sam sposób, jak o tém mówili literaci, z dobrą wiarą, choć nie bez uśmiechu, i żeby nie brakło w tém spojrzeniu na świat przedhistoryczny i odrobiny przesady, dodał egzaltowanego Filona, którego by każdy inny poeta z pewnością pominął.

Z tego wszystkiego niezawodnie wynika, że „Balladyna“ nie jest w ścisłym znaczeniu tego słowa tragedją, bo jej brak szczególnieć w charakterze Balladyny psychologicznego umotywowania, i ten zarzut prof. Tarnowskiego jest jak najstuszniejszy. Pytanie tylko, czy takie względy wchodziły w obliczenia i intencje Słowackiego. Pocię, który w Maryi Stuart i Kordyanie analizę duszy i namiętności z niezaprzeczonem wystawił mistrzostwem, nie byłoby trudną rzeczą i Balladynę wystawić w chwilach krytycznych tak, abyśmy do głębi jej duszy zajrzeć mogli. Mógł to poeta uważać za niepotrzebne, skoro Balladyna jest pod wpływem rozrządzeń Goplany, pod wpływem „zemsty pogwałconej natury“ (II, 1) i pod wpływem swego demonicznego charakteru. Ma ona być przedstawicielką „balladowej“ jeszcze epoki i dlatego poeta nie udzielił jej jeszcze zupełnego wyzwolenia świadomości, a zostawił całą siłę bezpośrednich popędów i instynktów. Czy w tém leży tragiczność? zapewne nie, i od tego zarzutu, że poeta nie trafnie swoje dzieło nazwał tragedją, uwolnić go trudno, boć przez tragedją rozumiemy walkę namiętności ludzkich przeciw wyższemu porządkowi rzeczy.

Ale nie mniej przeto jest to poemat prześliczny i pełen poezji, a w tej poezji jest pełno zieloności i woni wiosennej, czuć w niej tchnienie i siłę wracającej z obumarcia zimowego do życia natury. To jest poezya, która tchnienia natury zamieniła na słowa i widzenia. Krasziński najtrafniej ją ocenił, że to jest „najpiękniejszy Szekspirowski „Sen nocy letniej,“ nam niech będzie wolno tę interpretacją dodać, że to jest najpiękniejsze udramatyzowanie wiosny, w duchu Szekspira poczęte. W „Balladynie“ w ogóle poeta nasz poraz pierwszy poszedł stanowczo za Szekspirem i nie przypadkowo wplotły się tam reminiscencye z „Lady Macbeth:“ „Króla Leara,“ przedewszystkiem z „Midsummernightsdream,“ ale te reminiscencye są tylko świadectwem, jak bardzo Słowacki przejął się Szekspirem, nie można ztąd wydawać wyroku, że Szekspira kopiował, i nie można, mojem zdaniem, godzić się na zdanie wytrawnego krytyka prof. Tarnowskiego, jakoby Słowacki, zabierając się do pisanja „Balladyny,“ nie miał planu, i kiedy ballada Chodźki starczyła tylko na dwa akty, uciekł się do Szekspira i od niego zapożyczał motywów do kontynuacji. Plan „Balladyny“ złożony jest w legendzie o koronie Lechowój (w pierwszej scenie), w rywalizacji potężnej Goplany z Balladyną i w owych słowach w akcie II, że „natura zbrodnią pogwałcona mścić się będzie,“ całe zaś przepro-

wadzenie „Balladyny“ jest, bądź co bądź, oryginalne. Prawda, że w duchu Szekspirowskim, z bajronizmu już tu ani śladu nie zostało, a nad ową pesymistyczną, ponurą filozofią zagadnień wzięta tu pierwszeństwo znajomość serc ludzkich, energia, ruch, życie! Ale to nie naśladowanie Szekspira: „Balladyna“ bądź co bądź jest od „Snu nocy letniej“ odmienna. Szekspir napisał fraszkę, wszystko co się tam w drugim akcie dzieje, jest niby snem i żartem, z którego też tryska jakiś promień prawdy; w „Balladynie“ zaś rzeczy biorą groźny obrót i te słowa wyżej przytoczone, które są jakby formułą tragiczności w „Balladynie“, że natura zbrodnią pogwałcona mścić się będzie,“ sprawdzają się w straszny sposób.

Ale—to też wszystko, co się da powiedzieć na korzyść „Balladyny“ w porównaniu z „Snem nocy letniej.“ Wiele rzeczy mówi na mekorzyść Słowackiego. Szekspir stworzył bardzo zabawną komedię: wszystko tam jest wesołe, puste, prawie błazeńskie, tu na tle takich naiwnych błazeństw zarumieniła się „tragedya“ i ztąd dysharmonia nieunikniona: zanadto humoru i zanadto okropności. Losy korony Lechowój zawsze zależą od błazeństw i psot duchów, to i żal patrzeć, że ta korona, do której się kiedyś Dzieciątko Jezus uśmiechało, spoczęła na głowie głupca „Króla dzwonkowego,“ który właśnie dla téj korony śmierć musi ponieść po uczcie pijanej. W Szekspira tragediach wśród najtragiczniejszych wypadków, komiczna scena dla kontrastu jak oaza zajmie miejsce, ale nie wplata się ona w tkaninę wypadków; skreśl ją, a całość będzie, jak była. W „Balladynie“ zaś to, co miało być humorem, zamienia się w komiczność, a komiczność wplata się w osnowę wypadków.

Już powiedziałem, że „Balladyna“ nie zasługuje na miano tragedyi, bo tragiczność w niej nie wynika bezpośrednio z namiętności ludzi ani z fatalności, ale głównie z bezmyślnych lub umyślnych zachceń i dyspozycji duchowych istot. Ale i z innych powodów „Balladyna“ nie jest tragedją, bo jest zanadto straszna. Tych okropności niecnej siostry, żony, kochanki, córki, jest zawiele, w końcu już one nie robią żadnego wrażenia; tragiczne usposobienie ginie, a ekspijacya za pomocą piorunu wypada nieco za kuso. Ta kumulacya okropności tém mniej jest miłą, że się do niej miesza nieumotywowanie. Po co Grabiec przemieniony w „Króla dzwonkowego“ idzie na dwór Kirkorra, na ucztę weselną? Czy go serce rwie do Balladyny, jak mu to wyrzuca Goplana? w takim razie spytać się godzi, czemu Goplana nie starała się temu przeszkodzić, ona, która poprzednio wszystko czyniła, aby zepsuć miłość Grabca i Balladyny. A jeżeli Grabiec tam poszedł jedynie dlatego, że tam na uczcie weselnój będzie dobra przekąska i dobry napitek, to czemuż tego poeta nie powiedział w samym poemacie, dlaczego tylko w przedmowie? Nie trudno to wiedzieć, dlaczego tam Grabek do ucztę stawia się w koronie lechowój, bo tam właśnie Balladyna ex re téj korony powziąć ma zamiar zabicia dawnego swego kochanka, aby tron osiąść. Ale to jakoś wszystko dzieje

się trochę naiwnie, jakby w królestwie Goplany, i dziwna, że nikt z biesiadników nie dowiadyuje się, z jakiego to królestwa jest ten król, który koronę Lechową ma na głowie? To już chyba dlatego, że to wszystko baśń, a w baśni nikt nie pyta o to, z kąd i czemu? Wszakże z punktu krytycznego nie można pochwalić takiej niekłopotliwości, bo właśnie w tej scenie czwartej, jest węzeł do nowych zbrodni Balladyny; i tu znów w tak stanowczy sposób ludzkie i nadludzkie sprawy z sobą się splątają, bo wystrychnięcie Grabca na króla jest sprawą Goplany, a zdetronizowanie tego biedaka nożem morderczym sprawą Balladyny.

Ale to splątanie ludzkich i nadludzkich spraw i działań miało, zdaje się, stanowić główne znamię przedchrześcijańskiej, „balladowej“ epoki w tej pierwszej dramatycznej kronice. Historycznych wspomnień z owych czasów nie było, z kronikarskich baśni wziął poeta tylko kilka nazwisk i ogólny zarys, z baśni i ballad wziął wszystko, t. j. ten bezpośredni związek człowieka z naturą i jej duchami opiekuńczymi i dlatego bohaterkę poematu, przedstawicielkę owej epoki, Balladyną nazwał. Tego świata zaś podaniowego i zawartego w powiastkach i balladach, w których zawsze uważał odbicie tamtych ¹⁾, nie wystawiał sobie Słowacki tak idyllicznie, jak może nie jeden z jego współczesnych: duchy przystroił wprawdzie w jasną mgłę tęczową i otoczył wonią poetyczną, ale zbytnią dobrocią ich nie obdarzył; ludzi zaś wystawić chciał z nieukształconymi i nieokiełznanymi jeszcze popędami; i dlatego tragiczność w jego rozumieniu była nieunikniona.

„Balladyna“ ma jeszcze jedną stronę mniej piękną, niż żywioły poetyczne, z których jest złożona. Zdaje się, że poeta pisząc ją, z uśmiechem czynił lekką aluzję do epoki balladomanii w polskiej poezji i do udziału w niej Mickiewicza. Rywalizacją z Mickiewiczem widać w kilku poematach Słowackiego, nie tylko rywalizacją, ale i niezwykłą interpretacją jego poezji. Epoka ballad w polskiej poezji trwała nie długo, koniec położyła jej katastrofa z roku 1824, to jest wywiezienie Filomatów i wielu Filaretów z Wilna na wygnanie. Mickiewicz po roku 1823 ballad nie pisał; Witwicki ballady swoje ogłoszone r. 1824 wycofał potem z obiegu księgarskiego; ballady Chodźki ogłoszone roku 1829 sięgają zapewne epoki wileńskiej; tylko Odyniec, zdaje się, i po roku 1824 pisywał ballady. Ballada owa dawna, pełna duchów, sielskości i natury, była fałszywą drogą do nowej poezji i do odrodzenia duchowego: zapaliła fantazję, mieściła w sobie niebezpieczeństwo powrotu do sentymentalności XVIII wieku, i oddawała niewidocznym duchom i siłom władzę nad dążeniami. Za temi niewidzialnymi w sercu lub w przyrodzie ukrytymi potęgami i poetycznymi instynktami, szli młodzi idealisci wileńscy nie długo, i wnet złudzenie spostrzegli.

Tak zdaje się Słowacki interpretować epokę balladomanii. Balla-

¹⁾ „Tragedya cała podobna do stariej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał,” Słowacki w liście do matki z 18 grudnia 1834 r.

dyna jest imię znaczące, które Słowacki z intencją stworzył, i jak jęj berło oddawał w balladowym świecie, tak zdaje się, że i nieco humoru przymieszał do tego wszystkiego, co z nią i około niej się działo i widział w tém daleki odblask tego, co było kiedyś w umysłach wielu. Na tę balladomania, która czysto poetyczne myśli i motywą wznosiła do spraw i dążeń narodowych i czyniła zamieszanie, rzuca poeta piorunem, Goplanę zaś, która jest duszą tego balladowego krolestwa, wysła na wygnanie na północ. Goplana mówi (V, I):

Polecę w okropną krainę
Gdzie sosny i śniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar,
Gdzie księżyc jak twarz tych mar i t. d.

....moja wina

Że wygnana w północ lecę!

To wygnanie Goplany na północ byłoby niezrozumiałe, gdyby nie było aluzją, która zdaje się odnosić do „Dziadów“ części III, sceny II, gdzie guślarz widzi kibitki z wygnańcami pędzące na północ, i do ustępów „Dziadów“ tejże części p. t. „Podróż do Petersburga.“

Krótko po „Balladynie“ ukazała się „Lilla Weneda,“ w Paryżu r. 1840. Miała ona zapewne należeć do wieńca owych sześciu dramatycznych kronik i miała w téj seryi, jak się zdaje, zająć pierwsze miejsce.

Wystawia tu poeta pierwszą chwilę historii Lechickiej, upadek narodu Wenedów, zwyciężonego przez Lecha i jego najezdniczą drużynę. „Prawdziwym bohaterem dramatu, powiada Małeckci, dobierając słów samego poety, jest ostatnie pokolenie Słowian czyli Wenedów nadgoplańskich, które po długim i rozgłośnem niegdyś istnieniu w szerokich kraju swego granicach, było pod Rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem.“ Początek więc polskiej historii wyobraża sobie poeta jako rezultat podboju, dokonanego przez najezdnicze plemię Lechitów. Oparł więc swój poemat na kombinacji stworzonej przez Lelwela, a w szczegółach później modyfikowanej przez innych, która w lechach, szlachcie, widzi przybyszów i najezdców, zdobywców i panów ziemi polskiej, a w chłopstwie upatruje potomków pierwotnego podbitego słowiańskiego ludu. Temu przedmiotowi poświęcał także jak wspomniano, około r. 1837 śledzenia swoje Mickiewicz, który Łazów-Lechów sprowadza z nad Kaukazu i prowadzi nad Wisłę i Wartę jako ujarzmicieli pierwotnego ludu słowiańskiego. Nazwa Wenedów, której Słowacki używa w poemacie, prowadzi ostatecznie do badań Surowieckiego i Szafarzyka (Starożytności Słow. 1837), a z niektórych wskazówek, szczególnież okoliczności tak znaczącej, że Wenedowie ci tak wiele polegali na śpiewie, pokazuje, że Słowacki coś posłyszał o owych słowianach śpiewakach, którzy grekom mówili, że ich naród nie zna żelaza, tylko gęśli i muzykę i o których Teofilakt Simokates pisze. Mógł wiedzieć nasz poeta o tém z drugorzędnych książek, może

od przyjaciół swoich, sposobności do tego w Paryżu (przypuszczając, że „Lilla Weneda“ dopiero w Paryżu była napisana) było dużo. Stowacki był także wiceprezesem Towarzystwa historycznego. Ale w to nam nie wchodzić, jakoteż w to, że owe teorie lechickie są mylne, bo by to tyle znaczyło, co woń poezji zepsuć zwierzętym pyłem książkowym. Więcej chodzi o to, jak poeta wystawił upadek Wenedów i pokonanie ich przez Lecha i drużynę jego.

Lud Wenedów to lud rośli, silny i, jak św. Gwalbert powiada, „lud dobry, choć nie chrześcijański,“ ale skazany na przekleństwo i zatrię, bo nie ma wiary w siebie, nie ma woli, bo serca naczelników jego drżą jak liść olchowy, albo w miejscu serca jest kłęb robactwa, albo też tam nic nie ma. Tę zwyciężkiem zaś plemieniem, które Wenedów już pokonało i z nimi ma ostatnią już walkę stoczyć, jest plemię lechitów, lud mały, głupi, rycerski ale bezmyślny, pieniaczy, obżarty, do kielicha skóry, zakochany w herbach, oddany lenistwu, prywacie i lekomyślny, ale ma wiarę w siebie, jest przedsiębiorczy aż do szaleństwa i dlatego zwyciężki. Straszny bój zwiódł z Wenedami, tysiące ich powalił o ziemię, Derwid król ich i synowie jego Lel i Polel, wzięci do niewoli. W tęg położeniu dwie córki Derwida, Róża Weneda i Lilla Weneda, poczynają sobie bardzo różnie, stosownie do ich charakteru, który już ich imionami dostatecznie jest oznaczony. Róża Weneda (czyli wedle dość upowszechnionego wymawiania Roza Weneda) ma duszę płomieniejącą i pełną energii, wyprawia ona Ślaza, aby Lecha zabił i harfę Derwida wykradł i przyniósł. Harfa ta śpiew ma wydać, który cudów dokaze i zbawi naród, na ostatnią walkę z lechitami pragnie Róża Weneda zapalić Wenedów, bo w tęg walce przyjdzie zginąć z chlubą albo może jeszcze zwyciężyć.

Lilla Weneda, cicha i pełna poświęcenia i miłości dla swoich, nie więcej nie pragnie, jak z niewoli wyswobodzić ojca i braci Lelum Polelum. Na to przedsięwzięcie wyteżyła wszystkie swe myśli, zabiegi i cały swój przemysł. Idzie do św. Gwalberta, który jég opowiadał słowo Chrystusowe, radzi się jęgo i wedle jęgo rady czyni ślub czystości i oddaje się w opiekę Bogarodzicy, a wtedy oboje idą do wieży rzymskiej, gdzie Lech obozuje. Tymczasem żona Lecha Gwinona (z skandynawskich dziewczę), Derwida już wymyślonymi mękami dręczyć zaczęła, i żądała pieśni od niego, a kiedy Derwid się zaklął, że nigdy ręka jęgo łańcuchami skrępowana z harfy pieśni nie wydobędzie, i kiedy rzucił na nią przekleństwo, kazała mu wyłupić oczy, i ztąd św. Gwalbert i Lilla zapóźno przyszli, aby Derwida zupełnie ocalić; ale przyszli i zawczasie, bo na tęg chwilę, kiedy Gwinona jeszcze właśnie pieniała się od gniewu i nienawiści, więc Gwalbert został do więzienia wtrącony, a Lilla Weneda musiała podjąć straszną walkę z Gwinoną o ojca. Oburzona brzydota moralną Gwinony, ufając opiece Bogarodzicy, zakląła się, że ojca trzy razy wybawi, choćby i od najokropniejszej śmierci, ta zaś emulacja i walka pomiędzy wyrafinowanymi wymysłami Gwinony a niewypowiedzianą mi-

łością i przebiegłością Lilli, jest jedną z najpiękniejszych, choć nie bardzo umotywowanych części „Lilli Wenedy.” Raz Derwid wisił uwiązany pękiem włosów swoich na drzewie i wtedy go odciął Polelum toporem; drugi raz Derwid osadzony był w wilgotnej ciemnicy na pożarcie węzów, ale Lilla porwała za harfę i węże zamieniła w słuchaczy, a Derwid zasnął snem spokojnym; potrzeci raz miał Derwid zginąć śmiercią głodową. I na tę srogość okrutnej kobiety znalazła Lilla fortel w skarbcu miłości. Ubrała swe piękne włosy w wodne lilie, uprosiła o pozwolenie odwiedzenia ojca i nakarmiła liliami. Wtedy Gwinona puszcza Derwida, Lel i Polel już dawniej byli puszczeni; ale harfę lub Lillę Gwinona chce zatrzymać. Derwid walczy z sobą, czy harfie, czy Lilli ma dać pierwszeństwo, i Lilla odczuwa tę samą walkę w sobie, wreszcie harfa zostaje, a Lilla ma ojca zawieźć do domu i wrócić albo sama na śmierć, albo po harfę, jeżeli przywiedzie ze sobą Lechowego syna, Lechona. Tu następuje nieprzewidziana katastrofa, spowodowana tragikomicznym wydarzeniem. Ślaz, który zamiast Lecha, Sygona zabił i przywdziawszy jego zbroję, za rycerza się udał, wnet zmiarkowawszy, w jak głupim jest położeniu, św. Gwalberta w zbroję podstępnie przywdział, a sam uciekł i dostał się do obozu Wenedów. Tu podobnie jak Albertus z wojny kłamał, że widział Derwida i Lilli zabicie i skutkiem tego Lechon prawem odwetu i zemsty zabity został. Wtedy, kiedy kłamstwo się wydało, Lilla Weneda musiała powrócić, a Gwinonę zabita w skrzyni odesłała, niby harfę złotą. Kiedy bój ostatni, śmiertelny zawrzał, i kiedy wszyscy byli w oczekiwaniu wielkiej pieśni na harfie królewskiej, przysłała skrzynia, a Derwid ledwie nie skamieniał, kiedy w miejsce harfy dotknął się zimnych członków ukochanej córki. Zrozpaczony, zabija się nożem ofiarnym, Wenedzi walczą naprzóżno, Lel umarł, Polel z umarłym spłonął na stosie, w który piorun spadł z nieba, na wszystko padło przekleństwo, tylko Róża Weneda została, jako zakład przyszłej pomsty.

O wartości „Lilli Wenedy” pod względem artystycznym można mieć zdanie bardzo niekorzystne i ułożyć rejestr uchybień przeciw wymaganiom kompozycji, przeciw przeprowadzeniu szczegółów niektórych i przeciw tragicznemu nastrojowi całości, i można go obciążyć bardzo ważnemi grawaminami poszczególnemi, jak Małeckie i profesor Tarnowski uczynili; z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że w „Lilli Wenedzie” są zalety, myśli i miejsca tak piękne, że i najostrzejszego krytyka w entuzjazm wprawiają. Lilla Weneda ujmuje, podbija, zachwyca i rozbraja. Jest w niej wielki urok, nie tak w szczegółach, jak raczej w przepychu całości, jest jakby czarodziejstwo poezji, która u Słowackiego zwykle zrywająca się w górę, tutaj przecież jest zaklętą w ściśle opisane granice i kształty. Największy urok ma Lilla Weneda, która zdaje się być wcieleniem poezji. Inne osoby nie doznały już tych pieszczonych poety względów; jednakże cały świat kobiecy jest o wiele korzystniej przedstawiony, aniżeli męzki, bo i Gwinona jest co do energii i hartu duszy wyższą od Lecha, i Róża Weneda wyższą jest

od ojca i braci. Przeciw wystawieniu charakteru głównych osób w Lilli Wenedzie dałoby się niejedno powiedzieć, nie wyłączając Gwinony, która choć „z skandynawskich dziewczic,” nie jest jak kobiety w skandynawskich sagach: te bywają wprawdzie także srogie i okrutne, ale tylko wtedy, kiedy mszczą bogów swoich, krzywdy własne, albo mężów lub kochanków, Gwinona zaś jest wyrafinowanie złą kobietą; nie należało się jęj z Skandynawii wywodzić, chyba, że się to stało przez sympatyą dla Kriemhildy, matki Irydyona; św. Gwalbertowi wytknięto już zkądinąd, że albo aureola świętości, albo brednie mu nie przystały. Z tém wszystkiém Lilla Weneda, porównana z Balladyną, wydaje się nam nierównie więcej do rzeczywistości i do dojrzałego na świat spojrzenia zbliżoną, gdy tymczasem Balladyna jest zanadto poetyczną powiastką, prawie balladową pieśnią o cudach duchów i natury. „Kroniką poetyczną” wprawdzie Lilla Weneda także nie jest, ale można przyznać, że owa śpiewność słowian, co harfę nad żelazo przynosili ¹⁾ i podbój wenedów przez lechów, opierał poeta w dobrej wierze wedle powszechnego mniemania na „pewnej tradycji,” i nawet początki chrześcijaństwa za Lecha można mu za dobre poczytać, wreszcie można z pewnością zastrzeżeniami zgodzić się, że poeta rzecz układał wedle prawdopodobieństwa. Co zaś osób się tyczy, to noszą one wprawdzie zanadto piętno kaprysu Słowackiego i jego wyobrażeń o przedhistorycznych ludziach, ale są nam pomimo to o wiele zrozumialszemi i o wiele więcej ludzkiemi, aniżeli personel śmiertelników w Balladynie, choć Słowacki w liście do matki z 18 grudnia 1834 r. zaręczał, że „starał się, aby ludzie tam byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca.” Tu znów, w Lilli Wenedzie, pokazało się mistrzostwo Słowackiego w rozwijaniu i koloraturze uczuć.

A przytém ma Lilla Weneda jeszcze jakieś tajemnicze tchnienie, które czytającego pociąga, choć go niepokojem napełnia. Widać, że poeta ostatniego słowa nie wypowiedział i zamknął je w sobie, ale ten nastrój ducha, w którym poczęła się ta niewypowiedziana i tylko tu i owdzie prawie zagadkowym sposobem napomykana myśl, rozlał się po poemacie. Widoczna tam przedewszystkiém jest myśl wystawienia daremnj wálki o byt narodu, który stracił wiarę w siebie i tę myśl odstąpił Małeck i śledził ją od początku do końca w szczegółach przekonywająco. Ale tam jeszcze jest coś innego. Aby to coś wydobyć, a przynajmniej za przewodem poety napomknąć, trzeba się uciec do przedmowy, którą w formie listu do Zygmunta Krasińskiego opatrzył swoją Lillę Wenedę. Tu pochwycimy następujące myśli: „w formę Eurypidesowj tragedji, rzuciłem wypadki wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości i na tój nieco marmurówj podstawie oprę szersze, więcej tęczowe, lecz mniej fantastyczne, jak „Balladyna,” tragedye...” „Tylko ty mnie nie opuszczaj... u ciebie znajdę otuchę... Ile

¹⁾ Właściwie jest na zacytowanym w Teofilakcie miejscu mowa o oyrach. Bielowski: „Mon. Pol. historica,” I, 3.

razy z tobą byłem, myślałem, że dość ludziom pokazać piękną postać duchową, że będzie zrozumiana i że oczy ludzi zwrócą się na niebo, gdzie górą płynie Goplana uwiązana rączkami za łańcuch zórawi. Teraz widzę, że innych widm, kolorów, obrazów potrzeba. Nie zchodzę jednak z mojej drogi, niech mówią co chcą, byleś ty mię pod swoje skrzydła przyjął, Zygmuncie!” Więc nowe tragedye po „Balladynie“ mają być szersze i więcej tęczowe, ale nie tak fantastyczne, jak „Balladyna.“ W „Lilli Wenedzie“ nie ma też całego romantycznego przyboru nimf i nie ma téj skończoności konturów i nie ma téj trochę chłodnej atmosfery, w której się przedmioty jasno i wyraźnie rysują, jest wszystko jakby za tęczą, bo poeta sam narzeka, że mu trudno myśl powziętą w rzeczywiste zamknąć kształty. Że „Lillę Wenedę“ ten los spotkał, że więc w nią nie wcieliła się cała myśl poety, ale że tam jest coś niedopowiedzianego, to widać z następującego miejsca: „Usiądź, Zygmuncie, nad kryształową jaką i smętną wodą i czytaj i zrób z nią („Lillą Wenedą“) to, co zamysłona z białą różą dziewczyna robi: to jest oberwij ją liść po liściu i rzuć w wodę i pytaj losu listków o los człowieka; a zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją nanowo w myśli swojej większym blaskiem odzianą i piękniejszą sto razy; i niech ta postać do nas obojga należy i niech będzie jak łańcuch łączący Lelum i Polelum.” Więc „Lilla Weneda“ ma być wcieleniem idei, która należycie poczuła i zrozumiana, ma należeć w równej mierze do obydwów poetów? Czyż obadwaj ją wydumali? czyż obadwaj ułożyli plan udramatyzowania jęj? Pewno nie! Oto ona, mojem zdaniem, dlatego ma do nich obydwóch należeć, że Lilla Weneda „ojca wybronić od śmierci nie mogła.“ Oto w tych słowach nagrobku pod Alpami jest zapewne słowo zagadki.

Słowacki opowiada, że kiedyś, przed pięciu laty, w Szwajcaryi, blisko miasteczka Villeneuve, czytał taki nagrobek: „Żulia Alpinula tu leżę, bogów awentyńskich kapłanka, wyprosić ojca od śmierci nie mogłam,” i że ten nagrobek natchnął go myślą napisania „Lilli Wenedy.“ „Ta czysta kapłanka, ona to zamieniła się w „Lillę Wenedę.“ Poeta tu miał na myśli ojca Krasińskiego i ojczyma swojego. Wiadomo było, że ojciec Krasińskiego już od czasu sądu sejmowego, w którym sam jeden z sędziów, oskarżonych o zbrodnią stanu winnymi uznawał, stracił popularność i że już wtedy, jak pisze A. E. Koźmian w „Pamiętnikach“ (II, 348), „usunęli się od niego wszyscy, chcąc go oznaką zubożenia wstrzymać wśród błędnej drogi, na którą go próżność pociągnęła.“ Wiedzano, że generała Krasińskiego, wracającego 1830 roku z pułkiem swoim do Warszawy, lud warszawski przyjął jaknajgorzej i że Krasiński uchylając się od zemsty ludu, wyjechał z Warszawy do Petersburga (A. E. Koźmian, Pam., II, 346—350; por. Klaczko w artykule „Le poète anonyme de la Pologne“ w „Revue de deux mondes“, t. 37 z r. 1862, str. 7). Wiedzano także, że ojczym Słowackiego w czasie śledztwa Nowosilcowa w sprawach uniwersytetu Wileńskiego i przed śledztwem, występował więcej tajemnie niż ja-

wnie przeciw młodzieży akademickiej i przeciw młodszym profesorom i że to ściągnęło na niego niepochlebną opinią, której wyrazem stał się Lelewel w broszurze wydanej roku 1830 p. t.: „Nowosilcow w Wilnie,“ i następnie Mickiewicz w „Dziadach“ III, gdzie figurę doktora w dość ohydny sposób wystawia. Dość, że tak ojczyzna Słowackiego, profesora Bécu, jak Krasińskiego, potępiła opinia narodu. Jeżeli Zygmunt Krasiński cały zawód życia swojego poświęcał na to, aby plamę z imienia Krasińskich zetrzeć i dlatego wydawał swoje poezye bezimiennie, że nie chciał mieć sławy z pism swoich, kiedy imię ojca było w niesławie (*cet acte de renoncement obstiné fut en même temps un acte d'expiation douloureuse* (*Revue de deux mondes* l. c. str. 7); to o Słowackim można powiedzieć, że wszelkie staranie ku temu kierował, aby plama, która padła na jego ojczyzna i z tego na ukochaną matkę, zbladła i znikła w obec sławy i zasługi, którą chciał zyskać. Kiedy w liście z 30-go listopada r. 1833 donosił matce, że Mickiewicz w „Dziadach“ zohydził doktora Bécu, który jak wiadomo, od piorunu zabity został, w zapędy najgłębszego bólu pisze: „Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzi pociski dojść nie mogły. I muszę tego dokazać!“

Więc obydwaj poeci podobni do tej Julii podalpejskiej, kapłanki awentyńskiej, która ojca z poświęceniem życia od śmierci wybawić pragnęła, i do Lilli Wenedy, która całkiem poświęca się ocaleniu ojca swojego. Lilla Weneda jest w poetycznej myśli Słowackiego obrazem obydwóch poetów. Ona więc jest w umyśle poety rzeczywiście bohaterką dramatu i nie bez powodu umieścił poeta jój imię na tytule. A skoro taki był właściwie pomysł poety ukryty w liście ornamentacyi poetycznych, więc poszukał poeta dla swój bohaterki miejsca w mglistych dziejach Lechii, a skoro ją uczynił córką ostatniego króla wenedyjskiego, więc reszta sama się znalazła. „Zaprawdę, pisze w przedmowie, jam tych mar nie wołał, przyszły same! Przyprowadziła je ze sobą Lilla Weneda, a ja ujrawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytých i t. d., wziętem jedną z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą...“ Zatem te harfy, hełmy, tarcze i t. d., wszystko to zrodziło się w duchu poety dopiero w drugiej chwili.

Lilla Weneda więc, jój miłość i poświęcenie, jest jądrem poematu, jest ona więc wcieleniem tylko miłości dziecka względem ojca. Należało się jój przeciwstawić wcielenie miłości kraju, uosobioną ojczyznę, zwłaszcza że rzecz tego wymagała, bo kraj zagrożony był upadkiem. Tą uosobioną ojczyzną, surową, gniewną, a która stąpa po sercach ludzkich i kruszy je pod swemi nogami, zdaje się być Róża Weneda, która nie dba o ojca, tylko o większe rzeczy, o całość ojczyzny. Mnie się wydaje, że przez tę tęczową przesłonę przeciera myśl poety, niezwykła, jak niejedna myśl Słowackiego, tak, że ją i trudno na zwykłą mowę śmiertelników przetłómaczyć. Obydwaj poeci, Juliusz i Zygmunt, których poeta też związał nicrozzerwanyin węzłem

braterstwa w Lelum Polelum, jak w przedmowie powiada, bronią ojców swoich wbrew głosowi kraju. To boleśnie... ale oni też walczą za kraj i owa uosobiona ojczyzna Róża Weneda jest także ich rodzoną siostrzą. I oni też walczą za kraj, ale ten kraj jest przeznaczony na zagładę i zgubę, walka orężna za niego jest bezskuteczną, bo nie ma zbawczej pieśni; Lech zwycięża, Lel i Polel płoną na stosie niby na ołtarzu ojczyzny, jako „pomniki przyszłości.“ Jedyna Róża zostaje— i łańcuch, który łączył Lela i Polela, który Róża Lechowi rzuca pod nogi i woła: „Oto, co z twoich niewolników zostało.,“ Zdaje się, że poeta w daremnej walce o byt kraju miał na myśli wypadki r. 1830. Ale też dalej w tych parallelach iść nie można, w żaden sposób nie da się wynaleść pewna jakaś przez poetę obmyślona allegorya, dość mu było na tém, że w ciężkich chwilach, kiedy go gniotły smutne myśli, napomykał je tylko. Chodziło mu o to, że w Lilli Wenedzie mógł on i Zygmunt Krasiński widzieć i uznać swoją duchową siostrę!

ODSIĘCZ WIEDNIA.

OBRAZ DRAMATYCZNY W V-ciu AKTACH,

Z PROLOGIEM I EPILOGIEM.

NAGRODZONY PIERWSZĄ NAGRODĄ NA KONKURSIE W KRAKOWIE, KU UCZCZENIU 200-LETNIEJ ROCZNICY OSWOBODZENIA WIEDNIA *).

NAPISAŁ

Wincenty Rapacki.

AKT IV.

Wiedeń: plac przed kościołem świętego Stefana. Domy i balkony ubrane w kwiaty. W oknach kobierce drogocenne. Tłumy ludu zalegają plac i okna wszystkich domów. Na przodzie sceny naprawo kościół, do którego drzwi otwarte.

SCENA 1.

Kulczycki wjeżdża wielkim wozem głębią i zatrzymuje się naprawo. Lud otacza go ze wszech stron.

Kulczycki. A pójdźciel pójdźciel rzeszo zgłodniała. Oto tureckie chleby i frykasy. Oto baranina świeża, utuczona na waszych naddunajskich pastwiskach. Oto ryż w workach. Tu słodkości przeróżne. Co komu wola (*w miarę jak wylicza, podaje przedmioty, które tłum rozchwytuje*). Siedm tygodni postu, to akurat tyle, żeby za to sto dni odpustu dostąpić. Możecie za to śmiało żądać dyspensy papieżkiej, aby was uwolniono od wszelkich wigilii i suchych dni.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za wrzesień r. b.

1 z ludu. Oh! Herr Kulczycki, jaki wy dobry człowiek!

2 z ludu. Oh! unser brave Bruder Pole!

Kulczycki. Tu macie sorbet w beczkach: nic podobnego jeszcze gardła wasze nie widziały. Najedzcie się i napijcie, pocziwe szwaby, abyście godnie mogli powitać zbawcę waszego.

1 z ludu. Oh! dieser König! Oh! grosser Mann!

Kulczycki. Wilhelm, a obdziel tam to biedactwo. Patrz, jacy oni wynędzniali, każda kosteczka przegląda im przez skórę i prosi miłosierdzia. Tfu! aż mi w oczach słońce; ale duch się tam jeszcze w nich kołace. Chodźcie tu, chodźcie! Wyjedliście wszystkie szczury i koty, a nawet liście objedli z drzewa. Wiedeń taki czysty, że muchy trudnoby żywej spotkać. A nie jédz tak zapalczywie, bo się udławisz. Otóż masz, to biedactwo tak pożera, jakby się jeszcze przed przyszlém obłężeniem zabezpieczyć chciało. Powoli jédzcie, wszakże już turek nad karkiem wam nie stoi. (*Wchodzi Elżbieta, blada, stara, wynędzniała, zaledwie na nogach utrzymać się może*).

SCENA 2.

Ciż.—Matka Elżbieta.

1 z ludu. Matko Elżbieto, matko Elżbieto, chodźcie tu; Herr Kulczycki nakarmi was i dzieci wasze.

Elżbieta. Ja już nie mam żołądka. Ot, turcy mi żołądek zabrali.

1 z ludu. Co bo wy mówicie, pójdźcie-no! Jak podjecie sobie dobrze, to poczujecie żołądek. Wróci on znowu na swoje miejsce.

Elżbieta (*napót obłąkana*). Ale czy wróci mi mego Karola, Gustawa, Frytza mądrego? Wróci mi zięcia mego, Albrechta? A Joasię moję wróci? Oh! bogdaj was zaraza dotknęła! Wojny! wojny! Ja nie chciałam wojny... Modliłam się do Boga przykładnie i rzemiosło nasze szło tak dobrze. Karol uzbierał dwieście reńskich, Gustaw miał odbyć duży, mądry Frytz miał duży dom budować na Wohlzeile. Gustawa dzieci poumierły z głodu. Wczoraj dałam im zupy z liści orzecha... głupie ludzie powiedzieli mi, że to dobre... nie mogły już jeść biédaki... pomarły mi... pomarły wszystkie. To nie tak, jak nasze stare żołądki... my byle ścierwo jeść potrafimy... ale te aniołki...

Kulczycki. Ot, to dopiéro tragikomedia. Kobiéto, temi twemi łachmanami i rozpaczą mogłabyś bogów z Olimpu wystraszyć.

1 z ludu. Oua już zwaryowała z rozpaczy. Dwóch synów wzięto na wojnę, a trzeci tu zginął na wałach. Córka i dwoje dzieci pomarło z głodu.

Elżbieta. Dwoje razem; a Joasia, a Karol... a Gustaw? a Frytz najukochańszy... mądry Frytz, którego sam książkę głaskał po twarzy, jak wybudował tę kaplicę... i Albrecht jeszcze... nie, Albrecht żyje.

1 z ludu. Nie trapić się, matko Elżbieto, Karl i Frytz może wróćą. Wszak mówią, że parę tysięcy jeńców odbito turkom.

Elżbieta. Parę tysięcy? Prawda... Wdowa Szenan miała dwóch synów. Kował Szulc miał jednego... a krawiec Braunfogel, a Jonasz szlifiérz... czekajcie, niech porachuję... *(Siada na stopniach kościola, przez scenę w głębi przeciąga transport jeńców tureckich i wielbłądy obładowane łupami).*

1 z ludu. Patrzcie, patrzcie, wielbłądy obładowane tureckimi bogactwy... A ot, jeńcy pogańscy... Ha! psy turki... Hura na turków!

Elżbieta *(podnosząc się obłąkana)*. Turki! Turki! gryźć! kąsać! żrć turków... Chodźcie, chodźcie za mną. Turki! Turki! *(biegnie za nią łul, Kulczycki powstrzymuje).*

Wszyscy. Hura na turków!

Kulczycki. Wara! Tam za murami trzeba ich bić było. Na bezbronnych rzucać się nie wolno. Puścić ich.

Elżbieta. Gryźć, kąsać, żrć turków... Moje dzieci!

Kulczycki. Stójcie! To zwierzęta najokrutniejsze! *(za sceną dzikie okrzyki, Kulczycki patrzy za kulisy przerażony)*. Mordują. Ta stara wiedźma poczuła w sobie herkulesowe siły. Hola! rozdzielcie ich. Nic nie słyszą i nie widzą, prócz zemsty. *(Zeskakuje z wozu)*. Precz! wy dzikie bestye! I wy chrześcianami się mienicie? *(wola z drugiej strony)*: Hola! na pomoc pójźcie! *(Wpadają z przeciwnej strony Frytz i jeńcy wie-deńscy)*.

SCENA 2.

Ciż i Frytz.

Frytz *(wołając)*. Niklas, Józef, Augusta—chodźcie tu. Nie wolno zabijać bezbronnych.

1 z ludu *(wracając)*. A oni nas nie mordowali? *(Wracają wszyscy powoli, obładowani łupami)*.

2 z ludu. Oho! to nasi wrócili.

Kulczycki. Piliście krew pogańską, szakalc; teraz żałuje, żem was obdzielił chlebem.

1 z ludu. To zemsta.

2 z ludu. Choć kropelka.

1 z ludu. Darujcie nam, Herr Kulczycki.

Kulczycki. Pal was kaci, toć i we mnie zakipiało. No, wóz wypróżniony. Kto jeszcze głodny, niech przychodzi do mego domu na Himelfortgasse.

Wszyscy. Vivat unser brave Pole! *(Kulczycki wyjeżdża, wszyscy grupują się koło Frytza)*.

1 z ludu. Patrzcie, i Frytz kulawy wrócił.

Frytz. Tak, wrócił, sam jeden, bez brata. *(Wchodzi Elżbieta)*.

Elżbieta. Zabiłam, zamordowałam! Za dzieci moje!

2 z ludu. Matko Elżbieto... ot, go macie.

Elżbieta. Frytz... a gdzie Karol, Gustaw?

Frytz. Dziękujcie, że mnie macie żywego. Przypatrzcie mi się dobrze. Wracam z piekła. No, kto mi powie, zem się dobrze Wiedniowi nie zasłużył, temu wszystkie zęby wybije. Umrzeć tysiąc razy, to głupstwo; ale patrzeć na to, co ja widziałem, to więcej, jak umrzeć. Oh! moja matka i wy, głodne a głupie szwaby, jużbyście tu wszyscy wczoraj we krwi się nurzali, gdyby nie Król Polski. Wczoraj miał być Wiedeń wzięty i byłby wzięty, tak, jakem Frytz Puxbaum. Popatrzcie na nasze bastiony i forty: wszystko w gruzach.

2 z ludu (*pokazując na kościół*). A ot, spojrzysz, gdzie się ich kule ogniste już dostały.

Frytz (*patrząc*). Ha! psy niewierne! utracili głowę świętemu Edwardowi. Majster Max będzie miał robotę; ale nie, niech tak zostanie na pamięć wieczną. Byłem u polaków, nakarmili mnie i napoi. Mój Boże! jacy to dobrzy ludzie. Ot, przynoszę wam, matko, drogie rzeczy... bo to tam rozdają prawie wszystko. Masz, Augusta, koralę drogie (*rozdaje*). Ty, Maryo, masz tu świecidła piękne... Dla ciebie, Berto, szal przyniosłem. Leżałem w namiocie tureckim na kupie złota głodny i spragniony i obrzydliwość mnie doń zdjęła. Co powiećcie? jednego pieniążka nie wziąłem, kiedy poczułem wolność.

2 z ludu. Szkoda.

Elżbieta. Wiész, że Minka i Pepi umarły wczoraj z głodu.

Frytz. Niechże im Pan Bóg da niebo. (*Odyłos dzwonoń i bicie z dział. Wchodzą Ławnicy, Radzcy, Cechy i ustawiają się przy kościele*).

SCENA 3.

Ciż.—Ławnicy.—Radzcy.—Cechy, potem Burmistrz i Halabardnicy.

Rajca. Szlijcie dziękczynne modły, wasz wybawca się zbliża. Upadnijcie przed nim na kolana, bo to wybraniec Boży.

2 z ludu. Czy prawda, panie Knobel, że widziano nad nim anioła, który zachęcał chrześcian do bitwy?

Rajca. Tak, prawda. Duch Boży nad nim się unosił.

Chłopak (*wpadając*). Teraz Król Polski u Augustyanów, a potem tu ma przybyć. (*Wchodzi Burmistrz i Halabardnicy*).

Burmistrz. Uczynicie miejsce wolne! Uczynicie miejsce wolne! Tą drogą od Grabenu będzie iść nasz wybawca. (*Halabardnicy ustawiają lud po obu stronach sceny, tak, że środkiem zostawiają wolne przejście; wchodzi Kulczycki i Liza*).

SCENA 4.

Ciż.—Kulczycki.—Liza.

Kulczycki. Pójdź Lisko, niech pozna Wiedeńkę naród polski. Niech rozdziawia oczy szeroko i wiedzą, że jeżeli polak głupstwo zrobi, to wie przynajmniej dla czego.

Liza. Ja zaś dlaczego je zrobiłam, to jakoś dotąd wytłómaczyć tego sobie nie mogę.

Kulczycki. I niech cię Bóg uchwowa gdybyś się kiedy zastanawiać nad tém zaczęła, bo wówczas jużbyś mnie kochać przestała. Zdobyłem cię wstępny bojem tak, jak nasz Król Jegomość Wiedeń zdobył i dlatego kochać mnie musisz.

Liza. Niestety!

Kulczycki. Więc widzisz Liska... A powiem ci pod sekretem... tylko nie bierz tego bardzo do serca, bobyś zhardziła: że gdyby nie ty, to chyba niktby mnie tu nie utrzymał w waszym Wiedniu. Kiedym ujrzał naszych husarzy, jak za dzielnym Królem parli w obóz pogański, krew po staremu zagrała w żyłach i o małym się nie puścił w taniec... ale pomyślałem sobie, że oni i bezemnie dadzą radę, więcem przybiegł do Liski. Jednak ci powiem, że jak Wiedeń opuszczają będą, to przywiąż mnie najsilniejszym łańcuchem, jeżeli chcesz mnie przy sobie zatrzymać.

Liza. Ej, na nitce cię utrzymać potrafię.

Kulczycki. Tak myślisz. No, to wiedz dumna niemkini, że ja ruszam z nimi do Polski.

Liza. Bardzo dobrze, tylko mnie zabierzesz z sobą.

Kulczycki. Oh! ty moje słodkości—ale już chyba tu zostanieemy. Nasz Król ocalił Wiedeń od turka... a jam go karmił jakim umiał i pomagał w turbacyach. Król Jan za taki czyn wickopomny nic nie weźmie w nagrodę, chyba za powrotem burę sejmową... a mnie dostał się łup bogaty... trzeba więc trząść te gruszki z drzewa (*całuje ją.*)

Liza. Przy ludziach.

Kulczycki. Co moje, to moje—a co komu do tego? A paniegtaj przyjąć godnie mych braci, żeby nie powiedzieli w Polsce, że wiedenki niepotem (*wchodzi ksiądz Marek Avijano*).

SCENA 5.

Ciż.—Ksiądz Marek Avijano.

Ksiądz Avijano. Wszędzie zniszczenie, ruina i nędza blada wyszczerzają zęby. Cóż to za straszny wróg, co tylko kamień na kamieniu zostawia. Niszczy wszystko i trawi jako ogień Sodomy. Oh! na tak wielkiego wroga, trzeba było tylko takiego męża. I oto dokonał się w oczach Chrześcijaństwa cud, cud wielki, niesłychany i niewidziany. Tak, gotujcie mu tryumfalne bramy, sypcie kwiaty pod stopy jego... wszystkie jednak bramy... choćbyście ich aż pod strop niebieski podnieśli, nie objęłyby tego potężnego ducha, jakiego on maż wielki w sobie piastuje. Pójdźcie ludzie małego ducha, niedowiarkowie, faryzeusze kupczący sumieniem, cnotą i wiarą; opowiem wam cud, na który się patrzyło tysiące chrześcijańskiego wojska, w czasie bitwy téj wickopomnej. Oto biały gołąb unosił się ponad hełmem polskiego

bohatera. Oto słońce żywszym zapłonęło blaskiem, jak ongi Jozuemu, aby dokończył bitwy i dokończył jój tak, jak jeszcze żaden wódz świa-
ta, bo jednym zamachem miecza swego, uciął łeb pogańskiej hydrze.
(*Tłumy cisną się naokoło księdza; wchodzi Silberglück.*)

SCENA 6.

Ciz.—Silberglück, potem marsz tryumfalny.

Frytz. Patrzenie, patrzenie, pan Silberglück.

1 z ludu. To ważna osoba.

Frytz. Wysłany od Cesarza.

1 z ludu. Zjawia się na uczcie.

Frytz. Czemuż ich wtenczas nie było, kiedy nas turcy zjeść chcieli?

1 z ludu. Zlatają jak kruki na ścierwo.

Frytz. Rozmawia z burmistrzem i rajcami; cóż on im powie?

Silberglück (*do burmistrza i rajców*). Zapominacie, coście winni panu swemu. Zanadto wielki hołd Królowi Polskiemu będzie ujmą dla waszego Cesarza.

Rajca. A gdzież był Cesarz, panie Silberglück, gdyśmy tu marli z głodu, zabijani, męczeni jak psy?

Silberglück. Głupi motłochu... a czyjémże dziełem ocalenie wasze? Kto przemyślał jak ojciec nad dziećmi, aby wam i tój stolicy swojej, zagrożonej zapewnić ochronę? Jedni władają mieczem, bo są do tego stworzeni, a tych używają ci, co mają rozum od nich więk-
szy; ojcowskiej to pieczy JCMości zawdzięczacie swe życie i mienie.

Rajca. Nie wszystko można wysmażyć w gabinecie. Temu, który krwi i życia dla nas nie szczędził i który cudowném ramieniem swoim ocalił nas i Chrześcianaństwo, należy się hołd, równy samemu Bogu.

Silberglück. Dobrze więc, krzyczcie, niech wam popękają gardziele, ale pamiętajcie że niewdzięcznych pominie sprawiedliwa ręka pańska.

Rajca. Niewdzięczność, to nie nasza cnota; urodziła się ona tam przy bankietowym stole waszym, podczas gdyśmy tu krwawy haracz płacili.

Marsz tryumfalny. Odgłos trąb i dzwonów. Wchodzą Król Jan z chorągwią turecką, Królewicz Jakób, Elektorowie, Starhemberg, Hetmani polscy, Senatorowie, Rycerstwo polskie, Panowie niemieccy. Król Jan wychodzi z ostatniej kulisy na lewo. Okrzyki: „Niech żyje Król! Vivat Salvator!” Przez cały czas pochodu do kościoła różne osoby cisną się doń całując go w ręce i w nogi. Król się zatrzymuje, przemawiając po słów parę. Muzyka gra ciągle aż do wejścia do kościoła. W kościele głos organów i Te Deum. Przez chwilę na scenie cisza. Wchodzi Silberglück.

Silberglück. Patrzenie-no ludzie, czyja na tym pieniądzu głowa?

Frytz. Czyjażby? cesarska.

Silberglück. Cóż za ten pieniądz kupić można?

Frytz. Wszystko.

I z ludu. Ojca i matki zań dostanie.

Silberglück. Więc ten, który temi pieniędzmi uszczęśliwia ludzi, jest ich panem samowładnym i ojcem i więcej jak ojcem, bo im daje sposób, aby być szczęśliwymi na ziemi.

I z ludu. Prawda.

Silberglück. Powiedziałeś że ojca i matki zań dostanie.

Frytz. Nie zawsze; czasem kawałka chleba zań kupić nie można. Wczoraj ten gulden nie wart był krajcara.

Silberglück. W rękę tylko takich głupców jak ty, ale w rękę rozumnego człowieka wart on zawsze, bo ten, który te pieniądze bije, daje im moc niezwykłą.

Frytz. Czemuż niemi turków odpędzić nie potrafił.

Silberglück. A, głupia głowo, a któż rozpędził turków? gulden austriacki.

Frytz. To zaczyna być ciekawem.

Silberglück. Czy ty myślisz że guldenem, jeżeli zań ojca i matki, jak powiadasz dostanie, nie można także kupić sprzymierzeńca?

Frytz. Można—tylko Pana Boga nim nie kupić. Schowajcie panie tę kieskę, może się ona przydać dla waszych piesków; tu między pocziwymi wiedeńczykami łotra nie znajdziesz. Ażebyście zaś wiedzieli, że i my nie w ciemę bici, to wam tu pokaże całą garść złotych polskich, na których uwieńczona głowa bohaterskiego Króla i które jak relikwią każdy wiedeńczyk dla wnuków swoich zachowa. Wiemy, o co idzie JCMości, ale jego Majestat nic a nic na tém nie straci, jeżeli tu przed zbawcą swoim upadną w proch wdzięczni mu wiedeńczycy.

Silberglück. Podły, zbuntowany motłochu!

Frytz. Hola! wynoś się kundlu zkądś przyszedł, bobyś te galony złote po ziemi zbierać musiał. *(poruszenie w tłumie; Silberglück ucieka).*

Frytz *(wskazując na kościół)*. Mój Boże, dla takich wielkości tylko w niebie zapłata. Świat prócz błota nic im dać nie potrafi. *(grupują się wszyscy przy Frytzu, który im opowiada; z kościoła wychodzą: Kulczycki, Liza, Diakowski, Rubinkowski, Rączkowski, Polacy).*

SCENA 7.

Lud. — Kulczycki. — Diakowski. — Rubinkowski. — Rączkowski. — Polacy.

Kulczycki. No, panowie bracia, czas też wielki oddać się uciechom i zabawie. Ot dom mój czeka na przyjęcie wasze. A to przyszła gospodyni, moja hic mulier, co mnie dzierży za czuprynę.

Diakowski. Daj go katu, takię nadobności nie dziw, że się nie oparło sarmackie serce.

Rubinkowski. Najmniejsze tóż to serca sarmackie, najmniejksze, począwszy od naszego Króla.

Kulczycki. No, więc się nie bardzo dziwicie, że tak Wiedeń polubił.

Diakowski. Ale nie... dziwimy się tylko, że lubo tak młoda i piękna, na waścinych przymiotach się poznała.

Kulczycki. Ba, bo tóż to rozum, serce i wszystko w porządku u tęg niewiasty.

Rubinkowski. A jakże dzieci swoje wychowasz.

Kulczycki. Nie rozumie się tak Liska, to przyjsć musi, a jak przyjdzie da Bóg, polakami będzie.

Diakowski. Trudnoż cię tu ganić, mój Tomaszu, żeś urokowi tęg nadobnęg panny oprzeć się nie mógł. Szkoda tylko ojczyźnie tak dzielnego człowieka.

Kulczycki. Można jęg i poza granicami służyć dobrze; wy szablę, ja mózgownicę. Dom mój to gospoda dla biédaków, jakim ja byłem kiedyś, a gdyby ojczyzna zawołała na mnie, to i ona za mną pospiesz: prawda Liska.

Liza. Tak.

Frytz (*zblížając się*). Ale może my was nie puścimy, panie Kulczycki. Ojczyźnie waszęg nie zabraknie ludzi, a tu po was Wiedeń płakałby cały.

Kulczycki. Bóg wam zapłać: to upominek weselny.

Diakowski. Zawstydzają nas niemcy... a cóż my ci damy na te gody?

Kulczycki. Serdeczne uściśnienie.

Rubinkowski. Bóg ci błogosław; szkoda tylko, że ten, który ci przyrzekł dzielić uciechę z nami, nie będzie.

Kulczycki. Pan Miecznik.

Rubinkowski. Płacze z synem na mogile swęg córki, którą znalazł zabitą w wezyrskim namiocie.

Kulczycki. O! Fortuno straszliwa; jednych obdzielasz, drugich obdzierasz: biedny starzec.

Rączkowski. Otóż i Król Jegomość.

SCENA 8.

Ciż.--Król Jan i całe jego otoczenie.

Burmistrz (*we drzwiach kościelnych*). Monarcho niewyciężony... Najjaśniejszy Królu Polski! Wyszedłeś z tęg świątyni, która do dzisiaj, niestety! nosi na sobie ślad mużułmańskię potęgi... Oto ich godło: półksiężyc. Wisi tu ono od pierwszego oblężenia w roku 1529, kiedy sułtan Soliman zagrażał temu miastu. Mużułman zawarował sobie traktatem, że zdjąc go nikomu nie wolno, groząc wojną. Oba-

wiano się i szanowano ten rozkaz, ztąd wrodziła się w ludzie naszym legenda, że raz jeszcze turek w Dunaju wiedeńskim konie poić będzie, a Wiedeń dwanaście tygodni jęczeń będzie w głodzie i w niewoli wielkiej, aż zjawi się w świecie mąż, tak wielkiej wiary i siły, że stanie na wiedeńskich górach z krzyżem w jednej, a mieczem w drugiej dłoni, a będzie przy nim dwunastu ksiąząt chrześcijańskich, jako dwunastu apostołów i dwunastego dnia się to spełni i z trupów pogańskich uczyni sobie most do Wiednia i po moście tym przyjdzie do tego kościoła i dzwony same odezwą się dlań i organy hymn mu wydzwięczą, a kościół i cesarstwo staną potężniejsze jak były i wtenczas to on zrzuci ten znak i zdepcze go nogami. Spełnione proroctwo; lecz tego znaku nikt z śmiertelnych dotknąć się nie waży, prócz ciebie potężny Monarcho... jakżeś tedy Wiedeń oswobodził od turka, tak kościół nasz uwolnij od znaku hańby... błagamy cię o to na kolanach.

Król Jan. Chętnie! *(zrzuca mieczem znak półksiężycy nagle drzwiami, który mu przy nogach pada. Okrzyki ludu. Kulczycki z Lizą po chwili występują przed Króla).*

Kulczycki. Królu mój miłościwy, zakończ ten akt wspaniały chwały twój wiecznej i potęgi—uszcześliwieniem dwojga ludzi.

Król Jan. To pan Kulczycki. Cóż mi to aś za kwiatek prezentujesz?

Kulczycki. Moja narzeczona, miłościwy panie; trzeba było oto dies feralis, ażebym ja włóczęga aż tutaj znalazł tę gałązkę, na której drzewo Kulczyckich szczepić zamierzam *(kłękają)*. Pobłogosław nas panie.

Król Jan. Wszystko, co waś poczynasz, poczynasz dobrze i mądrze i tu powinszować ci tylko mogę. Błogosławię was, a na weselu wypiję zdrowie panny młodej. *(podaje rękę Lizie, którą ona całuje).*

Okrzyki. Vivat! Vivat Król Jan III.

AKT V.

Równina pod wioską Schwehat, w głębi siniej góry, kilka rozbitych namiotów.

SCENA 1.

Wchodzi Cesarz w rozmowie z Silberglückiem.—Książdz Marco Avijano.—Elektor bawarski.—Książę lotaryngski.—Marszałek dworu.—Ministrowie.—Dworzanie.

Silberglück. Te wystrzały, które tu WCMość wczoraj słyszała, to były tylko wiwaty dla zwycięzcy. Wszystkie dzwony tłuły tak, że o mało im serca śpiżowe nie popękały; a ten motłoch włókł się za nim na kolanach i kwiatami wieńczył mu drogę.

Książdz Avijano. I czyż mogło być inaczej. Któż wdzięczne serca ludzi uhamować potrafi? Wczoraj jeszcze zrozpaczeni i biędni, dziś wolni i szczęśliwi za sprawą wielkiego człowieka, jakże takiemu nierzucić serca pod nogi.

Cesarz. Czyż on jeden tylko zasłużył na ten tryumf? a moiz wodzowie i sprzymierzeńcy?

Książę lotaryngski. Zrzekamy się chwały wszyscy na korzyść jego. On był duszą téj walki, on téż dokonał zwycięstwa.

Cesarz. A jaż nie znacę u moich ludów? ja, który tułam się jak rozbitek i nie mogę trafić do mojej stolicy, bo raz ją turek oblega, a potém zwycięzca tryumf w niej swój odprawia. I to wszystko zawdzięczam mądrej radzie... (wskazując na jednego z ministrów), ot, takich.

Minister. Najjaśniejszy Panie! radziłem szczęście ludom twoim... ale czyż mogłem przewidzieć, że ich niewdzięczne serca ocenić tego nie potrafią.

Książdz Avijano (n. s.). Dziwnaż to logika samolubstwa; poczytuja za występki to, co cnotą się nazywa.

Książę lotaryngski. Daruj WCMość chwilowe uniesienie, które nacisk okoliczności wywołał. Gdybyś, Najjaśniejszy Panie, ujrział te blade i wynędzniałe twarze z głodu straszego i męczarni, nie dziwiłbyś się ich radości na widok podwoi szczęścia, jakie rozwarło przed niemi.

Cesarz. Niczemu się już nie dziwię, tylko łatwowierności mojej, to téż na drugi raz ostrożniejszym będę. Teraz na cóż czekamy? Wszakże nam wolno już wejść do naszej stolicy?

Książę lotaryngski. Zapominasz, Najjaśniejszy Panie, że tu ma być plac spotkania z Królem Polskim.

Cesarz. Któż to postanowił? gdzie i kiedy?

Książę lotaryngski. Ty sam, Najjaśniejszy Panie.

Cesarz. Koniecznież się to z nim widzieć muszę?

Minister. Tak wypada, Najjaśniejszy Panie, dla świata.

Cesarz. Milcz pan! Nie żądamy więc rad twoich. Możesz, hrabio, zaniechać nadal naszych usług. Jedź do dóbr swoich, świeże powietrze korzystnie wpłynie na twój umysł. Żegnamy cię.

Minister. Jestem posłuszny (n. s.). To wyrok mojej śmierci. (Odlala się).

Cesarz. Zuchwały! Dla świata! Świat jest głupi, kiedy takie rzeczy doradza. Nam nie dla świata, ale dla powagi naszej cesarskiej działać trzeba.

Silberglück. I dla korzyści państwa, Najjaśniejszy Panie. Gdyby mi wolno było uczynić pokorną moję uwagę.

Cesarz. Mów, Silberglück; choć nie należysz do liczby moich doradców, ale rozum twój wysoko cenię.

Książdz Avijano (n. s.). Więc ta żmija teraz w słońcu łaski pańskiej wygrzewać się będzie.

Silberglück. Dzięki ci składam, Najjaśniejszy Panie. Otóż z Królem Polskim radziłbym spotkanie, choćby dlatego, żeby go do dalszej wyprawy nie zniechęcić.

Cesarz. A któż ci powiedział, że ja pragnę, aby się dalej posuwał. Niech wraca do domu. Gotów z węgry wejść w konszachty. Sam teraz turków wypędzić potrafię.

Książę lotaryngski. I tak WCMość chcesz odprawić Króla bohatera, który ci tron zagrożony przywrócił; wielkiego sprzymierzeńca, który nie żałował krwi swojej i swoich poddanych, który wreszcie własne korzyści podeptał, aby ciebie ratować?

Cesarz. Żołnierskim językiem przemawiasz, Mości Książę, śnać w obozach zatraciłeś polor wielkiego świata.

Książę lotaryngski. Daruj WCMość; w obozach czystsze, szlachetniejsze wieje tchnienie, niżeli w twoich dworaków kole, którzy tylko jady trujące do uszu pańskich sączą. Dzieliłem trudy i niebezpieczeństwa z tym bohaterskim narodem i nie wahałbym się i chwili hołd winny Królowi jego okazać.

Cesarz. Ty... ale nie my.

Ksiądz Avijano. Najjaśniejszy Panie, jesteś apostołem Kościoła świętego; pomnij WCMość, że to były dlań Atylli dni straszliwe; ten wielki mąż ocalił Chrześcijaństwo.

Cesarz. Cóż Wasza Elektorska Mość na to powie?

Elektor bawarski. Racz WCMość poradzić się serca swego, a ono pewnie nie omyli.

Cesarz. Serca, serca. Złym politykiem jesteś, książę; tu o majestat mój chodzi. Jakież ceremoniał spotkania ułożycie panowie? któż mam rękę podać?

Książę lotaryngski. Przyjąć go w otwarte ramiona.

Cesarz (*nie zważając*). Przecież nie prawą. Król elekcyjny. Panie marszałku, jakież są formy w tym razie?

Marszałek. Napróznom badał i szukał w zapiskach dworskich i w pamięci, Najjaśniejszy Panie. Bywały spotkania z królami polskimi, panami dziedzicznymi, z Bożej łaski spokrewnionymi z domem WCMości; ale z elekcyjnym z woli narodu i z narodu wybranym nie było. Wreszcie hrabia Schaffgotsch wysłany już, aby zbadał, jak postąpić wypada, i ma już instrukcją WCMości.

Cesarz. Prawda, zapomniałem, że już postanowiono. Czekajmy więc na Schaffgotscha. Panie Silberglück, jakżeś znalazł nasz Burg stary?

Silberglück. Ani jednej całej szyby w oknach. Pawilon od strony bastyonu, jak i bastyon cały, w gruzach. Ptaszarnia WCMości spalona. Ogród i zwierzyńiec służył za pastwisko baranom i wielbłądom pogańskim.

Cesarz. Okropnel

Ksiądz Avijano. Nie mówisz pan nic o strasznych klęskach biędnych ludzi, których domy w perzynę obrócone. Wszystkie przed-

mieścia spalone. Nie mówisz nic o męczarniach głodowej śmierci. Widziałem całą rodzinę wymarłą: matkę, ojca i troje małych dzieci. Żywiło się to wszystko zatrutą wodą i liśćmi z drzew twego parku, Najjaśniejszy Panie.

Cesarz. Ach! to przerażające! Ojcie Avijano, za powrotem naszym pozwalam ci czerpać z mojej szkatuły, ile ci się podobać będzie, aby łyż otrzść tym biedakom.

Ksiądz Avijano. Dzięki ci składam pokorne, Panie.

Cesarz. Biędni ludzie, nie zasłużyli na tyle nędzy. Panie marszałku, czy przepis etykiety pozwala nam zwiedzać niektóre z dzielnic, gdzie nieszczęśliwi ci przebywają?

Marszałek. Dotąd mianowani bywali szczególnie urzędnicy do tych poruczeń; a wybierani przezemnie z woli monarchy.

Cesarz. A to niech już tak zostanie.

Ksiądz Avijano. Pomień WCMość tą razą etykietę, a uszczęśliwisz swoich poddanych. Widok twego oblicza więcej pocieszy tych nieszczęśliwych, niżli datek największy.

Cesarz. Nie mogę, Ojcie. Któż ku nam zdąża?

Marszałek. Hrabia Schaffgotsch. (*wchodzi Schaffgotsch.*).

SCENA 2.

Ciz i Schaffgotsch.

Cesarz. Cóż nam przynosisz, hrabio?

Schaffgotsch. Król Polski się zbliża aby powitać WCMość.

Cesarz. Czyś nadmienił o ceremoniale naszego spotkania.

Schaffgotsch. Tak jest, Najjaśniejszy Panie. Król Polski nie urodzony na tronie i widocznie nie przywiązuje wagi do oznak majestatu. Nie mogłem się porozumieć. Zrazu był zdziwiony, potem oświadczył: „Jeżeli to tak dużo ma kosztować waszego pana, to możemy zaniechać spotkania; sądziłem wszakże, że jemu raczej wypadłoby mnie poszukać, aniżeli mnie wlec się z wojskiem i gonić za jego podziękowaniem.” Uśmiechnąłem się tylko na tę rubaszną definicyę i oświadczyłem, że jemu, jako młodszemu przystoi przybliżyć się do WCMości, a WCMość nie zaniechasz postąpić ku niemu. Co się i stanie lada moment, bo tylko o jeden wystrzał armatni poprzedzam orszak Króla Polskiego.

Cesarz. Miejmyż się na baczności, aby w niczem nie uchybić ceremoniałowi.

Ksiądz Avijano (*n. s.*). Wolałbym ten ceremoniał podeptać, aniżeli na niewdzięczność zasłużyć.

Cesarz. Czy Królowi Polskiemu towarzyszy kto z książąt?

Schaffgotsch. Jedzie tylko na czele swoich wodzów i panów, a ma przy boku syna.

Cesarz. Nie uznany następcą przez naród, to osoba nic nie znacząca. Podajcie mi lunetę (*podają; cesarz patrzy*). Pięknie wygląda

ten orszak. A ten Król ma isticie bohaterką postawę. Cóż, kiedy to tylko Król wybieralny. Po przywitaniu radbym obejrzeć jego wojsko. Schaffgotsch. Rozłożone na drodze, którą WCMość przejeżdżać będzie.

Cesarz. Wydać rozkazy, ażeby wszystko natychmiast było gotowe do podróży. *(odgłos trąb; wchodzi: Król Jan, Królewicz Jakób, Panowie polscy. Cesarz postępuje parę kroków ku Królowi, uchylając kapelusza prawą, podaje lewą rękę. Król Jan zdejmując kłapak lewą a podaje prawą.)*

SCENA 3.

Ciż.—Król Jan.—Królewicz.—Panowie polscy.

Cesarz. Miło mi powitać was, dostojny bracie, w dobrém zdrowiu.

Król Jan. Równie jak i mnie was, bracie.

Cesarz. Jestem szczęśliwy, że waszą dłoń uściskać mogę.

Król Jan. Szczęścia tego i ja już dawno pragnąłem, ale srogość wojny rozdzielała mnie od WCMości.

Cesarz. Pozwól sobie podziękować.

Król Jan. Mój bracie, miło mi żem tę małą uczynił przysługę. *(przedstawiając mu Królewicza, który oddaje niski ukłon.)* To syn mój.

Cesarz *(patrzy nań obojętnie)*

Król Jan. Chowałem go, aby był wzorem rycerzy i zawsze gotowym do wysługi Chrześcijaństwu.

Cesarz *(j. w.)*.

Król Jan *(z pewnym nieukontentowaniem)*: Oto panowie polscy. To wojewoda bractawski Sapieha. Wojewoda bełski Koniecpolski. Wojewoda pomorski Denhoff. Koniuszy koronny Matczyński. *(wszyscy się kłaniają głęboko, z odkrytymi głowami. Cesarz lekko potakuje głową; Denhoff się zbliża, chcąc upaść do kolan cesarzowi; Król Jan go wstrzymuje.)*

Król Jan. Wojewodo! bez podłości. *(do cesarza)* Może wola WCMości obejrzeć wojsko. Panowie hetmani mają rozkazy, żeby je sprezentować

Cesarz. Chciałbym zobaczyć te zastępy mężnych obrońców wiary świętej. *(Ten sam ceremonialny ukłonów ze strony Monarchów. Panowie nie zdejmują już czapek. Król Jan z Cesarzem i jego otoczeniem, z Królewiczem Jakóbem odchodzą.)*

SCENA 4.

Koniecpolski.—Sapieha.—Panowie.

Koniecpolski. Tandem! oswobodzenie Wiednia nie warte było ukłonu kapeluszem JCMości.

Sapieha. A cóżby świat powiedział na to, aby tak potężny moczarniał za co komu dziękować. Bogu on tylko dzięki składać może.

Konieczpolski. Jeszcze wczoraj nie miał swojej stolicy.

Sapieha. To téż wczoraj grzeczność ich graniczyła z podłością, a dziś niewdzięczność w otwartą nienawiść się wyradza.

Konieczpolski. Wszystkie drzwi przed nami zamykają, jak przed zarazą; na polu gołym każą umierać tym, co dla nich krew lali.

Sapieha. Zawiele są nam winni. (*wchodzi Król, Królewicz, Sieniawski*).

SCENA 5.

Ciż.—Król Jan.—Królewicz.—Hetman Sieniawski.

Król Jan. Szlachetna дума przystoi szlachcicowi, ależ niegrzeczności nie spodziewałem się po was, panie hetmanie.

Sieniawski. To nie była niegrzeczność, odpłaciłem tylko równą monetą. JCMość znać mnie nie pragnął, więc i ja nie mam ochoty poznać JCMości... a potem, dla mnie, ty panie jesteś Królem; innych nie znam i znać nie potrzebuję.

Konieczpolski. Nie zawadzi, Miłościwy Panie, ta lekcyja grzeczności, jaką dał pan hetman JCMości.

Sieniawski. Obecnie śmiem zapytać Miłościwego Pana, kogo teraz ratować pójdziem? Czy Niemców, którzyby nas radzi w łyżce wody utopić? Czy Węgrów, przeciwko którym niedawnośmy z Niemcami byli w sojuszu

Król Jan. Sojusz trwa. Związaliśmy się nim, aby ratować Chrześcijaństwo od pogan i ratować je będziem, panie wojewodo.

Sieniawski. Toćeśmy je już uratowali i jakąż wzięliśmy podziękę od dostojnego sojusznika WKMości? Ukłon kapelusza był za drogi.

Król Jan. A gdzież zapłata albo podzięką dla nas? — Tylko w Bogu! w sumieniu! I któryż mocz, albo pan świata potrafiłby zagrzeć w nas zwyciężkiego ducha? i jakież podzięką starczyłyby w zapłatę tego, cośmy zdziałali? Wstyd panowie! Czyśmy po to przyszli pod Wiedeń, ażeby pałac Cesarski ocalić? Czyśmy żądni byli nagrody albo podzięką jego? Ginące Chrześcijaństwo zawołało na nas ratunku i pospieszyliśmy, jak na rycerzy krzyża przystało. Bóg nam pobłogosławił, a teraz Go prosimy, aby dalej uczynił swęj łaski, bo walka nasza nieskończona. Dopóki jedna noga niewiernych na ziemi chrześcijańskiej, nie złożę oręża w pochwę.

Sieniawski. Nie uczynisz tego, Panie, i nie poprowadzisz nas na zgubę pewną.

Król Jan. Co mówisz panie hetmanie? (*wpada Rubinkowski*).

SCENA 6.

Ciż i Rubinkowski.

Rubinkowski. Hańba! Ohydal

Król Jan. Cóż się stało?

Rubinkowski. Myśmy dziś dla nich gorsi od turków; pożywienia ni dla ludzi, ni dla koni; iskry miłosierdzia dla rannych i umierających. Kropli wody nie dostaniesz, dopóki jój nie wydrzesz. Cała nasza chorągiew obumiera z pragnienia i głodu.

Król Jan. To kolej ludzkich rzeczy. Chcielibyście waćpanowie, ażeby lud biedny i znękanym po stokroć przez turka i węgry dzielił się z wami tém, czego sam nie ma, żeby wam oddał lepsze kąski, a sobie gorsze zachował?

Rubinkowski. Możnaż wszystko wytkómaczyć na dobre, Miłościwy Panie, ale téj złości strasznej, jaka dziś w tych ludziach, trudno. A toć my dla nich kraj zdobyli.

Król Jan. Teraz będziem zdobywać dla siebie.

SCENA 7.

wchodzą Miecznik.—Stanisława.—Towarzysze.

Miecznik. Oto cielskiem mojem zagrodzę ci drogę Miłościwy Królu. Tu mi raczej mogiłę usyp i tu niech będzie granica pochodu twego.

Król Jan. Co mówisz, panie Mieczniku?

Miecznik. Nie pójdiesz dalej, Królu. Spełniłeś wszystko, co bohater chrześcijański mógł spełnić. Nie marnuj sił narodu na bezowocną wyprawę... myśl o swoich, tak jak oni o sobie tylko myślą.

Król Jan. Starcze nad grobem! Rycerzu posiwiały w wojnach pogaństwa. Ty, któryś w méj duszy zemstę zaprawiał dla nich. Ty mi taką radę dajesz!

Miecznik. Ja, Królu, bo pięćdziesięcioletniem doświadczeniem mierzę drogę, którą teraz przebyć zamýślasz i widzę jasno kres jój. O Polsce myśl, Panie. Jakaś złamał potęgę turka pod Wiedniem, tak ją złam w własném gnieździe. Nam nie gonić po obcych ziemiach za wawrzynem rycerskim, nam trzeba stać na straży świętości naszych i bronić każdej piędzi téj ziemi, co krwią tylu męczenników przesiąkła. Ty będziesz się uganiał za uchodzącym turkiem, a tam tatarska horda będzie rwała naszą ziemię i znaczyła pożogą i jasyrem swój pochód. Spełniliśmy nasz obowiązek.

Sieniawski. Słuchaj Panie, słuchaj tego starca... wszak oni to sami niewdzięcznością swoją powinni ci zagrodzić drogę.

Król Jan. Ludzie małego ducha; chcecież piękne dzieło, jakie nam Opatrzność przeznaczyła, w połowie tylko spełnić? Mamyż nie pogonić za uciekającym wrogiem i nie zgnieść go doszczętnie, żeby po naszym smrotném odejściu wrócił się tu i zniweczył to wszystko, cośmy dotąd zdziałali?

Miecznik. Już on tu nie wróci, ale siłami, jakie mu jeszcze zostały, zionie w Polskę. Tam trzeba nam skupiać siły wszystkie, tam wydrzeć nam tę ziemię, którą dzierży, urągając nam haniebnie; tam

oczekiwać jego zastępów, a jeżeli ginąć przyjdzie, ginąć na progu własnego gniazda. Oh! Królu, nie pozwól, ażeby kości nasze bieleły na obcych polach, nie pozwól, byśmy ginęli w tęsknocie i rozpaczcy tu, gdzie litościwej dłoni nie znajdzie, co by nam oczy przymknęła. Błagamy cię, Panie, z głębi duszy. Patrz... ja starzec, com w tylu bitwach nie zadrzał nigdy przed śmiercią... ja, co całą siłą méj duszy pomagałem wyprawie, dziś wołam, nie chodź dalej Panie! bo tam pogrzebiesz to wszystko, coś zdobył pod Wiedniem, bo tam będzie grób naszej chwały. *(wchodzi Diakowski).*

SCENA 8.

Cięż.—Diakowski.

Diakowski. Skończył pan Kasztelan, pan Podkomorzy dogorywa. Połowa prawie naszej chorągwi osłabła z ran i choroby.

Król Jan. Choćby nas większą połowę śmierć zabrać miała... podążym z mniejszą, dopóki ja żyć będę; bo pamiętajcie: dom daleko, a zwycięstwo mamy pod ręką.

Miecznik. Pójdźcie, pójdźcie rycerze za Królem waszym; ale pomnij Panie, że być ojcem i opiekunem narodu przysiągłeś, biorąc to berło, i że każda krzywda jego na twojem sumieniu zacięży.

Król Jan. Tak, jam królem i opiekunem waszym; jam to berło, któreście mi powierzyli, przyozdobił blaskiem wiekowej sławy i nie splamię go nigdy małodusznym, nikczemnym czynem. Idźcie niechętni do pierzyn waszych. Idźcie tam, do téj falangi malkontentów i wraz z nimi oczerniajcie moje imię... ale kto kocha honor i sławę, pójdzie za mną. *(Milczenie).* Nikogo! Więc to są rycerze z pod Chocima, Lwowa i Wiednia... i ty starcze, ty, coś w trzydziestu bitwach okrył się sławą, ty, któryś całe życie był tak dumnym i czystym, żeś nie przyjął nigdy podzięk... tyś potrafił wlać zwątpienie w ich dusze. Dobrze... sam z mojem dzieckiem rzucę się w tłum pohańców, bo wolę zginąć zaszczytnie, niż półrycerzem wracać i patrzeć na triumf niewiernych.

Miecznik. Wstrzymaj się Panie, toć my nie podłe zwierzęta. Pójdziem choć w piekło z tobą.

Wszyscy. Niech żyje Król!

Miecznik. To, co w wyrokach Bożych zapisane, tego nie w ludzkiej mocy zmienić. Przebac mi Panie, słabe moje oczy nie zdołały dopatrzeć wielkich twoich zamiarów. Jam tylko umiał służyć Polsce i dla niej nieść ofiary. Jam rozumiał, że obowiązkiem szlachcica i rycerza polskiego było nieść dla téj ukochanej ojczyzny wszystką krew i życie całe, a przez to przyczyniać się do jój blasku i chwały. Ty, Panie, wzrokiem orła szersze obejmujesz obszary. Bóg błogosławił twój pracy. Umierając nawet, nie będziemy ci złorzeczyć, bośmy poszli za królem swoim. *(Wchodzi Schaffgotsch).*

SCENA 9.

Ciż i Schaffgotsch.

Schaffgotsch. Jego Cesarska Mość posyła w darze Najjaśniejszemu Królewiczowi Jmci tę szpadę kamieniami drogiemi wysadzoną i przeprasza WKMość, że jego powitanie z powodu etykiety dworskiej nie było tak serdeczne, jakby z duszy pragnął.

Sieniawski (n. s.). Nauczka w las nie poszła.

Król Jan. Podziękujcie, proszę, JCMości i zapewnijcie go o moich głębokich afektach. (*Do wojska*): Dalej, na pole sławy, ryce-rze, nie dla doczesnych dziękczynień, które jak wiatr marcowy, ale dla dziejowej karty, na której chlubne znajdziemy miejsce!

Wszyscy. W Imię Boże!

E P I L O G .

Dworek Miecznika.—Wielka komnata—w głębi dwa okna, przez które widać zimowy krajobraz, pokryty śniegiem.—Między oknami obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który oświeca lampka wisząca. Z lewej, w pierwszym planie duży komin, na którym ogień—przy kominie duże krzesło, stolik, stołki. Dwoje drzwi po bokach z lewej, do dalszych komnat, z prawej główne wej-ście.

SCENA 1.

Miecznikowa—Hanna siedzą przy kominie. Miecznikowa w dużym krzesle, Hanna przy krosnach.

Miecznikowa. Cóżś mi tak zwiesiła główkę i przestała szczebiotać?

Hanna. Smutno mi jakoś, matko; tam zawierucha szaleje, że i świata Bożego nie widać. Jakże to okropnie tym, co dachu nie mają nad głową.

Miecznikowa. Stokroć okropniej tym, co pod dachem robak smutku duszę im wierci, a najszcześliwsi ci, co w cichój śpią już mogile.

Hanna. Oh! nie mówcie tak, matko. Przebaczcie! winnam, że miasto wam trochę tego smutku umniejszyć, ja niebaczna powiększam go jeszcze.

Miecznikowa. Nic to, nic, moja dziewczeczko; trudnoż sercu rozkazać, aby się śmiało zawsze, kiedy niepokój je trapi. Ale się nie smuć, kochanie; wróć, wróć dla ciebie dni jasne i pogodne. Będziecie szczęśliwi. Na ruinach i zgliszczach młode pokolenie rozrośnie

bujnie. Ta ziemia, użyźniona krwią męczenników tyłu, będzie rodzić w spokoju i szczęśliwości dla was, dzieci. Turecka potęga złamana! Wiész ty, co to znaczy? To spokój, to szczęście dla naszych chat i dobytków, to melodia słodka dla serca przerażonego wieczną trwogą. To sen cichy u wezglowia matek i ojców. To radości hymn, który wszystko stworzenie śpiewać będzie. Oh! zapytaj tych ścian, ile one łez moich widziały. Zapytaj, ile tu bezsennych nocy strawiłam w niepokoju i czuwaniu!

Hanna. O! droga matko!

Miecznikowa. Tak, nowe już przyjdą czasy, gdzie wolno będzie sercu uderzyć do miłości, do radości i szczęścia. Myśmy takich nie znali; myśmy nieustannie czuwali na tych kresach w obronie życia i wolności. Jeżeliśmy do nieba wzniesli oczy, to po to tylko, żeby łunę pożaru zobaczyć. Wiatr stepowy przynosił nam tylko przerażone jęki nieszczęśliwych i wycia pogan dzikich. Prawie każdy rok kirem żałoby okrywał nasz dworek. Zaledwie piskłeci skrzydła odrosły, już odlatywał od matki bronić granic własną pierśią i nie powracał więcej. I tak ich czterech straciłam. Los nieubłagany okrutnie znęcał się nad domem naszym. Dwie moje ukochane gołąbki w jasyr poszły—i patrz dziecię: jedna przepadła bez wieści, druga w dniu wielkiego zwycięstwa znaleziono zamordowaną w namiocie wezyrskim. Za tyle ofiar, nawet rozkoszy zwycięstwa nie dano zakosztować starcowi. I czyż koniec tych cierpień? Nie, nie... ja czuję, że jeden jeszcze krzyż przyjąć trzeba.

Hanna. O! nie mówcie tak, matko.

Miecznikowa. Pod Parkanami była walka straszliwa. Tam, tam został z nich jeden, albo może obadwaj. Wrócił Starosta bezkki, wrócił pan Podkomorzy, pan Jasiński, pan Stolnik—czemuż ich nie ma jeszcze? Boże Narodzenie przejdzie, a my ich nie zobaczymy. W każdym domu radość gości i do biesiadnego zasiada stołu, u nas tylko żałoba, wieczna żałoba.

Hanna. Matko, serce mi rozrywacie.

Miecznikowa (*po chwili*). Masz słuszność, dziewczeczko. Zkąd mnie staréj, przywyktéj do smutku i żałoby, przedwczesném biadaniem ranić ci duszę. Przebacz, przebacz staréj, dla której tylko głogi i chwasty dawało życie; ty, różyczko moja, ty w blasku słońca życie wieść będziesz. No, no, popatrz na starą temi ślicznemi oczkami. I ja, i ja miałam takie, jakem szła z Miecznikiem na kobierzec. Płakałam bardzo, gdy mnie brał z pod skrzydeł matki; alem pokochała mego ryccerza, bo to wielkie jest serce. Srogi i okrutny dla wroga, jak tygrys, a miłujący i tkliwy dla mnie, jak gołąbek. Tak, takim był zawszc, a Stanisław do niego podobny: będziesz szczęśliwą. (*Wchodzi Wojski, staruszek o kuli*).

SCENA 2.

Miecznikowa.—Hanna.—Wojski.

Wojski. Aścki znowu w karesach.

Miecznikowa. Ano już to tak, panie Wojski; popłakałyśmy się przed chwilą, teraz się całujemy.

Wojski. A czegoż aścki płakały?

Miecznikowa. Czy już wszystko masz wiedzieć, panie Wojski.

Wojski. A od czegożem Wojskim? Jeżeli za głowy aśków odpowiadam, toć i za zdrowie na mnie odpowiedzialność ciąży. Przyrzekłem Miecznikowi, że was nietylko bronić, ale i weselić będę; a tu le-dwie nogę za drzwi, już płacz, już lamenty.

Miecznikowa. No, no, nie gniewaj się stary. Czasem sercu ulżyć potrzeba. Tém przyjemniej będzie nam teraz zabawić się z asin-dziejem.

Hanna. Cóż noga waszmości nie wróży nam odmiany?

Wojski. Asaunaby tylko ciągle odmiany chciała; przecież wczora-j wywróżyłem odmianę.

Hanna. Już mi się sprzykrzyła ta pogoda, chciałabym słońca troche.

Wojski. A co u asińdzki słońcem się nazywa?

Hanna. To, co u wszystkich ludzi.

Wojski. Otóż nieprawda. Asińdzki słońce ma ręce i nogi, a takiego słońca moja noga nie wywróży... prędzěj serduszko aspanny. A cóż serduszko mówi?

Hanna. Płacze.

Wojski. No, to ja je utulę.

Hanna. Czy wiesz co panie Wojski?

Miecznikowa. Tyś dziś nie przyszedł napróžno. Mów, stary przyjacielu.

Wojski. A no, jak tak będziecie nacierać na mnie, to i sam głowę stracę i nic się nie dowiecie. Nie dziwiłby się pannie Hannie, boć to w swoim afekcie cała, ale Jejmość, Jejmość!

Miecznikowa. To u mnie serce z kamienia? Mogło być obrócić się w kamień, aleć mu jeszcze iskra życia została. Nie droż się ze mną starcze; mów, co wiesz.

Wojski (*całując jej rękę*). No, no, no! nie gniewajże się jejmość na starego sługę. Toć wiecie, żem wam nieba przychylić gotów. Otóż wieści są takie: Król Jegomość, dziś będzie tydzień, jak stanął w Krakowie; z nim wszystko, co przedniejsze z rycerstwa, przyciągnęło. Radość i uciecha w mieście niezmierna. Istne to tam dziwy rozpowiadają ludzkie; choć i załoby dosyć. Pan hetman Sieniawski, pan kasztelan Denhoff, zostali pod Parkanami.

Miecznikowa. Pod Parkanami... straszliwe ten wyraz ma dla mnie brzmienie.

Wojski. Ot wyraz... nazwa jest nazwą. Któż widział jakiś zły omen jój przypisywać. Bóg nas doświadczył za grzechy... bo też po owem wiedeńskim zwycięstwie, bracia szlachta, słyszę wodze swywoli puszczają okrutnie... no i Bóg skarzał, ale za to na drugi dzień pod Strygonium, pobłogosławił, bo cała turecka załoga w pień wycięta.

Hanna. Lecz cóż o naszych, o naszych?

Wojski. A nasi są w Krakowie niechybnie, a najprędzej w drodze.

Miecznikowa. W drodze? A z kądże aś wie, że w drodze?

Wojski. Tak sobie tuszę. Z Królem Jegomością przybyli... rozejrzeli się po mieście i dalej do domu... Może jutro... może dziś...

Hanna. Toż i tyle wszystkiego miałeś nam jegomość na uciechę powiedzieć.

Wojski. Oh! asińdżkaby chciała, żebym jój tu zaraz z kieszeni pana Stanisława wytrząsnął; dla świętego spokoju zrobiłbym to, gdybym mógł... a kiedy powiadam, że przybędą dziś, jutro, to przybędą.

Miecznikowa. Wam jakieś straszne wyznanie z oczu patrzy, którego nie śmiecie powiedzieć. Czegóż się drożysz z nami, starcze.

Wojski. A Najświętsza Panno Częstochowska! cóż bo sobie jejmość do głowy przybiera? A to dalipan nie do wytrzymania z temi niewiastami. Drugi raz już nie zostanę Wojskim, aby tu aśki pilnować, ale tak, jakem kulawy i ślepy trochę, na tatarą pójść wolę. I cóż asińdżki chcecie, żebym mówił coby wam do serca przypadło? Milczę, źle; widać coś wić niedobrego, a powiedzieć nam nie chce. Zaczynam mówić, nie dobrze; w jego mowie czuć jakąś tajemnicę. A dajcież mi już święty pokój. Ot zabieram się i nie zajrzę aż powrócą.

Miecznikowa. Powrócą, powrócą. Czyż powrócą? Czyżby już Bóg ulitował się nad nami i przestał nas nękać tak okrutnie. Czyżby już wreszcie nad tym nieszczęsnym domem naszym spokój błogi i spoczynek zabłysnął?

Wojski. Ale niechybnie, niechybnie jejmość dobrodziejko... cierpliwości tylko. Ot na dobrą godzinę, aby się wróżby moje sprawdziły, do marysika siądziemy sobie z jejmością, a panna Hanna niech nam piwka ciepłego z grzaneczkami przyrządzi.

Miecznikowa. Najchętniej. (*Hanna wychodzi na lewo*). Będiesz mnie jegomość dziś ogrywał, bo takiego niepokoju nie doznawałam nigdy. Czy on mi radość, czy też rozpacz przyniesie, nie wiem. Ha! dzięć się wola Twoja święta! Siadajmy.

Wojski (*całując jój rękę*). Otóż tak, to lubię. (*Siadają—Wojski tasuje i rozdaje karty*).

Miecznikowa (*nastuchując*). Styszysz jegomość... burek zaszczeakał... a potem urwał nagle.

Wojski. Bierz jejmość. Chyba na kota, bo w taką niepogo-

dę nie wiem, czyby się jaka ludzka postać do nas zabłąkała. Śnieg za kolana *(grają)*.

Miecznikowa. Ja jednak słyszę wyraźnie jakieś głosy.

Wojski. To gumieny pewnie rozmawia z Walkiem. Mam czterdzieści...

Miecznikowa. Jak zwykle. *(Wchodzi Miecznik i Stanisław, w poszarpanej, nędznej odzieży, nogi w chodakach, przy szablach, stoją we drzwiach, patrząc na grających)*.

SCENA 3.

Wojski, Miecznikowa, Miecznik, Stanisław, później Hanna.

Wojski. A jejmość swoim zwyczajem przymawiać zawsze musi. Piszę. Szczęśliwym w grze, zato mnie już nikt nie kocha a za jejmością choć przegrywasz, tęsknią i płaczą.

Miecznik. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wojski. Na wieki.

Miecznik. Dobrześ powiedział panie Wojski—tęsknią i płaczą. Basiu!

Miecznikowa. Ha!... co to?... Adam! Staś!

Stanisław. Matko najdroższa! Patrz ojcze... ona się chwieje... droga matko...

Miecznik. Basiu! serce.

Miecznikowa *(napół nieprzytomna)*. To nic, nic... ale przed chwilą mówiliśmy... Czy to nie sen... Adamie, nie sen to... Wszak mówiliśmy przed chwilą *(wybuchą łkaniem wielkiem)*. Oh! wy moi najdrożsi! Adamie mój, czy to ty istotnie? Oh! Boże wielki i sprawiedliwy, a ja tu nieszczęsna przed chwilą bluźnięłam Imieniowi Twojemu.

Miecznik. No, no, nie alteruj się moja duszo, a błogosław Imieniowi Pańskiemu, boć cudem, cudem zachował mnie przy życiu. Witaj stary!

Wojski *(ocierając łzy)*. Niechże ci Bóg setnych lat udzieli, Mieczniku, kiedyś mnie zluzować przyszedł.

Miecznik. Tak ci dopiekły?

Wojski. Przed chwilą musiałem im opiekę moję wypowiedzieć.

Miecznikowa. Stasiu, mój drogi Stasiu! *(W tej chwili wchodzi Hanna z piwem na tacy: zobaczywszy przybyłych, rzuca wszystko na ziemię z hałasem)*.

Miecznik. Wszelki duch! Aha! to panna Hanna takim wiatem nas przywitała.

Hanna. Pan Miecznik!... Pan Stanisław!...

Miecznik. No, do mnie... do mnie najpierw dziewczeczko moja. Oczęta czerwone. Masz, przywożłem ci go zdrowym i całym.

Hanna *(przybliża się do Stanisława, podając mu rękę, którą on z uczuciem do ust przyciska)*. Cóż ta kresa?

Miecznik. To gościniec, jaki ci z pod Wiednia przynosi; prócz tego, nie znajdziesz u nas na owinięciu palca.

Stanisław. Mylisz się, ojczy dobrodzieju. Oto dla matki, a to dla chorążanki (*daje im kosztowności*).

Miecznik. Daj go katu, i nie zgubiłeś tego w Dunaju? Ja myślałem tylko, żeby duszę całą wam przywieźć, a ten o prezentach dla nich nie przypomniał.

Wojski. Od czegoż młody. (*Do Hanny*). No, już teraz asindzka o pogodę pytać mnie nie będziesz. (*Rozmawiają, Stanisław, Hanna, Wojski. Miecznikowie razem*).

Miecznik. No, jużes przyszła do siebie gołąbko moja? Cóż, płakałaś i modliłaś się za twym kochankiem? Bóg ci zapłać Basiu. Toć to i modły twoje towarzyszyły nam w bojach i od niechybnej strzegły śmierci. No, już też teraz nie odstąpi cię twój Celadon aż do grobu. Ot kord mój stary, wyszczerbiony na łbach bisurmańskich, zawieszam na kołku i tylko się na sejmik jaki w niego przystroję, bo rąbać już nie ma kogo a i fantazyja gdzieś została pod Kahlenbergiem u trumienki Saluni.

Miecznikowa. Oh! mój drogi Adamie.

Miecznik. Nie płacz, gołąbko. Nie zapominaj, że ofiarą tylko Polska stała i da Bóg stać będzie do końca świata... Cóż... nam już teraz sięść pod piecem obojgu i pleść stare gawędy dla wnuków. (*Pokazuje młodych, którzy zostali oboje; Wojski u okien w głębi*).

Stanisław. Jakżem też w serduszku u panny Hanny dobrodziejki zapisany?

Hanna. Nie ze wszystkiem dobrze, panie Miecznikowiczu... godziłoż to się panią matkę zostawiać tak długo bez wiadomości?

Stanisław. Nie było przez kogo polecić się sercom waszym.

Hanna. A my tu tyle trwogi, tyle łez gorzkich za panem Miecznikiem wypłakały.

Stanisław. Tak jak i my za wami, dodam tylko jeszcze, zem oddzielnie się modlił za panią matkę a oddzielnie za kogós jeszcze.

Hanna. I jam czasami, krom pana Miecznika, smutne westchnienia za kimś słała.

Stanisław. Droga Hanno! Patrz, twój talizman nieodstępował mnie nigdy. (*Pokazuje na piersi mały obrazek N. P. Częstochowskiej*).

Hanna. A ja, wielem razy oblała łzami twój pierścionek?

Stanisław. Kochasz mnie?

Hanna. Do zgonu!

Wojski. A toż tu bryka za bryką wali do jegomości; gości ci-żba, jak tatarów.

Miecznik. Mili sąsiedzi i przyjaciele! Niech Bóg będzie pochwalony. Otwórzcie na oścież wrota. Czém chata bogata... Rad-bym, żeby ich tu tyle zeszło, co do kołodzieja Piasta, a jeszczeby ja-dła i napitku stało, Bogu dzięki. (*Wchodzi, szlachta sąsiedzi, starzy i młodzi*).

SCENA 4.

Ciz. Sąsiedzi, Szlachta.

Szlachta. Mieczniku dobrodzieju!

Miecznik. Witajcie mili sąsiedzi i przyjaciele. Jakżem wdzięczny waszemu pocziwemu sercu. Ledwie próg domu mego przestąpił, już mnie witacie. Błogosławieństwo to najwyższe z darów Bożych; czyj dom sąsiad a przyjaciel nawiedzić raczy. Siadajcież. Choćby mi ściany rozwalić przyszło, kąta dla was nie zbraknie. Hej! miły Boże, nie ma to jak nasza strzecha a pod nią przyjaciel serdeczny, ciepły komin i kielich dobrego wina. Basiu! patrzaj, i pan Chorąży do nas zawitał. (*Wita się ze wszystkimi*). Stolniku kochany, niechże ci Bóg da niebo, na taki czas, pomimo pedogry. Pan Podstoli kochany. (*Muzyka za oknem gra poloneza „Witaj królu“*). A tam co? Podkomorzy zjechał z całą swoją kapelą. (*Wchodzi Podkomorzy*).

Podkomorzy. Witamy bohatera z pod Wiednia! Imieniem całego powiatu, hołd ci składam Mieczniku.

Miecznik. Bóg zapłać, Bóg zapłać za pocziwe serca wasze, aleć godniejszym hołdy należą. (*Wchodzi stary sługa, szepcząc do ucha Miecznikowi*). Co? wieś cała z wójtem? Wprowadź go, wprowadź! Nie urażajcie się panowie bracia, że z dziatwą moją się przywitam. (*Wchodzi wójt, stary chłop rusin*).

Wójt. Bat'ku nasz, wy zdrów i cały, a my płakali bardzo; a to skazali szczo pomerli.

Miecznik. Zdrów i cały.

Wójt. Tam hromada za oknem; pokażcie im hołowu, bat'ku!

Miecznik (*otwiera okno*). Witajcie dzieci. (*Okrzyk za oknem*). Żyw! panoczku kochany!

Wojski. Mieczniku dobrodzieju, darujcie, my tu patrzymy na was, niby na raroga i różnie kiwamy głowami. (*Pokazując na strój jego*). Czy to wszystko, coście przywieźli z wiedeńskiej okazji?

Miecznik. Wszystko! (*Obstępują go dokoła*).

Wojski. Daj go katu! z kordem prawda, ale boso do dyaska.

Miecznik. Tak, z kordem a boso, wróciliśmy z wyprawy, ale żebyście dwieście lat żyli, to już tego nie zobaczycie, na co myśmy patrzyli. O tém zwycięztwie będą mówić ludzie lat tysiące, dopóki ziemi stanie, dopóki ten Dunaj modry swoją wspaniałą wstęgę toczyć będzie. Dopóki księżyc, godło Koranu smętném światłem darzyć nas będzie. Wieki przeminą a sława dnia tego nie przeminie, bo ona zapisana tam na tych wspaniałych tablicach, gdzie ludzkość najświetniejsza swoje zdobycze kładzie: poświęcenia dla sprawy Chrystusa. (*Głos Diakowskiego za sceną*).

Puszczajcie mnie ludzie. Cóż tu się dzieje? Zajazd, czy napad jaki?

Miecznik. Kogóż Pan Bóg prowadzi? (*Wchodzi Diakowski z podwiązaném okiem*).

SCENA 5.

Ciz. D i a k o w s k i.

Diakowski. Czołem przeznacznej kompanii. Czy zastałem pana Miecznika?

Miecznik. A prawda, że to waści tylko jedno oko zostało. Przecie mnie masz przed sobą.

Diakowski. Ściskam wasze nogi. A toż ja trzech koni zamęczyłem, pędząc za wami z Krakowa; ale gdzie tam dopędzić tego koźmi, co na skrzydłach do domu leci. Od Króla Jegomości do was przybywam.

Miecznik. Słucham rozkazów pańskich.

Diakowski. Pan Miłościwy szle pozdrowienie całemu domowi waszmości, a oddzielne komplementa jejmości Miecznikowej Dobrodziejce oddaje, i każe oświadczyć, że trzeciego dnia po świętach, zjeżdża z Królewiczem do Połonnego na dziki.

Miecznik (*uradowany*). Słyszysz Basiu! Słyszycie bracia! No i jak nie kochać tego naszego Jasia... a toć dla niego w kawałkiby się człowiek dał porąbać. (*Muzyka wchodzi na scenę; jednocześnie służba wnosi kielichy z winem*). Dawajcie kielichy! W ręce, panowie bracia i sąsiedzi. Niech żyje krew z krwi! kość z kości naszych! bohater, jakiego równego Europa nie miała; najukochańszy nasz, najmiłościwszy Król Jan Sobieski! (*Muzyka gra pobudkę; Vivat! — zasłona spada*).

K O N I E C.

O B R A Z
EKONOMICZNO-STATYSTYCZNY

ARCHIDYECEZYI GNIEŹNIENSKIEJ W XVI w. *).

NAPISAŁ

Stanisław Maroński.

Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego: „*Liber Beneficiorum*“
archidyecezyi gnieźnieńskiej etc. Gniezno, 1880 i 1881.

Czytelnikom „Biblioteki” wiadomo z tego, cośmy już dawniej o osnowie dzieła „*Liber Beneficiorum*” powiedzieli, że tekst jego z bogacił ks. Korytkowski mnóstwem dopisków historycznych, biograficznych, genealogicznych i t. p., do czego czerpał materiały po największej części z bogatego archiwum kapituły gnieźnieńskiej. Cenne te notatki, w których dużo jest mozołu i pracy, wlewają więcej życia i ruchu w suche a monotonne, wedle przepisanych szematów redagowane opisy i nietylko wypełniają dosyć często niedostatki tekstu; ale objaśniają wiele rzeczy niezrozumiałych i niejasnych, dostarczają ciekawych szczegółów co do czasu fundacyi i restauracyi kościołów, co do dalszych ich kolei, co do ich wzrostu lub upadku, dochodów i t. p. Objasnienia, o których mówimy, zastępują często brak nazwiska dziedziców wsi kościelnych, kolatorów, podając zarazem i herby, i rozmaite rodowody historyczne, wiadomości o odnośnych familiach, snujące się nieraz przez kilka pokoleń. Niemniej znakomite naukowe mają te uwagi znaczenie, gdy dostarczają ważnych szczegółów do wyświeatlenia stosunków dziesięciny.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za m. sierpień r. b.

Książdz Polkowski w referacie swoim o „Liber Beneficiorum,” w „Dzienniku Poznańskim” umieszczonym, podał dobitny tego przykład. „Do kościoła parafialnego w Słupach, należała dziesięcina z Ciężkowa, która w „Liber Beneficiorum” Łaskiego tak jest zapisana: „Chyeschkowycze villa sub eadem ecclesia parochiali, in qua non sunt agri praediales, tantum emethonales, de quibus omnibus agris decima manipularis provenit eidem ecclesiae in Słupy ejusque plebano“ (135). Z tego opisu, który brzmi poprostu: „z Ciężkowa dziesięcina snopowa z ról kmiecych” nie się nie dowiemy, nie wiedząc, jaki był obszar tój wsi, ilu było na nięj kmieci, po ile każdy posiadał gruntu, nawet przybliżonego nie mamy rachunku, ile dziesięcina ta przynosiła plebanowi dochodu. Owóż rzechodzi tu w pomoc notatka ks. kan. Korytkowskiego z roku 1453 (fol. 369) gdzie zanotowano, że w roku pomienionym Mikołaj, pleban ze Słupów, sprzedał dziesięcinę kmieciom z Ciężkowa za 13 grzywien, czyli w miejsce dziesięciny snopowęj za r. 1453 odebrał od nich w gotowiznie 13 grzywien. A że grzywna z r. 1453 warta na dzisiejszą monetę 40 złotych, więc dziesięcina z Ciężkowa, przynosiła plebanowi w Słupach 520 złotych.”

Pożądane są także uwagi czcigodnego wydawcy, gdy miejscowe notuje tradycye, z któremi wiążą się wiadomości historyczne jak np.: że w Męce, wsi sieradzkiej ś. Wojciech miał przebywać, co pobudza do śledzenia, czy ta legenda ma jakiegokolwiek znaczenie historyczne; że w tójże samęj wsi Jagiełło, z wdzięczności ku Bogu za zwycięztwo pod Dąbrowną nad Krzyżakami odniesione, piękny kościół z drzewa modrzewiowego wybudował, i że dla wykonania pobożnego swego zamiaru, sieradzką sobie wieś dla tego wybrał, iż szlachta sieradzka pod wodzą Zaręby w bitwie świetną odznaczyła się walecznością ¹⁾. Na stan zaś oświaty niepomierne rzucają światło wiadomości takie, jak np. ta, że zabobonny pleban w Rychłocicach, nie pozwolił ludowi ratować palącego się kościoła, wołając, że nie trzeba czynić tego, gdyż patronka kościoła, Najświętsza Panna, sama kościół ocali; przestroga ta nie ochroniła jednak kościółka przed pastwą płomieni ²⁾.

Sumienna krytyka odkryje w tych uwagach niektóre słabe strony. Zauważyliśmy niedokładną czasem znajomość odnośnej najnowszęj literatury historycznej, przez co i obraz faktu niedokładny — i zaniedbaną niekiedy ścisłość metodologiczną w badaniu szczegółów. Oto dowody:

O mieście Kazimierzu zapisuje ³⁾ szanowny autor, że już na początku XI wieku z łaski królewskiej miejskiem prawem było obdarzone. Tymczasem wiemy, że prawo miejskie ⁴⁾ w Polsce dopiero

1) Lib. Benef. Ł., I, 390.

2) Tamże, I, 471.

3) Tamże, I, 233.

4) Przez prawo miejskie rozumieć się tylko prawo niemieckie. Pol-

na początku XIII wieku poczęto miastom nadawać. W Małopolsce najprzód je dostały Kraków i Sandomierz (r. 1230—1240); w Wielkopolsce Poznań (r. 1253), na Mazowszu Płock (1237). Najwcześniej wprowadzono je do Szlązka, gdzie Środa (Neumarkt) i Goldberg jeszcze przed r. 1214 je miały; a prawu magdeburskiemu, które się stało pierwowzorem wszystkich praw miejskich w Polsce z wyjątkiem Pomorza, gdzie też i lubuskie się zagnieździło prawo, dał początek dopiero arcybiskup magdeburski Wichman, przywilejem z r. 1188.

Błogosławiony Bogumił, arcybiskup gnieźnieński, pisze ks. Korytkowski ¹⁾, podarowawszy Cystersom wieś Dobrów z znacznymi przyległościami, miał pozwolić Krystynowi (ma być: Krystyanowi), biskupowi chełmińskiemu, używać z nich dochodów aż do śmierci. Tymczasem Bogumił umarł już roku 1182 ²⁾, a Krystyan, który umarł roku 1245, poraz pierwszy występuje roku 1211 na widownią historyi, i to jako apostoł Prusaków ³⁾. Nie był on też biskupem chełmińskim, ale pruskim. Chełmińskie bowiem biskupstwo dopiero r. 1243, jako częśćka pruskiego, erygowane zostało ⁴⁾, którego Krystyan nie przyjął ⁵⁾. Ks. Korytkowski powołuje się, co do twierdzenia swego na dokument księcia Władysława Odonicza z r. 1232 ⁶⁾. Tymczasem dokument tylko powiada, że wieś Dobrowo darował ś. p. Bogumił, niegdyś arcybiskup gnieźnieński Cystersom, którzy ją później (a nie Bogufał) Krystyanowi w dożywocie oddali. O Leszku Białym nie ściśle się wyraża, gdy pisze ⁷⁾, że go w Gąsawie zamordowano, podczas gdy Bogufał, źródło co do tego faktu najkompetentniejsze, Marcinkowo, jako miejsce zabójstwa wymienia ⁸⁾. Chętniebyśmy się też chcieli dowiedzieć, z kąd szan. autor wie, iż Warta już w XIII w. była miastem „ludnym i znacznym” ⁹⁾. Powołując się na Długosza, powtarza za nim błę-

skiego prawa, jako podstawy niezależnie rządzącej się korporacyi, nie było ani miejskiego, ani wiejskiego. Było tylko ogólne prawo polskie, jus polonicum, obowiązujące tak mieszczan jak wieśniaków, którego źródłem była władza książęca.

¹⁾ Lib. Benef. Ł., I, 251.

²⁾ Korytkowski, Katalog arcybiskupów gnieźnieńskich, str. 18.

³⁾ Woelky: Der Katalog der Bischöfe von Culm, pag. 31. Por. bulę Innocentego III, z r. 1211. Cod. Dipl. Maj. Pol. I, 66.

⁴⁾ Dokument Wilhelma, legata papieżkiego z r. 1243, druk. u Watericha: Die Gründung des deutschen Ordenstaates in Preussen.

⁵⁾ Woelky, str. 33.

⁶⁾ Cod. Dipl. Maj. Pol. I, 120.

⁷⁾ Lib. Benef. Łaskiego, I, 175.

⁸⁾ Sommersberg: Script. Rer. Siles., II, 57.

⁹⁾ Lib. Benef. Łaskiego, I, 409.

dną wiadomość, jakoby Bolesław, książę mazowiecki, w r. 1237 pojął był w małżeństwo Gertrudę, córkę Henryka Brodatego, księcia szląskiego. Owszem, była ona córką Henryka II ¹⁾. Z powodu dość niefortunnych „odgadywań” wydawcy Kodeksu Wielkopolskiego ²⁾, który

¹⁾ Chron. Polon. ap. Stenzel, *Scriptores Rer. Siles.*, I, 28. Chron. Princ. Polon. tamże, 106. Index s. v. Gertrud. tamże. *Sommersberg, Script. Rer. Sil. tab. geneal.*, I, 299.

²⁾ Nazwawszy objaśnienia nazwisk miejscowych w kodeksie wielkopolskim „dość niefortunnymi odgadywaniami,” winienem się z tege wytłomaczyć. Odgadywaniami bardzo wątpliwej wartości są one dla tego, że nie są żadnymi uzasadnione argumentami i dowodami. Że Bolechow, Bechow, Opol, znaczy: Bolechowo, Biechowo, Opole, jak to Kodeks objaśnia, toć to rzecz jasna; ale gdy się pytamy, dlaczego Zpirzi ma znaczyć Świdnicę (I, 547), Zentichow, z niemiecka Stenzlau (II, 486), Rugno (II, 39), Rajkczy, a nie $\frac{3}{4}$ mili od tegoż odległe Rudno: na to nie znajdujemy odpowiedzi. Odgadywania wszystkie Kodeksu, miarkują się po największej części tylko prostym podobieństwem brzmienia, przychem faktyczne sprzeczności nie wchodzą w rachubę. Książę pomorski, Świętopęk II, daje w r. 1237 arcybiskupom gnieźnieńskim trzy wsie, na północ Kamienia pomorskiego położone, które graniczą, jak dokument opiewa (*Cod. Dipl. Maj. Pol.*, I, 175) między innymi i z wsią „Cololens.” Wydawca niebawem objaśnia to przez Samokłęski, nie pomnąc, że wieś ta około ośm mil na południe Kamienia leży. W *Brewie apostoelskiem*, z końca X w. podana jest o pierwszym arcybiskupie magdeburgskim, Adalbercie, wiadomość (*Cod. Dipl. Maj. Pol.* I, 2), że on był poprzednio: *episcopus Rugorum provinciae destinatus*. Coby to była za „Rugorum provincia,” czy wyspa Rugia, czy też Ruś, jest dotąd kwestyą sporną. Większość historyków zgadza się na to, iż mowa tu jest o Rusi: (*Giësebrecht, Geschichte der deutschen Kaiserzeit*, I, 562). Wszakże i wiarogodne źródła, kładące często Rugi za Russi (por. rozprawę moję: *Die stammverwandschaftlichen etc.* str. 36), dobitnie za tém przemawiają. *Continuator Reginonis* a. a. 959 powiada, że Helena, księżniczka ruska, którą on „*Regina Rugorum*” zwic, wysłała do Rzymu posłów z prośbą o nadesłanie biskupa, *Annales Quedlinburg*, (*Pertz, Monum. Hist. Germ.*, V, 60), zwią naród, do którego Adalbert wysłanym został. *Ruscia gens*, tak samo *Annal. Lamb.* (tamże, V, 61), *Dytmar merseburgski*, (*Chronicon*, II, 14), i *Annal. Saxo* (*Pertz VI, I, 615.*) Tymczasem wydawca Kodeksu, nie znający odnośnej literatury historycznej, kategorycznie zapisuje, że *Rugorum provincia* to wyspa Rugia, przez co naturalnie mniej świadomego w błąd wprowadza. Dokument Jana króla czeskiego, z roku 1332, (*Cod. Dipl. Maj. Pol.*, II, 449) opiewa, że król przyrzeka w razie, gdyby między Krzyżakiem a Polską miało przyjść do zgody, że zakon pozostanie w posiadaniu wszystkich ziem, „*que inter aquam Wyzla usque ad aquam Necz in Cuyavia sunt sita et in Praburch.*” Wydawca, nie troszcząc się o treść dokumentu, skwapliwie decyduje, że owe Praburch to Prabuty, z niemiecka *Riesenburg*, miasteczko, leżące nie pomiędzy Wisłą

„Cebur,” miejscowość znajdującą się w dokumencie Mieczysława Starogo, z r. 1145 ¹⁾, i w bulli papieża Eugeniusza III z r. 1147 (Zbar, tutaj zwane) ²⁾, przez Barów, rzekomo zamek i osadę znikłą w okolicy Trzemeszna objaśnia ³⁾, zarazem jedno i drugie z ziemią Zaborską, wymienioną w dokumencie Władysława Łokietka z r. 1299 ⁴⁾ wiąże ⁵⁾. Ks. Korytkowski uważa za rzecz prawdopodobną, że dekanat ś.-michalski w Gnieźnie, noszący przydomek „zbaraski,” pochodzi od owiej osady Zbar = Barów, i od owiej ziemi zaborskiej ⁶⁾. Jednakowoż ów Barów oznacza Bobrowniki, zamek i ogród po prawej stronie Wisły, w ziemi Dobrzyńskiej, a więc bardzo daleko od Trzemeszna, i nie w dyecezyi gnieźnieńskiej, ale płockiej położony ⁷⁾. Co do ziemi Za-

a Notecią, ale raczej po prawej stronie Wisły, na północ rzeki Osy, w powiecie suskim, w pobliżu granicy dzisiejszych Prus Wschodnich, a zatem w okolicy, będącej w sprzeczności z opisem dokumentu, i 18 przeszło mil oddalonej od opisanego terytorium. Nadto miasto Prabuty (Riesenburg) do Polski nigdy nie należało, ani przed przybyciem krzyżaków, ani też po zniszczeniu ich zakonu; nigdy też książęta polscy z krzyżakami o nie się nie wadzili. Owe zaś Praburch, nic innego nie znaczy, jak Braheburg, gród nad Brąhą, t. j. Brdą, w dzisiejszej niemieczyźnie, na Bromberg przekręcone, a z polską Bydgoszczą zwane. W dokumencie z r. 1382 (Rzyszczewski, Cod. Dipl. Pol., II, 768), nazwa brzmi: Broberg i Broburg. Z historii zaś wiemy, że Krzyżacy za Władysława Łokietka, przemocą ziemię kujawską i bydgoską zagarnęli. Prawda, że w indeksie, mieszczącym się w czwartym tomie Kodeksu, niektóre błędne wykłady sprostowane zostały, między innymi i powyższe: „Cololens;” ale jakąż to niedogodność, jakąż to strata czasu dla badacza.

1) Cod. Dipl. Maj. Pol., I, 17.

2) Tamże, I, 21.

3) Tamże, 18, 21.

4) Tamże, II, 174.

5) Tamże.

6) Lib. Benef. Łaskiego, I, 13.

7) Ów „Barow, castrum et civitas,” znajdziemy w ugodzie pomiędzy Pawłem de Paulstein, z ramienia Wacława II, starostą królestwa polskiego ustanowionym, a rajcami miasta Włocławka w Toruniu w r. 1306 uczynionej. (Cod. Dipl. Pol. II, 247, 248). Mocą tejże poręczają przereczeni rajcy Pawłowi z Pawelstein, że tak oni, jak ich pan, Przemysław kujawski, dochowają rozejmu, zawartego pomiędzy nimi, a tymże Pawłem, aż do św. Michała; że gród, zamek i miasto (castrum et civitas Barow) tenże starosta może zajmować, aż do owego terminu, poczem go zwróci Przemysławowi, a gdyby w tym czasie zamek przez nieprzyjaciół króla czeskiego (to jest przez Władysława Łokietka) miał być opanywanym, to pozwolą mu wniknąć do Włocławka, by ztamąd ów zamek i gród Barów nazad zdobywać. Jakież daleką i obcą okolicę trzemeszeńską scena, na której się sprawa ta

borskiej, to zastanowienie się nad treścią odnośnego dokumentu, musiałoby być powstrzymać szanownego autora od pójścia za mylnym przewodnikiem. Wszakże ziemia ta figuruje tam w połączeniu z kasztelanią raciążką (de Racenze), i szczycieńską (in Scicen) położonemi między Głdą a Brdą, w powiatach człuchowskim i chojnickim. To zaś wskazuje nam ziemię zaborską, Brdą od kasztelanii raciążkiej oddzieloną, a jakieśmy już powyżej zaznaczyli, pomiędzy tą rzeką a Czarną Wodą, w okolicy Czerska pomorskiego się mieszczącą ¹⁾. Nazwa zaś dekanatu zbarazkiego, pochodzi od upadłej kasztelanii zbarskiej, która od Trzemeszna aż do granicy łęczyckiej się rozciągając, pomiędzy południową granicą Kujaw a Wartą leżała. Dowodów istnienia tej kasztelanii, dostarcza Kodeks Wielkopolski ²⁾.

Ks. Korytkowski zapisuje dalej ³⁾, że jakiś Przemysław miał być w r. 1380 księciem wrocławskim i kaliskim. Wielki to błąd historyczny. Dawniejsze księstwo kaliskie integralną było częścią Królestwa Polskiego, w imieniu króla Ludwika przez Władysława, księcia opolskiego, rządzonego. Książęta zaś wrocławscy po owe czasy już nie egzystowali. W roku 1337 zmarły ostatni książę wrocławski, Henryk VI, darował był księstwo swoje Janowi, królowi czeskiemu, po czém ono już tylko przez czeskich starostów rządzone było. Ścisłe-

odgrywa. Przemysław, książę kujawski, jest panem „Barowa” i Włocławka; Trzemeszno zaś do Wielkopolski należące, stoi pod rządem czeskiego starosty. Starosta zaś, w obawie, by Przemysław w walce z Łokietkiem nie stanął po jego stronie, opanował zamek „Barow.” Do najważniejszych zaś i najsilniejszych zamków księcia, właśnie Bobrowniki się liczyły, które od dawna w walkach pomiędzy książętami kujawskimi a Krzyżakami, ważną odgrywały rolę. Że owa forma „Barow,” nie była rzeczywistą nazwą, ale korpulentą, już się Muczkowski domyślał, tylko, że nie wiedział sobie rady. Mówi on: „facile hoc nomen (Barow) perperam ex autographo descriptum esse puto.” (Cod. Dipl. Pol. Rzyszczewski, I, 176). Nazwa Bobrowniki, w średnich wiekach właśnie u Niemców Krzyżaków najpotworniejsze przybierała formy: Beberaren (Scriptor. Rer. Prus., III, 175), Beberen (tamże, IV, 186, III, 301). Biberen, (tamże, III, 621), Bebirem, (tamże, IV, 57), Beberern, (tamże, IV, 373), Beveren, (tamże, V, 125), Bewerern, (tamże, III, 621). Dokument zaś wystawiony był w Toruniu, w przytomności laudmistrza i komturów Zakonu; spisał go zapewne notaryusz krzyżacki Niemiec, który użył nie polskiego wyrazu, ale zgermanizowanej nazwy: może Bevern, a gdy nie dość wyraźnie napisał, wkraść się do kopii dokumentu ów niezrozumiały Barow, z kąd się dostał do kodeksu Polskiego Rzyszczewskiego i Muczkowskiego, a ztąd znów do Kodeksu wielkopolskiego.

¹⁾ Por. wyżej i Kujot, Kasztelanii Raciążka i ziemia Zaborska, w Roczniku Tow. Nauk. w Toruniu, II, 127 sq.

²⁾ Indeks, s. v. Zbar, i IV, 378, 379.

³⁾ Lib. Benef. Łaskiego, II, 76.

mu krytykowi nie wolno téż dla tak dawnych czasów, jak wiek XI, na świadectwa takie się powoływać, jak, że w kościele korczewskim jest ołtarzyk, który przy procesjach obnoszą, z wrytym u dołu rokiem 1076, i na podstawie onego się domyślać, że „to będzie zapewne ołtarz polowy którego z książąt lub wodzów polskich z tego czasu” ¹⁾. Prawda, że temu świadectwu autor nie całkiem dowierza, bo się zastrzega warunkiem: „jeżeli data owa jest autentyczna;” ale względy ścisłej krytyki powinny go być ostrzedz o słabiej wiarogodności świadectw. Więcej jednakowoż cechuje jego niekrytyczność, gdy co do faktów z roku 1059 się powołuje na napisy na belkach w kościele gidleńskim i przy nich ob staje ²⁾, świadcząc się prócz tego Tygodnikiem Ilustrowanym warszawskim, Kłosami i rubrycelą dyecezyi kujawsko-kaliskiej z r. 1878. Zajrzeliśmy do ostatniej, aleśmy tam w miejscu cytowaném nic innego nie znaleźli, jak tylko: „erecta an. 1059 ³⁾.” Szan. autor również na serjo zapisuje ⁴⁾, że jakiś Piotr z Kutna, przybywszy do Polski roku 997, założył Kutno na pamiątkę swojej majątności w Czechach. Jest to bajka, zmyślona przez niezgrabnego jakiego bazarza, któremu i miasto czeskie Kutna-Hora, i pobyt św. Wojciecha w r. 997 w Polsce, jako téż i czeskich panów na dworze Bolesława W., dały pohop do wymarzenia bajecznego założenia polskiego Kutna.

Drugą część swoich uwag poświęca ks. Łukowski badaniom rzeczy numizmatycznych. Wiadomo, jak niesłychane zamieszanie panowało dawniejszymi czasy w dziedzinie monetarnej, gdzie o biciu monet na podstawie finansowo-racjonalnej mowy jeszcze nie było. Szczególnie w Niemczech jaknajzawilszy w tym względzie panował chaos. Tu bowiem każdemu księżęciu, hrabiemu, udzielnym biskupom i opatom, każdemu niemal znaczniejszemu miastu, a nawet i niejednej prywatnej osobie przysługiwało prawo bicia monety, które początkowo samym tylko cesarzom właściwe, ich hojnością się tak rozpanoszyło. Ale i w Polsce zamieszanie mennicze dość uciążliwie dawało się we znaki. I tutaj także nietylko z pod samego stempla pana zwierzchniego wychodziła w obieg moneta krajowa. W epoce Piastowskiej mieli arcybiskupi gnieźnieńscy, biskupi poznańscy, Kraków, Sandomierz, Poznań i t. d., swoje mennice. Zresztą nie sama ich mnogość chaosu tego była przyczyną. Pomnażał go niepomiernie zwyczaj wywoływania pieniędzy w tym celu, by przetapiając i przerabiając monetę, z jej spoldlenia i pogorszenia ciągnąć zyski. Ale i napływ monety zagranicznej, bardzo podejrzanej wartości, mocno do zamieszania onego się przyczyniał. Za czasów Łaskiego, szczególnie z Prus Książęcych,

¹⁾ Lib. Benef. Ł., I, 479.

²⁾ Tamże, I, 516.

³⁾ Tamże, II, 236.

⁴⁾ Tamże, II, 478.

gdzie wówczas nie mniej, jak 181 gatunków monet było w obiegu ¹⁾, wciskał się zalew podłej monety.

Z owych tedy przyczyn zorientowanie się w rachunkowości i monetarstwie (!) średniowiecznym wcale rzecz nie łatwa. Pożądanym jest zatem każdy przyczynek, rzucający światło na zawile, zagmatwane, a nie dosyć wyjaśnione stosunki mennicze, a tém pożądanyszy, iż dotychczasowe prace i badania na polu numizmatyki, aczkolwiek znaczne i obszernie, a w wielkiej części równie bystre, jak gruntowne, jeszcze nie zadawalniają, i że dużo jeszcze potrzeba pracy i zachodów, by rozpedzić mgłę, która je dość znacznie pokrywa.

Do takich poświadczonych przyczynków zaliczamy ks. Łukowskiego „Uwagi o monetach,” których roztrząsaniem i uzupełnieniem zajmujemy się. Materiału dostarczyła ²⁾ mu Księga Łaskiego, objaśniona wiadomościami, czerpanymi z źródeł Łaskiemu współczesnych, jakoteż z autorów o monecie piszących.

Podstawę rachuby pieniężnej tworzył w Polsce w czasie spisania Libri Beneficiorum grosz. 60 groszy szło na kopę polską, 48 na grzywnę. Czwartą część téjże, zbiór 12 groszy, zwano fertonem, wiardunkiem; 2 grosze liczono na skot, skojec; połową grosza był półgrosz, a ośmnastą częścią grosza był denar, obolem także zwany; sześć obolow równało się szelagowi (solidus), a trzy jednemu ternarowi, któremu od r. 1396 odpowiadał kwartnik, będący dawniej czwartą częścią grosza. Ks. Łukowski trzy rodzaje grzywny zapisuje: 1) grzywna szczerzego kruszcu, marca auri, marca boni et puri argenti, wążąca 8 uncyi=16 łutów= $\frac{1}{2}$ funta; 2) grzywna myncerska, w której kruszec z pewną przymieszką miedzi się mieścił, a z której monetę bito; 3) grzywna pieniędzy, jako zbiór monety wybitéj z myncerskiej grzywny, była monetą idealną, liczalną, marca numeralis. Taką téż był wiardunek i skojec. W Czechach nie jak w Polsce 48, ale 60 groszy liczono na grzywnę; tak samo i Krzyżacy ustawą swoją chełmińską z roku 1232 ³⁾ bili z grzywny kolońskiej czystego srebra po 60 sztuk, które solidami, szelagami zwali, na które najprzód po 3, później po 12 denarów szło. Tak Zakon, jak i czesi, szli za wzorem mennicy około roku 1230 w mieście Tours przez św. Ludwika, króla francuzkiego, założonej, w której z grzywny czystego srebra po 60 wyrabiano sztuk. Szan. autor zaznacza ⁴⁾, iż w Księdze Łaskiego wspomniano w dokumencie z XV wieku grzywny toruńskie, w które tylko po 20 groszy liczono, i że przez to się stwierdza domysł Czackiego, o stopie grzywny toruńskiej uczyniony. Na to przecież godzić się nie możemy. Miejsce od-

¹⁾ Horn: Vom preussischen Gelde, in Altpr. Monatsschrift, V, 53.

²⁾ Lib. Benef. Łaskiego, str. XXXVII.

³⁾ Privilegium Culmense, ap. Hartknoch: Dissburgi Chron. Pruss., pag. 460.

⁴⁾ Lib. Benef. Łaskiego, II, str. XXXVIII.

nośne dokumentu z r. 1446 brzmi ¹⁾: duas marcas Thorunensis monetae valentes similiter 40 grossos monetae Polonicae. Według naszego rozumienia, owe „valentes” nie odnosi się do całej sumy, ale zaznacza tylko, po ile groszy na każdą z owych grzywien liczyć wypada. Nie ma bowiem nigdzie śladu, że w owym czasie liczba i waga toruńskiej grzywny 20 groszom równać się miała. Natomiast dowiedziona jest rzeczą, że w państwie Zakonu podówczas 40 groszy na grzywnę liczone ²⁾. Krom tego szło w wieku XIV w takową grzywnę liczby i monety toruńskiej to 30 groszy po 24 denarów, to 36 groszy po 20 denarów ³⁾. Jedno i drugie wynosiło 720 denarów, na które pruska wówczas grzywna się dzieliła. Zwyczaj liczenia ostatniego przeszedł też z Prus do Kujaw ⁴⁾ i Mazowsza, gdzie choć rzecz ta sama była, zamiast o toruńskiej, o płockiej mówiono wadze ⁵⁾. Grzywny takowe liczone były mniejszej wartości, niż grzywny liczby krakowskiej, t. j. polskie o 48 groszach. Zaznacza to skrupulatnie kolektor papieżki, bawiący w r. 1346 w Polsce, celem zbierania świętopietrza ⁶⁾. Dopiero gdy w r. 1490 wielki mistrz krzyżacki, Jan Tieffen, pruskie grosze bić począł, mieściło się 20 w jednej grzywnie ⁷⁾. Zastosowano zaś liczbę 20 dlatego, iż w Polsce 1 grosz równał się trzem solidom (szelągom), a według pierwotnych zasad obrachunkowych liczone w państwie Krzyżackim 60 solidów na grzywnę. Grzywny te nie tylko co do liczby, ale i co do ziarna i kruszcu stały daleko niżej od polskich grzywien. Bo gdy około r. 1500 polskiej grzywny o 48-u groszach absolutna wartość była 4 talary, pruska o 20 groszach równała się tylko 1 talarowi i 3 srebrnikom ⁸⁾. Grosze te pruskie były

¹⁾ Tamże, II, 537.

²⁾ Vossberg: Geschichte der preussischen Münzen und Siegel, str. 1, 2, 74, 81.

³⁾ „in monetha Thorunensi... 24 denarios pro grosso et 30 grossos latos pro marca computando. Summarium ex registro denarii B. Petri collecti per Galhardum de Carceribus in regno Poloniae; ap. Theiner, Mon. Hist. Polon., I, 444. Denarios monethae Thorunensis, 20 denarios pro grosso et 36 pro marca computando. Tamże, I, 443.

⁴⁾ „marca grossorum 36 grossos pro marca quolibet computando (w Kujawach.) Rzyszcz. Cod. Dipl. Pol. II, 190. Dokum. z r. 1312. Por. Thein. Mon. Hist. Pol. I, 444.

⁵⁾ „ad pondus Ploccense computatis 36 grossis pro quolibet marca.” Epochae de soluto denario B. Petri, d. a. 1326, ap. Thiener, Mon. Hist. Pol., I, 284.

⁶⁾ „in monetha Thorun... 62 marcae, que summa 28 marcas et tres fertones ad num. Cracov. Summarium ap. Theiner, Mon. Hist. Pol., I, 445. Próba: 30 gr. \times 62 = 1860; 48 gr. \times 38 $\frac{3}{4}$ = 1860 gr.

⁷⁾ Horn, Altpr. Monatsschr., V, 52.

⁸⁾ Tamże, V, 54.

pierwsze, które z pod stempla krzyżackiego wychodzić poczęły ¹⁾, do-
tąd bowiem kursowały w Prusiech tylko grosze z pod stempla czeskie-
go lub polskiego. Nie wolno więc też mówić, jak to ks. Łukowski
czyini ²⁾, o stopie, ale tylko o wadze i liczbie toruńskiej, która się we-
dle praktyki i zwyczaju w Toruniu przestrzeganego ustaliła. Z men-
nicy miasta tego wychodziły tylko denary, ale nie grosze ³⁾.

O groszu szerokim pisze ⁴⁾ ks. Łukowski, że „nazwa ta służyła
dla odróżnienia go od małych groszy czeskich (grossi parvi), których
szło 12 na grosz szeroki.” Szan. autor tu pobłądził, idąc za mylnym
zdaniem Naruszewicza, który to samo twierdzi ⁵⁾. 12 owych sztuk,
o których tu mowa, to nie grosze małe, grossi parvi, ale denary, któ-
rych 12 szło na taki grosz, podczas gdy w szerokim, wielkim groszu
18 się mieściło denarów; był więc stosunek między niemi, jak 1,5 : 1,
a nie jak 12 : 1. Wzwyż wspomniany kolektor Galhard de Carceribus,
uskarżając się na uszczuplanie przynależnego świętopietrza, zaznacza ⁶⁾,
że w dyecezyach gnieźnieńskiej i poznańskiej, choć małemi groszami

1) Tamże, V, 52. Prawda, że Szymon Grunau, osławiony dla swój
niewiarogodności kronikarz z XVI w., powiada, iż w r. 1346, mistrz krzy-
żacki, Henryk Dusmer, grosze, po 20 na grzywnę bić kazał (Voigt. Gesch.
Preuss., V, 78). Gdy żadne inne nienaganne źródło nie popiera tego kroni-
karza, nie można brać na seryo tój wiadomości. Ale i kolektor papież-
ki, zbierający w Polsce w roku 1326 świętopietrze, w rachunkach za-
pisuje: grossi Turunenses, Thorunenses (Thein: Mon. Hist. Pol., I, 273).
Lecz jest to tylko mylna pisownia zamiast: grossi Turonenses, jak z reguły
rachunku owe grosze nazywano. Nazwano zaś „grossi Turonenses” dla
tego, że w Tours bito grubą monetę, z grossi denarii, z kąd poszła nazwa
grosza.

2) Lib. Benef. Łaskiego, II, str. XXXVIII.

3) „30 marcas denariorum Thorunensium. Dok. z r. 1281. Pom-
merellisches Urkundenbuch, str. 279. Naruszewicz (Historya Narodu Pol-
skiego, VIII, 81) rozumie przez te denary toruńskie monetę turońską,
na wzór mennicy w Tours bitą; bo „nie mieli, powiada, zaiste jeszcze Krzy-
żacy mennicy w Toruniu.“ Myli się mocno; bo i w licznych dokumentach
jest mowa o denarach toruńskich i dowodną jest rzeczą, że Krzyżacy już
w wieku XIII, w Toruniu mieli mennicę. Porównaj: Voigt, Gesch. Preuss.
III, 514.

4) Lib. Benef. Łaskiego, II, str. XXXVIII.

5) Hist. N. Pol. VIII, 93.

6) Tantum in diocesis Gnesnensi et Posnaniensi currebant parvi
grossi et multum precisi et 48 grossi pro marca computantur, sed 72 mar-
cam Cracoviensem ponderabant. Theiner, M. H. P. I, 445. Eo quod 72
grossi parvi marcam numeri Cracoviensis latorum grossorum ponderabant.
Tamże.

płacono, liczono tylko 48 zamiast 72 sztuk na jedną grzywnę. Liczby te sprawdzają ów stosunek: 1,5 : 1. Jest też: 48×18 denarów = 864 den.; tak samo 72×12 den. = 864 denarom.

Niezwykłym jest wyrażenie: grossi solidorum, które w księdze Łaskiego spotykamy ¹⁾, a którego ksiądz Łukowski nie objaśnia. Forma taka przysługuje tylko monecie liczałnej, mówi się zatem: marca, ferto, scotus grossorum, denariorum, oznaczając przez to pewną ilość pieniędzy bitych. Grosz zaś nie był nigdy w obiegu jako pieniądz liczalny. Zdaje się więc, że autor opisu archidyakonatu gnieźnieńskiego, ks. Kijowski, zapisując powyższe wyrazy, albo się poprostu omylił, albo, że wyraz „solidorum” położył jako synonim wyrazu „pecunia, pieniądz,” który w połączeniu z wyrazem: grossi, w jego opisie częściej napotykamy (per sex grossos pecuniarum) ²⁾, i który tylko jako zbyteczny atrybut tam figuruje.

Co się solida, solda, szeląga dotyczy, uważa ³⁾ szan. autor, iż Piekosiński ⁴⁾ oświadcza, że w wieku XIV i XV pieniądz ów zrównany był fertonowi, że był zatem czwartą częścią grzywny, licząc 12 groszy. Na to autor odpowiada ⁵⁾:

„Czy solid w XIV w. roku 1390 w Krakowie, równał się fertonowi, mniej nas chwilowo obchodzi, śmiemy wszelako zauważyć, że solid w XV i XVI wieku tak w Krakowie jak w Wielkopolsce nie równał się wiardunkowi.” Twierdzenie to poparł dowodnymi argumentami, bo memoriałem podatkowym z roku 1477 z teki Naruszewicza i znaną ordynacją z r. 1526 ⁶⁾, przepisującą trzy szelągi na grosz. Ale i Piekosiński, który, jak szanowny autor zaznacza, zdanie swe uzasadnia wypisem z obrachunków krakowskich, ma słusność. Owszem, i my możemy więcej jeszcze dostarczyć dowodów, popierających to zdanie. Niejaki Włosta zastawia w roku 1330 posiadłość swoją pod Opatowem położoną Stanisławowi, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu w sumie 30 grzywien, dodając, że na grzywnę 4 solidi (a zatem 4 fertony) liczyć się mają ⁷⁾. Jarosław, arcybiskup gnieźnieński, zeznaje dokumentem w roku 1358 wystawionym ⁸⁾, że się zobowiązał Wojciechowi, wojewodzie kaliskiemu $37\frac{1}{2}$ grzywien praskich wypłacić, licząc na grzywnę po 4 solidy. Tak samo co do solidów świadczą: dokument biskupa wrocławskiego z roku 1358 ⁹⁾, protestacya rajców zbażyńskich z ro-

¹⁾ I, 109.

²⁾ I, 37.

³⁾ Lib. Benef. Łaskiego, II, str. XXXIX.

⁴⁾ O monetach i stopie menniczej w Polsce.

⁵⁾ Lib. Benef. Łaskiego, II, str. XXXIX, XI.

⁶⁾ Vol. leg. I, 469.

⁷⁾ ...computando pro marca quatuor solidos. Cod. Dipl. Maj. Pol. II, 442.

⁸⁾ Tamże, III, 103.

⁹⁾ Ad. Voigt, Beschreibung der böhmischen Münzen, I, 49. u. 105.

ku 1329 ¹⁾), protestacya Wilisława Sambora z Nądni z roku 1329 ²⁾), i dwa dokumenty z roku 1347 i 1373 w dyplomatarjuszu Stenzla ³⁾). Warto zaiste się zastanowić, czém się to stało, iż pieniądz ów w wieku XIV tak pokaźny, w XV wieku do tyła spodał, iż go w Polsce brać nie chciano ⁴⁾ i że wartość jego na jedną trzecią grosza spadła? Chcąc zaś dociec przyczyny, wypada rozważyć z kąd i kiedy, czy jako idealna lub bita moneta do Polski przybył. Do tych poszukiwań pobudza tém więcej wzgląd na to, że historia solidów w Polsce jeszcze jest dość ciemną, wymagającą wyświeatlenia. Tego zdania jest i szanowny autor, gdy uważa ⁵⁾), że to co Zieliński w rozbiorku księgi Długosza w tój materji podał, „oczywiście nie zadawalnia.” Ale nie zadawalnia tóż ani to, co Piekosiński, ani to, co sam szanowny autor o solidach podał.

W Niemczech, od Karola W. począwszy, szło na funt mincarski, później grzywną zwany, a równający się 12 uncjom, 20 solidów, w których po 12 denarów się mieściło ⁶⁾). Na początku zaś XI stulecia, funt mincarski niżono na 8 uncyi, to jest na 16 łutów. Na grzywnę srebra zaczęto, jak się zdaje za panowania cesarza Fryderyka II, około roku 1220, liczyć 60 solidów. Tak samo rozporządził około roku 1240 ś. Ludwik, król francuzki, by na grzywnę szło 60 solidów po 12 denarów. Ale i zakon krzyżacki przepisał mocą powyżej wspomnianego przywileju chełmińskiego z roku 1232, że na grzywnę czystego srebra liczyć się także ma 60 solidów. Na Szlązku jednakowoż i w Polsce, zatrzymano dawniejszą liczbę podzielną 20, przez cały wiek XIII ⁷⁾). Co do Polski, następujące dowody: wedle prawa magdeburgskiego, wina sędziemu wyższej instancyi płacić się mająca, miała czynić najwięcej 3 funty, to jest 60 solidów, dlaczego tóż wyższe sądownictwo zwano: *judicium ad 60 solidów* ⁸⁾), *judicia sexaginta solidorum* ⁹⁾). Dla niższych zaś sędziów wina najwyższa na 8 so-

1) „quatuor solidos grossorum pro marca computatos. Cod. Dipl. Maj. Pol., II, 434.

2) Tamże.

3) *Urkundensammlung zur Geschichte des Ursprungs der Städte*, str. 91, n. 1.

4) *Rzyszcz. Cod. Dipl. Pol.*, II, 505.

5) *Lib. Benef. Łaskiego*, II, str. XXXIX.

6) Braun: *Gründliche Nachsicht vom Münzenwesen*; str. 34. „In argento duodecim denarios (sic) solidum faciunt. Capit. Caroli M. a. 797. Pertz, *Mon. Hist. Germ.*, III, 76.

7) Tagmann, *Ueber das Münzmachen Schlesiens, bis zu Anfang des 14-ten Jahrhunderts*. *Zeitschrift des Vereines für Geschichte und Alterthum Schlesiens*, I, 63.

8) *Dok. Henryka, księcia meklemb. z r. 1271. Meklemburgische Urkunden*, Lisch, II, 48.

9) *Dok. Anastazyi, księżniczki meklemb.*, z r. 1275. Tamże, II, 57. „*Judicium 60 solidorum, vel ut planius dicamus jurisdictionem, quae secun-*

lidów ustanowioną została ¹⁾. Wnet jednakowoż, mianowicie w sło-
wiańskich ziemiach, jak w Pomeranii, na Szlązku i w Prusiech, nor-
mę tę do połowy zniżono, tak, iż w wyższym sądownictwie najwyższą
winą 30 solidów = 1½ grzywnom, a w niższym 4 solidy, to jest ⅓
grzywny były ²⁾. Ale i w Polsce tę samą napotykamy rachubę. Les-
zek Czarny stanowi w przywileju danym Sandomierzowi roku 1286 ³⁾,
iż w sądzie prowincjonalnym podsądny ma być karany winą najwyżej 30
solidów, a w sądzie niższym, „tygodniowym,” winą 4 solidów. W do-
kumencie lokacyjnym miasta Poznania z roku 1253 ⁴⁾ powiedziano,
że winy w sądach wyższych 30 solidów, to jest 1½ grzywny, a w niż-
szych 8 solidów, czyli ⅔ grzywny najwyżej wynosić mają. Gerward,
biskup kujawski, również mówi w dokumencie z roku 1317 ⁵⁾ o sądo-
wnictwie 4 solidów. Wypada zatem z tego dowodnie, że w XIII wie-
ku, w Polsce nie 60, ale po dawnemu 20 solidów szło na grzywnę.

Liczono złote i srebrne solidy. Pierwsze były monetą bitą, dru-
gich zaś żadna nie wyrabiała mennica. Tak twierdzili Hüllmann ⁶⁾,
Köhler ⁷⁾, Ad. Voigt ⁸⁾. Sprzeciwił się temu Stenzel ⁹⁾; żadnymi je-
dnakowoż dowodnymi argumentami nie poparł odmiennego swego zda-
nia. Natomiast tak dawniejsze, jak nowsze źródła archiwalne, świadczą
o słuszności zdania przez pierwszych autorów wypowiedzianego. W przy-
wileju chełmińskim z roku 1232 czytamy ¹⁰⁾: „ut eorum (denariorum)
solidi;“ w przywileju miasta Poznania z roku 1253 ¹¹⁾ stoi: „octo soli-

dum regionis consuetudinem exigit emendam 60 solidorum. Dok. Henryka,
księcia meklemb. z r. 1303, ap. Westphalen, Monum. Rer. Germanic., II,
Diplomatar, Raceburgens, n. 102. Por. dok. Wisława, księcia rugskiego,
z r. 1268, ap. Fabricius, Urkunden zur Geschichte des Fürstenthums Rügen,
III, 2, 13.

¹⁾ „octo solidorum.” Dok. Jana, księcia meklemb., ap. Lisch,
I, 52.

²⁾ Por. dok. Henryka III, księcia szlązkiego, ap. Stenzel, Urkundb.
str. 364. W dok. Barnima I, księcia pomorskiego, z r. 1228, (Cod. Dipl.
Pomer. ed. Kozegarten, str. 393) minoris justicie que vulgo quatuor solidor-
um judicium nuncupatur; w przywileju chełmińskim z r. 1232 (Hartknoch,
Dusburg, Chron. str. 454) poena minorum excess....., que quotidiana dicitur,
videlicet 12 nummos (t. j. 12 denarios = 4 solidom); do quatuor solidis,
poena triginta solidorum; str. 454, 459.

³⁾ Naruszewicz: Hist. Narodu Polskiego, VIII, 92.

⁴⁾ Cod. Dipl. Maj. Pol. I, 286.

⁵⁾ Rzyszcz. Cod. Dipl. Pol. II, 209.

⁶⁾ Städtewesen, I, 125.

⁷⁾ Münzbelustigungen, XVII, 146.

⁸⁾ III, 46.

⁹⁾ Urkundenb., str. 88.

¹⁰⁾ Hartknoch: str. 460.

¹¹⁾ Cod. Dipl. Maj. Pol., I, 286.

dos denariorum;“ w dokumencie Gerborda, milesa de Köthena z roku 1262 ¹⁾: „unum solidum denariorum;“ w dokumencie Wiśława, księcia rugskiego, z roku 1278 ²⁾: „unus solidus sterlingorum;“ w dokumencie z roku 1281 ³⁾: „viginti septem solidi Budisnensium denariorum;“ w dokumencie z roku 1291 ⁴⁾: „unum solidum Brandeborgensium denariorum;“ w dokumencie z roku 1292 ⁵⁾: „solidus denariorum Colbergensis monetae;“ w dokumencie z r. 1296 ⁶⁾: „pro octo solidis denariorum;“ w rachunku papieżkiego kolektora z roku 1326 ⁷⁾: solidi sterlingorum; w dokumencie z roku 1329 ⁸⁾: 4 solidos grossorum; w Landbuchu cesarza Karola IV z roku 1375 ⁹⁾: 10 solidos denariorum. Przykłady te starczą zupełnie, by przekonać, że solidus nawet jeszcze w XIV wieku idzie jako moneta liczalna, przedstawiająca tak wagę, jak i sumę bitój monety rozmaitego gatunku. Waga solida w Polsce równała się 20-tój części grzywny, a zatem $\frac{4}{5}$ łuta; liczono zaś wedle karolinskiego podziału po 12 denarów na jeden solid. Tylko w Prusiech początkowo trzydenarowy był podział, przejęty z wyjątkowej ówczesnej stopy kolońskiej; później ustąpił on jednakowoż zwykłemu dwunastodenarowemu podziałowi.

Powyższemu wnioskowi co do wyłącznie liczalnego charakteru solida, zdaje się Kadłubek sprzeciwiać. W znanj, a tak drastycznie przez niego skreślonej scenie pomiędzy nierzetelnymi mincarzami Mieczysława Starego a ich ofiarą, jest mowa o solidach ze srebra wyrobionych ¹⁰⁾. Jednakowoż nie wolno ich tutaj brać w szczególówem znaczeniu, ale tylko jako wyraz oznaczający ogólne pojęcie pieniądza, monety; i to też zupełnie dobrze tłumacz Kadłubka owe solidi wyłożył przez: „moneta“ ¹¹⁾. Wszakżeż owi urzędnicy sami powiadają, że moneta ta w państwie jest jedynie kursująca ¹²⁾; a taką, jak wiadomo, prócz brakteatów, spodlonj drobnej monety, wciskającej się w XII wieku z Niemiec do Polski, same tylko by-

1) Dreger, Cod. Dipl. Pomerani, str. 466.

2) Fabricius, III, 2, 29.

3) Cod. Dipl. Lusat, super., I, 311.

4) Cod. Dipl. Maj. Pol., II, 57.

5) Perlbach: Pommerell. Urkundenb. str. 439.

6) Tamże, 488.

7) Theiner, Mon. Hist. Pol., I, 272, 273.

8) Cod. Dipl. Maj. Pol., II, 434.

9) Edit. Fidicin, str. 46.

10) Habebant autem solidos aliquos, ex argenti vena puriore, nuperrimi numismatis et recentis, eorum arte fabrefactos. Chron. Pol. ed. Przędziecki, str. 159.

11) Tamże, str. 181.

12) ...unicum instantis est temporis numisma. Tamże, str. 159.

ły denary. Ale to ogólne pojęcie, któregośmy się w Kadłubku co do solidów dopatrzili, daje nam klucz do rozwiązania zagadki, że w XIV wieku w Polsce napotykamy je czasem zrównane z fertonami. Z powodu pojęcia grubości, masywności, leżącego w wyrazie *solidus*, oznaczano w ten sposób w Niemczech dość często oznaczano monetę jakąkolwiek grubą, a dwustronnie stempel mającą. Poświadczają to liczni autorowie, jak Le Blanc ¹⁾, Beiker ²⁾, Tagmann ³⁾ i t. d.; a w dokumencie jednym z roku 1353 ⁴⁾ czytamy: *unus grossus seu solidus Hal-lensis*. Idąc za tém samém pojęciem wielkości, nazywano tamże również i większą liczną monetę, mianowicie fertony, solidami. Z Niemiec następnie przeniósł się ten zwyczaj do Szlązka, ztąd do pogranicznych ziem polskich, mianowicie do Krakowa. Rachuba taka w Polsce, głównie przez niemieckich koncypiantów odnośnych dokumentów ⁵⁾, i niemieckich kalkulatorów magistratu krakowskiego, podówczas licznie przez narodowość niemiecką reprezentowanego, jako reminiscencya niemiecka do urzędowych wcisnęła się skryptów.

Wysoka ta wartość solidu, mającego w Polsce, znaczenie tylko piśmiennicze, odnosi się naturalnie jedynie do niego jako monety liczałnej. Jako moneta z kruszcu wyrabiana, szelągi daleko później z pod stempla polskiego wychodzić poczęły, i to jako moneta niskiej wartości, równająca się tylko $\frac{1}{3}$ grosza. Nim je jednakowoż w Polsce bić poczęto, zawitały one tam najprzód z Prus, gdzie około roku 1351 Winrych Kniprode, wielki mistrz krzyżacki, począł bić rzeczywiste solidy, szelągi, których absolutna wartość 15 groszy polskich na stopę roku 1830 ⁷⁾ wynosiła ⁸⁾. W skutek jednak nieszczęśliwych wojen, które Zakon później z Polską prowadził i które go zmuszały monetę tak co do ziarna jak i wagi pogarszać, wartość jój w szybkiej spadała progresyji. W r 1441 wart był szeląg pruski 9 gr. pol. ⁹⁾, a gdy ówczesny grosz polski równał się 27 gr.

1) *Traité des monnaies de France*, pag. 107 squ.

2) *Zweihundert seltner Münzen des Mittelalters*.

3) *Ueber das Münzmachen Schlesiens*, *Zeitschrift des V. f. G. u. A. Schles.* I, 71.

4) *Ad. Voigt*, III, str. 50, n. 107.

5) *Tamże*, III, n. 105.

6) Protestacye powyżej cytowano Wilisława i rajców zbąszyńskich, odnosiły się do okolicy, która czasowo stała pod wpływem margrabiów brandenburskich, i która niemiecką ludnością dość znacznie zalaną była. Między świadkami czytamy: *Hinricus Teutonicus*. *Cod. Dipl. Maj. Pol.*, II, 434.

7) Mówiąc o nowoczesnych pieniądzach, liczymy je na stopę roku 1830.

8) *Horn*, str. 54. *Weber*, *Preussen vor 500 Jahren*, str. 158.

9) *Horn*, str. 54.

pol. z r. 1830, był pierwszy zatem trzecią częścią drugiego. W tym też czasie, gdzie ten stosunek co do waloru pomiędzy temi zachodził monetami, poczęto jak sądzimy, i w Polsce z kruszcu wyrabiać szelągi, jako trzecią część grosza, co ostatecznie, powyżej już wzmiankowaną ordynacją z r. 1526 zatwierdżonem zostało. Że przed rokiem 1447 szeląg kursował w Polsce tylko jako obca moneta, świadczy kontrakt sprzedaży pomiędzy Janem Staromiejskim, drugim burmistrzem w Brześciu, a sołtysem Michałem w roku wyżej wspomnianym zawarty, gdzie zastrzeżono, że gdyby nie chciano brać szelągów (solidów), należna suma polską!), kurs w kraju mającą monetą, wypłaconą być winna.

Sądzimy, że nie błahym będzie domysł, gdy początek bicia téj monety w Polsce rokiem 1454 oznaczamy, gdy polacy wkroczywszy do Prus, w ziemi téj się usadowili, co dało pohop do przyjęcia obcej dotąd monety pod stempel własnej mennicy. Po tym roku napotykamy w źródłach współczesnych coraz to częstsze zapiski o szelągach liczby Królestwa Polskiego ²⁾. Odtąd liczono w Polsce na grzywny i kopy nietylko groszy, ale też szelągów ³⁾. Grzywny i kopy, jednakowoż ostatnie mniejszą, niż pierwsze miały wartość, albowiem gdy wypłata nastąpiła w lżejszej monecie, dodawać trzeba było ażyo.

Floren, złoty, bity był pierwotnie w złocie; od roku 1505, gdy w Niemczech srebrną się stał monetą, u nas był zbiorem 30 groszy. Gdy zaś ówczesny grosz równał się 15 groszom pol., wartość florena nie 18 złp., jak to ks. Łukowski twierdzi ⁴⁾, ale tylko 15 złp. wynosiła ⁵⁾. Zważywszy wreszcie, że ówczesna grzywna miała wartość 24 złp. wypada, że floren $\frac{3}{8}$ cz. był grzywny. Temu sprzeciwić się zdaje

¹⁾ ...unam sexagenam in solidis, et si solidi in terra non recipientur, extunc melioris monethae polonialis communiter hio in terra currentis. Cod. Dipl. Pol. ed. Rzyszczewski, II, 505.

²⁾ W dokumencie z r. 1464, Rzyszcz. Cod. Dipl. Pol. II, 933, ...25 marcis solidorum numeri Regni Poloniae, in quamlibet marcam quadraginta octo grossos numerando. W dok. z r. 1489, Rzyszcz. tamże, II, 954. Quinque sexagenis monethae currentis solidorum, 60 grossos in quamlibet sexagenam computando.

³⁾ ...per marcam de manso pro censu in solidis. Acta Capit. d. a. 1496. Lib. Benef. Łaskiego, II, str. XXXIX. ...quittavit de 2 sexagenis pec. in solidis. Tamże. In solidis sexag. Testam. Łask. ed. Zeissberg, str. 10.

⁴⁾ Lib. Benef. Łaskiego, I, str. XI.

⁵⁾ Tak też zapisuje Tablica redukcyjna Czackiego, i tabela przez księdza Łukowskiego, z Encyklopedyi wyjęta i w Lib. Benef. Łaskiego, II, str. XLII podana.

zapisek księgi Łaskiego, podnoszący ¹⁾, że w mieście Słupcy liczono na floren połowę grzywny liczby i monety polskiej. Ale była to tylko naleciałość z Prus, gdzie floren taką miał wartość ²⁾.

W związku z rzeczą o monetach winny być traktowane ówczesne ceny, ich wartość i znaczenie wypośredkowane, gdyż bez poglądu na te kwestye wnikać nie można dokładnie w rozmaite stosunki finansowo-ekonomiczne, ani też sobie o nich trafnego sądu wytworzyć. Ks. Łukowski pozostawił jednakowoż kwestyą tę poza kołem swoich uwag, dla tego ją podejmujemy na podstawie materiału statystycznego, którego nam księga i mniejwięcej współczesne wiarogodne źródła dostarczają.

Aby ściśle a trafnie wyrozumić ceny czasów dawniejszych, trzeba je zawsze w dwojaki sposób do dzisiejszych redukować. Pierwsza redukcya ma na celu sprawdzenie ilości kruszcu bitego; druga zaś odnosi się do sprawdzenia wartości kruszcu, wypośredkowanego co do ilości zapomocą pierwszej redukcji. Sama tylko pierwsza redukcya, gdy wartość rzeczy co do czasu i miejsca niezmiernie jest rozmaitą, zwodny tylko kreśli obraz; druga dopiero jest w stanie zrozumiałego a prawdziwego dorzucić światła. Jeżeli nam powiedzą, że w r. 1512 korzec żyta kosztował 2 grosze, t. j. dzisiejszy złp., to jeszcze bardzo mało wiemy, jeżeli drugiej nie uczynimy redukcji, by dać odpowiedź na pytanie, jaką miał wartość wówczas ów kawałek srebra, który w nowocześniejszej tkwi złotówce polskiej. Gdy się zaś wypośredkuje, iż siła kupna ówczesna srebra dzisiejszą np. sześć razy przechodzi, to zrozumiemy, że w r. 1512 korzec ów wart był 6 złotych, czyli 1,4 rubla, że zatem ówczesne ceny zbożowe dość niskie były. Ale z tego też przykładu widzimy, że cena trojaką wartość rzeczy zaznacza: nominalną, absolutną i względną. W powyższym przykładzie wskazują nam 2 grosze nominalną wartość owego korca żyta; 1 złoty oznacza jego absolutną, a 6 złotych względną jego wartość. Pierwszą podaje nam źródło, drugą tablice redukcyjne monet, a trzecia wypośredkować się tylko da przez redukcją dawniejszej siły kupnej odnośnego pieniądza na dzisiejszą. Aby zaś tę redukcją wykonać, potrzeba znać odnośne przeciętne liczby proporcjonalne, których jednakowoż poznanie nie jest rzecz łatwa, gdyż stałego, z natury swój niezmiennego nie mamy wartościomierza. Jakże to chwiejnym jest srebro co do swój wartości, którą już sam napływ lub ubytek onego do kraju zmienia. Są ludzie, którzy sądzą, iż niechybny środek szacunkowy w zapłacie roboty znaleźli. Lecz jakżeż rozmaitą pracą człowieka w miarę siły,

¹⁾ „florenum in quamlibet computando mediam marcam numeri et monethae Polonensis.” Lib. Benef. Łaskiego, I, 308.

²⁾ „vor jährlichen Ungrischen Gulden, 26 Böhmische Groschen.” Scriptor. Rer. Pruss. IV, 524. Jest tu zatem floren zrównany 24 groszom, czyli $\frac{1}{2}$ grzywny; pozostałe zaś 2 grosze jest ażyo. Por. Weber, str. 169.

zdrowia, wieku, woli, zręczności; jakżeż odmienną wskutek różnych okoliczności. Gdzie niewola a poddaństwo lud gnębi i ciemieży, tam pracowitość, przemysłność, ochoczość do pracy tamowane, tam ostatnia nie wiele co płaci; przeciwnie, gdzie wolność i własność, tam lud pracowitym, przyrodzony wstręt do pracy mniejszy, a praca pożądaną swoją ma wartość. Gdzie ludność nieliczna, a fizyognomia kraju dość dziko się jeszcze przedstawia, tam z natury rzeczy wypada, iż, jak to w Ameryce i Australii widzimy, cena pracy wygórowaną; niższą zaś ona jest w kraju gęsto nasiadłym ludnością, dostarczającą mnogo rąk roboczych, gdzie ziemia od dawien dawna w kwitnącym znajdująca się stanie kultury, zbyt wielkich już nie wymaga zachodów około jej uprawy. Te okoliczności mając na względzie, woleli inni szukać owego niezmiennego wartościomierza pomiędzy produktami rolniczymi, w pierwszej linii żyto, w drugiej pszenicę stawiając. Ale i to nie zadawalnia. Urodzaje, różnaitość klimatowych wpływów, jakoś gruntu, wolny, ograniczony, lub też zakazany eksport, nagromadzenie zasobów zbożowych: to wszystko wpływało na chwiejność, zmienność i niestateczność i tego wartościomierza. Gdy zaś w kronikach i innych źródłach czasów odnośnych szczupłe tylko zapiski znachodzimy, wyjaśniające stosunki powyższe, tak, iż nie wiemy, o ile normalne lub też nienormalne wpływy na różnaitość cen się składały: dla tego też nie można na podstawie samej tylko przeciętnej ceny roboczej znaleźć pewnego środka szacunkowego, a mocno się ludzi Horn, gdy sądzi ¹⁾, iż mu się udało wynaléć go w cenach zboża.

Aby w powyższym względzie jakikolwiek pomyślny osiągnąć rezultat, śledziliśmy za przeciętnymi cenami nietylko owych produktów rolniczych, ale też pracy człowieka, jakoteż porównując ceny innych rozmaitych przedmiotów, wykluczwszy jednakowoż te, które, jak np. grunta, posiadłości ziemskie, co do cen najrozmaitsze, a do czynienia porównań w powyższym względzie wcale nie przydatne nam dają cyfry ²⁾.

1) Altpr. Monatsschrift, V, 73.

2) W Księdze Łaskiego napotykamy włóki, wartujące to 20, to 30 grzywien, (I, 474, II, 73), absolutna ich wartość jest zatem, wówczas grzywna 24 złp. była warta), odnośnie 480 i 720 złp. Gdy zaś teraz za włókę średniurodzajną płaci się 12000 do 18000 złp., szukać w nich liczb proporcjonalnych dla oznaczenia przecięciowych cen innych przedmiotów, byłoby rzeczą zupełnie chybioną. Toć znany nam jest folwark o 1800 morgach magd., którego dzierżawa przed 50 laty wynosiła 1800 złp., a dzisiaj żąda się dzierżawy 36,000 złp., chociaż wówczas wiertel żyta kosztował 5 złp., a dzisiaj 10 złp., co tylko daje stosunek 1 : 2.

Cena zboża.

Rok	Źródła	Cena Wartość nominalna	Wartość absolutna srebra
1511	Scriptor. Rer. Pr., V, 462.	1 szefel żyta 3 gr. prus.: korzec kalis., czyli 1 wiertel $3\frac{3}{11}$ gr. pol. ¹⁾ .	36 gr. ter.
		1 szefel owsa 2 gr. prus.; 1 wier- tel $2\frac{2}{11}$ gr. pruskie.	24 „
1516	Böhmisch, Gesch. v. Bartenstein, str. 123.	1 szef. żyta 18 szeląg., 1 wier. $19\frac{7}{11}$ szel.	50 „
1520	Lib. Ben. Łaskie- go, I, 52.	1 wiertel żyta 4 gr. ²⁾ .	60 „
1520	Lib. Ben. Łaskie- go, I, 635.	1 wiertel żyta 3 gr. ³⁾ .	45 „
1520	Lib. Ben. Łaskie- go, I, 628.	1 wiertel żyta 3 gr. ⁴⁾ .	45 „
1520	Lib. Ben. Łaskie- go, I, 638.	1 wiertel żyta 2,7 gr. ⁵⁾ .	40,5 „
1520	Lib. Ben. Łaskie- go, I, 20.	1 wiertel żyta 2,7 gr. ⁶⁾ .	40,5 „
1533	Löschin, Gesch. v. Danzig, I, 296.	1 szefel żyta 3 gr. pruskie: 1 wiertel $3\frac{3}{11}$ gr. pr.	26,2 „
1539	Tamże.	1 szefel żyta 9 gr. pr.; 1 wiert. $9\frac{0}{11}$ gr. pr. (Drożyzna panuje).	78,5 „

¹⁾ Liczymy na korce kaliskie, czyli wiertele, po 16 garncy, 60 litr., albowiem powyżej wymienione korce, czyli wiertele w miejscowościach z województwa kaliskiego, (później wojew. kalis. i gniezn.) się znajdują. W miejscowościach województwa sandomierskiego, nie o cori, ale o cassulae, t. j. snopkach, jest mowa, dla tego i tutaj, celem obliczenia zastosowaliśmy korce kaliskie. Pruski zaś szefel = 36 sztofom = 55 litrom; dla tego redukując go na wiertele kaliskie, podwyższamy cenę jego o $\frac{1}{11}$ część. Ponieważ grosz polski ówczesny równał się 15 groszom teraźniejszym dla tego celem redukcji na teraźniejsze grosze, przez 15 mnożyć musimy.

²⁾ W Jezierzanach oddają kmiecie z włóki mesznego po 2 korce żyta i tyleż owsa; soltys zaś w miejsce tego płaci 1 wiardunek. Gdy zaś mniej więcej, jak w teraźniejszych czasach, tak i wówczas stosunek żyta do owsa był co do wartości jak 2 : 1; dlatego wedle tej proporcji zredukowawszy 2 wiertele owsa na 1 wiertel żyta, odbierzemy 3 wiertele żyta, równające się powyższemu zbożu. Gdy zaś te 3 wiertele tyle znaczyły co jeden wiardunek, płacił jeden wiertel żyta 4 gr.

³⁾ W Popławach oszacowane są 12 kop zboża cassulae frumentorum za trzy wiardunki. Omlot jednej kopy, cassulae czyni $1\frac{1}{3}$ wiertela, czyli

Wedle powyższego, gdy odliczymy nienormalną cenę z r. 1539, i cenę owsa z roku 1511, wypada, że 8 wiertelki żyta miały wartość 343,2 gr. terażniejszych; przeciętna zatem cena jednego wiertelka wynosiła 42,9 gr. terażniejszych, a 2,9 gr. ówczesnych ¹⁾. Gdy zaś przeciętną ceną wiertelka żyta w dwóch ostatnich dziesiątkach lat 9 zlp., czyli 270 gr. były; wypada, że stosunek wartości żyta na początku XVI wieku do terażniejszej, jest jak 42,9 : 270, czyli jak 1 : 6,3.

korca kaliskiego, (co do cassulae por. niżej) dają więc owe kopy 16 wiertelki zboża. Gdy nie jest powiedziano, że tylko żyto daném być ma, znaczy, że tu chodzi na poly o żyto i owies. Równają się zatem owe 16 wiertelki zboża 12 wiertelkom żyta. Gdy zaś te równe są 3 wiardunkom, wartuje 1 wiertel 3 gr. dawn. a 45 gr. dzisiejsze.

⁴⁾ W Święcicach 18 kóp żyta (cassulae siliginis), czyli 24 wiertelki żyta oszacowane są na 1½ grzywny = 72 gr.; wiertel zaś 3 gr.

⁵⁾ W Brzostówku 18 kop zboża daje omlotu 24 wiertelki zboża, co, gdy na poly żyto, na poly owies, równa się 18 wiertelkom żyta, które oszacowane są na 1 grzywn. = 48 gr.; wart zatem 1 wiertel żyta 2,7 gr.

⁶⁾ Sołtys z Woli nie płaci jak kmiecie z włóki mesznego po 2 wiertelki żyta i tyleż owsa, ale w miejsce tego 8 groszy. Zrównane więc są 3 wiertelki żyta 8-iu gr.; płacono więc za wiertel $2\frac{2}{3}$ gr., czyli $2\frac{2}{3} \times 15 = 40$ gr. dzisiejszych.

¹⁾ Książ Łukowski obliczając (Lib. Benef. Łaskiego, II, str. IX) dochody proboszcza rawskiego, bierze za podstawę obrachunku cenę dziesięciu groszy za korzec żyta, powołując się na lustracyą z r. 1564. Wątpi to podstawa, gdyż szan. autor przepomniał różne okoliczności wziąć pod rozwagę, modyfikujące to świadectwo. Otóż w roku 1561 (Tablica monet polskich, tamże, II, XLII) równał się grosz 10 groszom na stopę r. 1830; w latach zaś spisywania księgi, był on wart 15 gr. ostatnich; stosunek zatem jak 3 : 2; dla tego też owe 10 gr. przez $\frac{2}{3}$ podzielić trzeba, przez co już tylko $\frac{20}{3}$ gr. odbierzemy. Ale i wartość srebra była inną. Wedle tabeli Czackiego wynosiły r. 1520, cena wozu siana czterokonnego, faski masła, barana i zapłata roczna parobka, zapłata na dzień cicielskiej pracy razem 46 zlp. 26 gr. czyli 1406 gr.; a w r. 1561, 78 zlp. 21 gr., czyli 2361 gr.; stosunek zatem 1 : 1,7. Trzeba więc owe $\frac{20}{3}$ gr. dalej dzielić przez 1,7, przez co się na 4 g. redukuje. Gwoli zaś ostatecznej redukcji, trzeba jeszcze wiedzieć, ile garncy na owe korce liczono. Gdy zaś z tego wszystkiego szan. autor nie uwzględnił, cała jego rachuba mylna, a zatem nieprawdopodobna.

Cena koni.

Rok	Źródła	Cena Wartość nominalna	Wartość ab- solutna sre- bra	Wartość dzisiejsza do- mniemana
1510	Zeissberg, Johann Łaski und sein Te- stament, str. 184.	Wierzchowiec ¹⁾ : 50 fl. (z maszarni prymasa).	750 złp.	3300 złp.
1510	Tamże.	Koń cugowy ²⁾ : 25 fl. (z maszarni prymasa).	375 „	1650 „
1510	Tamże, str. 200.	Koń: 20 fl. (z maszar- ni prym., zapewne cug.)	300 „	1260 „
1510	Tamże.	Koń dyszl. ³⁾ : 5 grz.	120 „	720 „
1510	Tamże, str. 111.	Wałach gni. ⁴⁾ : 7 fl.	105 „	600 „
			1660 złp.	7550 złp.

Stosunek samych wartości wszystkich powyższych koni rozmaitego gatunku do dzisiejszej, jest jak 1650 : 7530, jak 1 : 4,6.

Cena masła.

Rok	Źródło	Cena Wartość nominalna	Wartość absolutna srebra
1511	Scriptores Rer. Pruss., V, 462.	W Gdańsku $\frac{1}{4}$ beczki czyli 68 funtów ⁵⁾ = 15 grzywnom pruskim; a zatem płacono za 1 funt 0,2 grz. prus. ⁶⁾ .	39 gr. teraz.

Ponieważ cena powyższa odnosi się do wielkiego handlowego miasta Gdańska, gdzie co najmniej jeszcze raz tak wielką była, jak w kraju, a nadto niezwykle wygórowaną się okazuje ⁷⁾: dla tego powyższe 39 groszy, zniżamy na 13 gr.; a przyjąwszy jako nowocześniejszą cenę przeciętną funta 48 groszy, otrzymamy cyfry proporcjonalne: 13 : 48, 1 : 3,6.

¹⁾ „Equus ambulator, 50 fl.”

²⁾ „Equus quadrigalis 25 flor.

³⁾ „Equus dyslovy redarius, 5 marc.”

⁴⁾ „7 fl. pro equo vallacho gnyadj.”

⁵⁾ Weber, str. 151.

⁶⁾ 1 grzywna pruska była warta wówczas 6 złp. 17 gr. Por. Horn, Altpr. Monatsschrift, V, 54.

⁷⁾ Wedle tego samego źródła (Script. Rer. Pruss., V, 462) płacono w r. 1511, za szefel żyta 3 gr. pr.; takiż funt masła o $\frac{1}{3}$ był droższy niż ów szefel; 0,2 grzywn. prus. były 4 gr. prus. Może być, że tu z błędem kopisty mamy do czynienia.

Cena barana.

Rok	Źródło	Cena Wartość nominalna	Wartość absolutna srebra
1520	Czacki, Tabela, Star. Pol., s. v. cena.	? Nie podana	2 złp. 6 gr. na stopę r. 1766 2 złp. 10 gr. na stopę r. 1830

Licząc obecną przeciętną cenę barana, 75 funtów ważącego po 24 złp., znajdziemy liczby proporcjonalne: $\frac{1}{3} : 24; 1 : 10$.

Cena miodu.

Rok	Źródło	Cena Wartość nominalna	Wartość ab- solutna srebra
1520	Lib. Benef. Ł. I, 563.	Quartale (t. j. $\frac{1}{12}$ beczki) ¹⁾ kosztuje 1 wiardunek, a zatem beczka 3 grzywny.	72 złp.

Z zestawienia powyższej wartości absolutnej z obecną przeciętną ceną beczki miodu, wynoszącej około 576 złp., wypadają liczby proporcjonalne: 72 : 576; 1 : 8.

Dzierżawa od łąki, donoszącej trzy wozy czterokonne siana.

Rok	Źródło	Cena Wartość nominalna	Wartość absolutna srebra
1520	Lib. Benef. Ł. I, 631.	1 wiardunek.	6 złp.

Przeciętna wartość łąki, dającej zbiór wyższy wynosi obecnie 900 złp.; prowizya kapitału tego po 5% obliczona = 45 złp. Gdy zaś powyższe 6 złp. uważać trzeba jako prowizyą od kapitału, reprezentującego wartość ówczesną łąki; wynosiła więc wówczas 3-morgowa łąka 120 złp. Proporcjonalnymi liczbami są zatem 120 : 900; 1 : 7,5.

¹⁾ Por. niżej.

M y t o p a r o b k o w i.

Rok	Źródło	Cena Wartość nominalna	Wartość absolutna srebra
1520	Czacki, Tabela,	?	16 złp. 10 gr. na stopę r. 1766
	Staroż. Pol. s. v. cena.	Nie podana.	16 złp. 35 gr. na stopę r. 1830

Przyjmujemy, że przeciętne myto powyższe obecnie 100 złp. wynosi; zredukowawszy tak te złote, jak i powyższe 16 złp. 35 gr. na grosze, otrzymamy liczby proporcjonalne: 515 : 3000; 1 : 5,8.

C e n a w o z u s i a n a c z t e r o k o n n e g o.

Rok	Źródło	Cena Wartość nominalna	
	Czacki, Tabela,	?	7 złp. 18 gr. na stopę r. 1766
	Staroż. Pol., s. v. cena.	Nie podana.	8 złp. na stopę r. 1830

Licząc obecną przeciętną cenę wozu siana czterokonnego po 48 złp., otrzymujemy liczby proporcjonalne: 8 : 48; 1 : 6.

Zestawienie powyższych liczb proporcjonalnych, eliminując takowe co do masła, jako nadzwyczajną, nienormalność, albo też omyłkę zdradzające, są:

1 : 6,3
1 : 4,6
1 : 10
1 : 8
1 : 7,5
1 : 5,8
1 : 6
7 : 48,2

Podzieliwszy przez 7 stosunek ten, otrzymujemy liczby proporcjonalne 1 : 6,9, w całych liczbach 1, 7. Ostatnia zaś cyfra jest, ma się rozumieć w przybliżeniu, wykładnikiem przez nas szukanym, proporcji pomiędzy cenami na początku XVI wieku w Polsce, na absolutną wartość srebra, czyli pieniądzy zredukowanymi, a cenami teraż-

niejszemi. Ona nas poucza, że terażniejsza siła kupna srebra 7 razy jest słabszą, niż w czasie, kiedy Księgę Łaskiego spisano. To też przez nią pomnożywszy wartość absolutną pieniężną dawniejszych cen, otrzymamy względną ich wartość, t. j. zastosowaną do terażniejszej wartości srebra; przez co dopiero wyrozumić można ich znaczenie i miarę, mając zarazem podstawę do czynienia porównań i wniosków nie błahych.

Co do wagi, nadmienia książdz Łukowski na podstawie Księgi, że talentum, jako waga, o którym Zieliński ¹⁾ powiedział, iż znaczy „tyle co kamień,” równa się funtowi; zapisanem jest bowiem tamże: ²⁾ „talentum piperis alias funth.“—Brak tu ścisłości. Nie ulega albowiem wątpliwości, że talent także kamień oznaczał. Miał on jako waga rozmaite znaczenie. U greków był zbiorem 54 funtów; u rzymian zaś mieściło się w nim 100 funtów po 12 łutów, a zatem 37½ zwyczajnych funtów po 32 łutów. To zaś wskazuje na kamień ³⁾. W miastach hanzeatyckich znaczył talent miodu tyle co szafunt ⁴⁾ (Schiffsfunt), równający się 13 kamieniom, albo 360 funtom ⁵⁾; tak samo talent zboża równał się szafuntowi, czasem też poprostu funtem zwanemu ⁶⁾; z powodu zaś tego, trzeba się mieć na baczności, by go nie mieszać z funtem o 32 łutach. Jako zaś szafunt, względnie funt zboża, równał się beczcze, mieszczącej w sobie 4 korce, po 90 fun. wagi ⁷⁾. Gdy zaś mowa o złocie lub wosku, talent w znaczeniu kamienia natrafiamy ⁸⁾; w połączeniu zaś z korzeniami kolonialnemi,

¹⁾ Bibl. Warsz. r. 1871, str. 357.

²⁾ Lib. Benef. Łaskiego, I, 186.

³⁾ Kamień, od 24 do 40 funtów ważył; chełmiński zawierał funtów 24, polski 32, gdański 34, elbląski 36, królewiecki 40. Por. Weber, str. 155. Linde, Słownik języka polskiego, s. v. Kamień.

⁴⁾ ...de talento, quod vulgariter Schippunt vocatur dantur duo denarii... de talento mellis duo dabuntur denarii. Taryfa celna Alberta, ks. saskiego, z r. 1248. Kosegarten, Cod. Dipl. Pomer, str. 915.

⁵⁾ Por. Skrzetuski, Praw. Pol. II, 196. Vol. leg. VII, 331. Weber, str. 155.

⁶⁾ ...decem talenta siliginis. Dok. Barmina, ks. pomorskiego, z r. 1266, w Pommerell. Urkundb. ed. Perlbach, str. 174. „quinque talenta frumenti, que in Theutonico punth appellantur. Dok. tegoż Barnima z r. 1265. Tamże, str. 172.

⁷⁾ „Darunter (punth) wird neun Tonnen Korn verstanden.” Dreger Cod. Dipl. Pom., str. 483. Por. Linde s. v. becčka.

⁸⁾ „Hirkanus z grobu Dawidowego, wziął trzy tysiące talentów, albo kamieni złota.” Skarga, Dz. 19. „Eo tamen excepto, quod talentum (Naruszewicz VIII, 92, dobrze tłómaczy przez kamień).” Dok. Jana, proboszcza kruszwickiego, z r. 1265. Tamże.

jak: pieprzem, szafranem, cynamonem, imbiere, cytwarem, kwiatem muszkatowym, gałką muszkatową i t. p., wyraża funt zwyczajny ¹⁾. Wszystko to potwierdza, cośmy powyżej powiedzieli, że talentowi, jako wadze, nie przysługuje wyłączone, specjalne znaczenie.

(d. c. n.)

¹⁾ Lib. Benef. Łaskiego, I, 186. „Sex talentorum piperis et croci.“ Dok. Przemysł., II, z r. 1287. Cod. Dipl. Maj. Pol. I, 534. „Quatuor talenta croci, sex talenta sinsiberis, quatuor talenta muscati... quatuor talenta cinamoni... quatuor talenta florum muscati... quatuor talenta cithivari.“ Dok. Kazimierza Jagiellończyka, z r. 1459. Cod. Dipl. Maj. Pol., ed. Raczyński, str. 183.

KORESPONDENCYA.

XVII WALNE ZGROMADZENIE CZŁ. GALICYJSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO W STRYJU.

W sprawozdaniu zarządu Towarzystwa z czynności za rok ubiegły, przedłożonóm członkom na wyżej wymienionóm zgromadzeniu, czytamy, że Towarzystwo liczy obecnie 2,697 członków w 41 oddziałach i 85 kótkach nauczycielskich. Stan funduszu obrotowego wynosi 7679 złr.; ogólny majątek łącznie z funduszami Zarządu głównego 28,329 złr. 12 ct. Pożyczki udzielone przez zarządy oddziałowe przedstawiają cyfrę 3,956 złr. 8 ct. czyli 51½% funduszu obrotowego oddziałów. Dział zaliczkowy w Towarzystwie został faktycznie zniesiony, albowiem najzasobniejsze oddziały, krakowski i lwowski, dział ten zwinąć postanowiły. W roku ubiegłym rozdał zarząd 300 złr. zapomóg koleżeńskich a mianowicie 6 nauczycielom ludowym i 5 wdowom po nauczycielach ludowych. Towarzystwo uzyskało w roku ubiegłym podwyższenie subwencji dla wyższych szkół żeńskich w Kołomyi i Stryju, z 600 złr. na 800 złr. dla szkół przemysłowych w Jarosławiu, Przemyślu, Rzeszowie i Tarnowie z 500 złr. na 700 złr. i otrzymało i nadal subwencją 500 złr. na wydawnictwo czasopisma „Szkoly”. Od wydziału krajowego otrzymał zarząd tak jak w latach poprzednich subwencją 200 złr. na częściowe pokrycie kosztów tegorocznego walnego zgromadzenia. Galicyjska Kasa oszczędności nadesłała subwencją w kwocie 200 złr. na szkoły przemysłowe, a bank czeski „Slavia” dwukrotnie po 100 złr. na pomnożenie funduszu obrotowego Towarzystwa. Towarzystwo utrzymuje 6 szkół przemysłowych w Drohobyczu, Jarosławiu, Przemyślu, Rzeszowie, Sokalu i Tarnowie.

Szkoła przemysłowa w Drohobyczu otworzona dnia 1 marca b. r. składa się z dwóch oddziałów: przygotowawczego i zawodowego; w przygotowawczym trwa nauka lat trzy, w zawodowym dwa. Otwarto obecnie kurs dwuletni przygotowawczy i zawodowy rok jeden.

Na pierwszy uczęszczało 72, na drugi 18; razem 90 uczniów. Uczniowie nie składają żadnych opłat, lecz nadto dostają książki szkolne i przybory do pisania i rysowania.

Szkoła przemysłowa w Jarosławiu, istniejąca od r. 1880, liczyła 112 uczniów na kursie przygotowawczym, i 18 na kursie zawodowym, razem 130.

Szkoła przemysłowa w Przemyślu, miała na kursie przygotowawczym 186, na specjalnym 21, razem 207 uczniów.

Szkoła przemysłowa w Rzeszowie, liczyła 151 uczniów; na kursie przygotowawczym 121, na specjalnym budownictwa 21, mechaniki 9.

Szkoła przemysłowa w Sokalu (od r. 1882), posiadała w dwóch oddziałach 57 uczniów. Udzielano również nauki modelowania, tokarstwa i rzeźbiarstwa.

Szkoła przemysłowo-handlowa w Tarnowie, otwarta 3 września 1882 r., liczyła w czterech oddziałach (dwa przygotowawczych mechaniki i budownictwa) 131 uczniów.

W b. r. mają być otwarte jeszcze dwie szkoły przemysłowe, w Brzeżanach i Kołomyi.

Nad szkołami przemysłowymi oddał wydział krajowy inspekcją p. Ludwikowi Wierzbickiemu, posłowi Kołomyjskiemu.

Szkoły wydziałowe żeńskie, wypierają powoli wyższe szkoły żeńskie, utworzone przez Towarzystwo tak, że obecnie Towarzystwo utrzymuje tylko dwie, t. j. w Kołomyi i Stryju, z których pierwsza liczyła w czterech klasach 77 uczennic (uczono i krawiecczyny), druga 48.

Tak w szkołach przemysłowych jak i żeńskich, udzielają nauki nauczyciele szkół średnich lub ludowych, w tych miastach się znajdujących i to bądź za darmo, bądź za bardzo skromnym wynagrodzeniem. Pierwszych trzech tomików wydawaną przez zarząd główny „Biblioteki dla uczniów szkół przemysłowych” używają uczniowie jako podręczników we wszystkich szkołach przemysłowych. W przyszłości ma być ta biblioteka tak rozszerzoną dalszemi tomikami, aby uczniowie wszystkie potrzebne w niej znaleźli książki.

W skład wydawnictw Towarzystwa wchodzi jeszcze „Biblioteka dla młodzieży” w której w r. b. z powodu roku jubileuszowego odsieczy wiedeńskiej, umieszczono trzy publikacje, odnoszące się do tego faktu dziejowego, a mianowicie w tomie IX R. Starkła „opowiadanie o królu Janie III.” w tomie X, Lucyana Tatomira: „Ślady króla Jana w kraju naszym” i w t. XII opowiadanie „Pod Żurawnem” w języku rusińskim. Nadto nie zaniedbuje Towarzystwo wydawnictwa książek szkolnych, przedewszystkiem dla szkół średnich i czasopisma „Szkoly,” którego redaktorem w r. b. był p. Bolesław Baranowski, inspektor szkół ludowych, okręgu lwowskiego.

„Macierz polska” udała się do Zarządu Towarzystwa, o poparcie w rozpowszechnianiu jej nakładów. Wskutek tego polecił jej zarząd

główny, wielu nauczycieli szkół ludowych, których ona mianowała delegatami i którzy w tym kierunku działalność zbawienną rozwinięli.

Zarząd główny utrzymywał stosunki z Towarzystwem pedagogicznem czeskiem p. t. „Ustředni spolek jednot učitelских.” W grudniu r. z. starał się zawiązać stosunek z Towarzystwem pedagogicznem oddział szlązki z siedzibą zarządu w Cieszynie, wskutek deklaracji kilkudziesięciu nauczycieli i obywateli, iż chcą do galicyjskiego Towarzystwa przystąpić. Wybrano tymczasowy zarząd, atoli starostwo cieszyńskie nie potwierdziło statutu, żądając zmian i dodatków.

Z 41 oddziałów Towarzystwa w obrębie Galicyi, nie wszystkie były zarówno czynnymi i energicznymi. Oddziały: bocheński, brodzki, brzozowski, buski, gorlicki, mielecki, rudzki, a więc $\frac{1}{6}$ nie nadesłały nawet sprawozdania z czynności całorocznych; w oddziałach zaś: bełzko-rawskim, bielskim, nowo-sądeckim, samborskim, trembowelskim i tłumackim, znać pewne zubożenie i ciężkość szkodliwą rozwojowi Towarzystwa.

I.

Na zjazd tegoroczny w Stryju, w dniu 18, 19 i 20 lipca, zgłosiło się ogółem 204 uczestników, a mianowicie nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych 92, nauczycieli szkół średnich 50, nauczycielek 46, osób do zawodu nauczycielskiego nienależących 16.

Po zwykłych, w dniu przyjęcia przedwstępnych czynnościach i powitaniach, po podziękowaniu sędziwemu profesorowi Dubrawskiemu za utworzenie stypendyum z oszczędności całego życia, przystąpiono do porządku dziennego.

Przyjęto do wiadomości przedłożone drukowane sprawozdanie i na wniosek p. Chylińskiego wezwano zarząd, aby energicznie postąpił z opieszalymi oddziałami. To też komisya lustracyjna postanowiła rozwiązać nieczynne oddziały, jak: brodzki, gorlicki, rudzki, tłumacki; w Rawie ma być utworzony nowy oddział, Bełz zostanie przyłączony do oddziału Sokalskiego, a do Przemyśla wysłany zostanie lustrator.

Wystąpił następnie prof. Soleski, jako referent zarządu w sprawie zmiany § 4 statutu w tym kierunku, aby umieścić dodatek tój treści: „Zarząd główny utworzy związek kółek nauczycieli szkół wyższych, jako osobną sekcją w Towarzystwie pedagogicznem.” Jeszcze w marcu r. b. zawiązali podobne kółko nauczyciele szkół średnich we Lwowie; aby podobne kółka powstać mogły i w miastach prowincjonalnych i tworzyć razem w Towarzystwie krajową sekcją szkół wyższych, potrzeba było odpowiedniego dodatku w statucie, który zgromadzenie jednogłośnie uchwaliło ¹⁾.

¹⁾ Co do tego punktu niech nam tu wolno będzie odmienne nieco wyrazić zapatrywanie. Nauczyciele szkół średnich i wyższych, w liczbie prze-

Potrzeba ta dawała się oddawna uczuć, zwłaszcza, że prócz pierwszych trzech lat od założenia Towarzystwa, przez wszystkie lata aż dotąd, Towarzystwo pedagogiczne i na walnym zgromadzeniu i w swym organie „Szkoła,” bardzo mało uwzględniało potrzeby nauczycieli szkół średnich.

Wiceprezes Towarzystwa, dr. J. Gerstman, przedstawił drugi wniosek o zmianę statutu, który uczynił ponownie p. Ignacy Żółtowski, członek honorowy Towarzystwa, cofnąwszy go roku zeszłego. Wniosek ten dąży do zmiany § 34 i 35 statutu, aby walne zgromadzenia odbywały się co trzy lata, a corocznie we Lwowie tylko zjazd delegatów, któryby miał przedewszystkiēm omawiać sprawy szkolne, podczas kiedy do walnego zgromadzenia należałby wybór zarządu i mianowanie członków honorowych. Jako motywę podawał wnioskodawca, że coroczne zjazdy są uciążliwe tak dla miast, w których się odbywają, jak i dla uczestników, zwykle nie bardzo zasobnych; powtóre, że wobec licznych, a nieraz bardzo licznych zgromadzeń, dyskusya poważna i spokojna nad ważnemi nieraz kwestyami jest wprost niemożliwa. Motywę tę, które również i oddział krakowski poparł przez usta pana Maciołowskiego, delegata, były dosyć ważne i należało się nad niemi zastanowić poważnie. Zarząd główny, czy to dla krótkości czasu, czy z innych powodów, uznał atoli motywę tę za niedostateczną. Zgadamy się z jego zapatrywaniem, że miasta widocznie zbyt nie ponoszą ciężaru, zapraszając do siebie corocznie uczestników zjazdu, którzy znowu nie z musu, ale z własnej woli, obrachowawszy się z funduszami, na zjazd się udają; ale przyznać musimy p. Żółtowskiemu słuszność w tym kierunku, że dyskusye na walnych zgromadzeniach nie odbywają się prawidłowo, nie pozwalają ujawnić się rozmaitym opiniom, nie są nawet głównemi w porządku dziennym; ale chyba na to, aby wycieczki, uczty i wnoszone toasty okraszyć zrecznie

szło 500, mając inne od nauczycieli ludowych cele i inne swego kształcenia się drogi, bez uszczerbku Towarzystwa pedagogicznego, powinni tworzyć osobny związek, Towarzystwo, mając im nadać tę siłę i solidarność, bez jakiej obecnie nikną i znaczenia korporacyi nie posiadają. Przy małej wkładce miesięcznej mogliby utrzymywać miesięcznik fachowy, pedagogiczno-dydaktyczny, od 3 — 5 arkuszy druku obejmujący, któryby oprócz artykułów naukowo-fachowych i pedagogicznych, zawierał fakta kazuistyki szkolnej, dział bibliograficzny i personalia. Miesięcznik ten otrzymywaliby członkowie darmo. Konferencye dwutygodniowe w każdym kółku gimnazyalnem, dyskusye, zjazdy roczne, nie byłyby pewnie bez korzyści. Dziś większość nie ma własnego Towarzystwa, nie należy i do Towarzystwa pedagogicznego, nie wiele czyta i... bałwanicje. Dlatego do utworzenia związku potrzeba koniecznie centralizacyi w Towarzystwie pedagogicznēm, aby związek kółek był jego sekcją... nie widziny żadnego powodu.

obmyślanym frazesem. To też gdy tylko dyskusya poczyna być ożywioną i poczyna przybierać szersze rozmiary, a nadewszystko zapowiada wynik nieprzewidziany i naprzód przez zarząd nie obmyślany, wzywa się zaraz mówców do porządku, odbiera im się głos, wysyła jakiego wymownego członka zarządu z ciężką baterią posiłkową i sprawę się ubija. Bo zresztą i co tu długo dyskutować: czasu szkoda, obiad wyziębnie, a piwo ściepleje... Broniło się więc i teraz od tego zarzutu słabemi argumentami: oto zjazdy dają sposobność uczestnikom poznawania kraju, pokrzepiają ducha (!), podnoszą znaczenie Towarzystwa i jego wpływ u ogółu, a przezeń i całego stanu nauczycielskiego i sprawy oświaty i t. d. Ważniejszą od tych baniek mydlanych rzeczą jest fakt, że co roku zarząd uzupełniać należy, co czynić może tylko walne zgromadzenie, i że co roku wysokiemu sejmowi przedkłada Towarzystwo różne petycye stanu nauczycielskiego i uchwały, które naturalnie na walnych zgromadzeniach powziąć trzeba było. Ależ to wszystko jeszcze nie jest odparciem motywów; mimo to po przemówieniach panów: Benoniego, Żulińskiego, Gerstmana, zgromadzenie przeszło nad wnioskiem p. Żółtowskiego do porządku dziennego.

Po wybraniu komisji, mającej rozpatrzyć wnioski pojedynczych oddziałów i członków i po zamianowaniu p. Sąsiedzkiego, inspektora okręgowego w Złoczowie, i mistrza Matejkę członkami honorowymi, zamknięto dzień pierwszy festynem ogrodowym w t. z. „Olszynie.“

II.

Dzień drugi rozpoczęto odczytaniem protokołu z poprzedniego posiedzenia i telegramu Towarzystwa pedagogicznego w Pradze. Następnie przedłożył dr. Zgórski wniosek d-ra Izydora Dzieduszyckiego, dotyczący zmiany § 8 statutu, podług którego w przyszłości wnioski co do mianowania członków honorowych Towarzystwa miałyby być przedkładane zarządowi głównemu najmniej sześć miesięcy, a oddziałom najmniej trzy miesiące przed walnym zgromadzeniem, a mianowanie członka honorowego miałyby nastąpić dopiero za zgodą większości oddziałów. Wniosek ten mało znaczący przyjęło zgromadzenie jako rezolucją zastrzegającą dotychczasowe postępowanie, boć i dotąd zarząd główny tylko po gruntownym zastanowieniu się mianował członków honorowych.

Wniosku p. Anastazyi hr. Dzieduszyckiej, dążącego do zmiany postępowania z wkładkami oddziałów, a mianowicie, aby tylko połowa wkładek wpływała do zarządu głównego, z innych dochodów $\frac{1}{3}$ część, a reszta aby pozostawała w oddziale; wniosku tego zgromadzenie nie uwzględniło, skoro referent zarządu, dr. Zgórski, cyframi dowiódł, że

administracya funduszami Towarzystwa jest dobrą, a korzyść z proponowanej zmiany bardzo problematyczna. Bronił wniosku p. Dzeduszycki p. Maciołowski, ale nie miał widocznie dosyć tej przekonywającej siły, jaką zarząd w wystąpieniu kilku swych członków (prof. Soleski, p. Baranowski) rozwinął.

Przedstawiono następnie stan składek na pomnik Adama Mickiewicza. Składki te zbierano w pojedynczych oddziałach od r. 1876, a lubo jeszcze nie wszystkie ściągnięto, suma przecież dochodzi do 1500 złr., którą zarząd główny do 1600 złr. uzupełnić i prezydentowi miasta Krakowa przesłać postanowił. P. Maciołowski podziękował imieniem d-ra Weigla za ten datek.

Z okazji nadchodzącego jubileuszu odsieczy wiedeńskiej przedstawił p. Bolesław Baranowski w imieniu zarządu wnioski tegoż co do uroczystości w szkołach obchodząc się mających. Podniósł znaczenie tego obchodu i dla szkoły, która ma wzór w postępowaniu przodków przed stu laty; uroczystości te bowiem, jak to dr. Leniek w Krakowie w fejtynie „Czasu“ wykazał, bardzo solennie obchodzono. Znanych z dzienników uchwał centralnego komitetu i zarządu Towarzystwa pedagogicznego p. Baranowski nie powtarza, ale nadmienia, że Towarzystwo wyda stosowne obrazki, których sama rada miasta Lwowa już 10.000 zamówiła, a następnie zachowa porządek obchodu następujący: nabożeństwo, wykład, produkcye muzykalne i deklamacye uczniów. Tablice pamiątkowe uważa referent za bardzo pożyteczne i wzywa wszystkich do gorliwego popierania komitetu.

Ten sam referent przedstawił tułającą się od lat trzech, po walnych zgromadzeniach sprawę egzaminów wstępnych do gimnazyów. Zasiągnięto opinii rad szkolnych okręgowych i dyrekcji gimnazyalnych; wszędzie zgadzają się na to, że w formie egzaminu tego, wiele jest niedogodności, atoli znieść ich niepodobna; trzeba tylko spokojniej cenzurować uczniów, a na to potrzeba, aby nauczyciele egzaminować mogli nie podczas roku szkolnego i otrzymywali za to stosowne wynagrodzenie. Po krótkiej dyskusyi uchwała przeto zgromadzenie rezolucyą do władz, aby egzamina te odbywały się albo po zakończeniu roku szkolnego, albo przed rozpoczęciem nowego i aby egzaminatorowie wynagradzani byli z taks wstępnych do gimnazyów przepisanych.

Dobry przykład Warszawy podziałał i na nas. Dotąd nie było miejsca, gdzieby synowie ubogich rzemieślników i wyrobników, przedewszystkiem miast większych, mogli się udać na wakacye na świeże powietrze, czyli nie było kolonii wakacyjnych. Poruszono przecież tę rzecz na zeszłorocznym zjeździe w Drohobyczy i uchwalono 100 złr. na ten cel z funduszu Towarzystwa. Pan Artur hr. Gołuchowski ofiarował również 100 złr., tak, że jak dr. Gerstman przedstawił, już w r. b. postanowiono wyprawić ze Lwowa pierwszą taką kolonię do Żabia (niedaleko od Kołomyi), gdzieby była pomieszczoną w dworcu Towarzystwa tatrzańkiego. Kolonia ma się składać jak

na początek tylko z 10 chłopców, których koszt utrzymania przez trzy tygodnie, obliczono na 120 zlr. Dobrze i to na teraz, a jest nadzieja, że powoli pożyteczna ta instytucja znajdzie rozpowszechnienie i poparcie u publiczności ¹⁾.

Wprawdzie tą sprawą nie wyczerpano jeszcze porządku dziennego, ale przerwano dalsze rozprawy, śpiesząc na projektowaną wycieczkę do Morszyna, miejsca kąpielowego.

III.

Aby załatwić i zaległe sprawy, zgromadzono się dnia trzeciego już o godzinie 8 rano i pierwszą rzeczą, jaką zgromadzeniu przedłożono, były referata komisji nad wnioskami oddziałów i członków.

Oddział krakowski żądał zakładania biblioteczek wydawnictw Towarzystwa pedagogicznego; oddział sokalski i drohobycki polepszenia bytu materyalnego nauczycieli, a tarnopolski zniżenia lat służby z 40 na 30. P. Sokołowski wnosi zakładanie szkół przemysłowych, p. Kościński prenumerowanie dla szkół pisma p. t.: „Świąteczko,” wychodzącego w Kołomyi, p. Żuliński przewodnika gimnastycznego p. t.: „Sokół,” p. Menerka żąda zastąpienia obrazków do nauki poglądowej Dębskiego innymi. Wszystkie te wnioski przyjęto; odnośnie do tych, które mają na oku polepszenie doli nauczycieli, ponowiono zapadłe już uchwały i polecono zarządowi głównemu, aby przy spodziewanej rewizji ustaw szkolnych w sejmie krajowym, starał się na drodze właściwej o zadosyćuczynienie prośbom nauczycieli. Na wniosek komisji lustracyjnej, udzielono zarządowi absolutoryum i uproszono dr. Zagórskiego, by i nadal zechciał piastować godność dyrektora fuduszów Towarzystwa.

Dr. Żuliński przedłożył sprawozdanie o rezolucjach roku zeszłego uchwalonych, z okazji wystawy szkolnej w Kołomyi, tyczących się robót ręcznych chłopców i dziewcząt, nauki rysunków, wypracowań

¹⁾. Byliśmy świadkami wyjazdu téj pierwszej kolonii ze Lwowa w d. 5 sierpnia. Nie dziesięciu, ale dwudziestu sześciu chłopców, dzięki ofiarności publiczności, wybrało się na świeże powietrze i pokrzepienie wątłych sił. Ubrani w mundurki Towarzystwa gimnastycznego „Sokoła,” z torbami na plecach, pod jednym sztandarem, niesionym przez najstarszego, dziękowali ze łzami w oczach reprezentacji miejskiej, a przyjąwszy w kościele OO. Bernardynów błogosławieństwo kapłana na drogę, wsiedli do przygotowanych wozów tramwaju i udali się z przewodnikami na dworzec kolejowy, gdzie uraczeni obiadem bezinteresownie przez restauratora, w przyozdobionym zieloną i chorągiewkami pociągu, udali się do celu podróży, przyjmowani wszędzie oznakami żywej sympatii.

stylistycznych i t. p. Zarządy oddziałowe miały o nich wydać opinią, gdy jednak dopiero sześć zarządów wezwaniu odpowiedziało, postanowiono na wniosek referenta jeszcze raz wezwać zarządy do wydania swój opinii i na ich podstawie powziąć stanowczą uchwałę, którą zarząd główny przedłoży komisji szkolnej.

Oddział ropczycki wniósł zakładanie burs dla synów nauczycieli wiejskich. Uchwalono tedy na wniosek referenta p. Maciołowskiego: „zarząd główny poczyni starania, aby w miastach, w których istnieją szkoły średnie i gdzie już są bursy, przyjmowano do nich synów nauczycieli wiejskich, gdzie zaś burs nie ma, należy je zakładać i popierać z funduszów Towarzystwa.”

Nakoniec wstąpił na trybunę prof. Roman Vimpeller i przedstawił zgromadzeniu wnioski oddziału tarnowskiego w sprawie budynków szkolnych. Kto nie widział naocznie, nie ma pojęcia w jakich lokalach często szkoła się mieści. Wilgotne, szczupłe i ciemne izdebki są poprostu jakby parodyą izby szkolnej i nie odpowiadają bynajmniej warunkom higienicznym. Ztąd też grasuje chronicznie między młodzieżą wiele chorób, ztąd coraz więcej krótkowidzących i ułomnych, a w skutek tego rozwój władz umysłowych, jeśli niemożliwiony, to przynajmniej bardzo utrudniony. Szereg trafnych wniosków, dążących do zmiany obecnego stanu rzeczy przedstawił referent zgromadzeniu, które poleciło zarządowi poczynienie odpowiednich kroków i uwiadomienie o stanie rzeczy przyszłe walne zgromadzenie.

Wśród rozpraw odbywały się wybory zarządu przez głosowanie kartkami. Prezesem Towarzystwa został wybrany i nadal p. Zygmunt Sawczyński, wiceprezesem również dr. Gerstman. Do zarządu weszli pp. Kowalówka, dr. Anatol Lewicki, dr. Zygmunt Samolewicz, prof. Józef Soleski, dr. Władysław Zajączkowski, dr. Alfred Zgórski. Stosowném przemówieniem zamknął prezes zjazd tegoroczny o godzinie 1 popołudniu.

Przyznawano ogólnie, że zjazd tegoroczny odbywał się dziwnie spokojnie i z niezwykłym taktem. Nam się to nie wydaje dziwném; gdzie liczba członków zaledwo 200 przechodziła, a w niej przeważnego kontyngensu dostarczyli nauczyciele lwowscy i zarząd Towarzystwa; gdzie przeto wielu mających nie jedną ważną kwestyą do poruszenia, a nie chcąc jej polecić delegatowi od wyjazdu w dalekie strony, wstrzymać się musiało; szło wszystko po myśli zarządu. Uderzył nas w tym roku, brak w programie wykładów pouczających i poruszających kwestye żywotne szkolne.

Z tegorocznego zjazdu wynieśliśmy przeto wrażenie niezbyt wesołe. Bez zakładania czarnych na oczy okularów boimy się, aby to, co istotném być powinno, nie nikto coraz więcej z porządku dziennego obrad, a główną rzeczą nie stawała się tylko „głośna manifestacya,”

przyjmowanie kadzideł i spalenie kilka fajerwerków na cześć oświaty i pracy szkolnej...

W roku przyszłym ma się odbyć zjazd (XVIII) w Tarnowie, wskutek zaproszenia tamtejszej rady miejskiej, przedstawionego przez dyrektora Br. Trzaskowskiego. A że równocześnie p. Kropiwnicki przedstawił podobne zaproszenie od rady m. Przemyśla, postanowiono je przyjąć na r. 1885.

We Lwowie, w sierpniu 1883.

Mrawski. W.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

- 1) Dr. Leon Kulczyński: Wykształcenie nauczycieli gimnazjalnych. Lwów, 1883.
- 2) Dr. Michał Bobrzyński: W sprawie naszych gimnazyów. Przegląd Polski. Zeszyt wrześniowy. Kraków, 1883.

I.

Sprawa reform i ulepszeń naszych gimnazyów, zajęła w ostatnich latach żywo umysły szerokich kół naszego społeczeństwa. Poruszana przez Towarzystwo pedagogiczne, politechniczne i lekarskie, omawiana wszechstronnie w dziennikarstwie krajowém, weszła wreszcie na porządek dzienny obrad galicyjskiego sejmu, który ostatecznie wezwał wydział krajowy, aby w porozumieniu z radą szkolną i komisją wydelegowaną przez Akademią Umiejętności w Krakowie, przedłożył projekt reformy wychowania i nauczania młodzieży gimnazyalnej.

Akademia spełniła swoje zadanie i w osobném sprawozdaniu sformułowała cały szereg wniosków, zmierzających do reformy naszych gimnazyów. Jeżeli na całość poglądów, zawartych w sprawozdaniu komisji akademickiej zgodzić się niepodobna, toć z drugiej strony sprawiedliwość nakazuje wyznać, że elaborat cały wychodził z tej głównej zasady, iż „zaprowadzenie języka polskiego nie stało się dotąd dla szkół średnich hasłem przemarodowienia tychże, że główna oś wykształcenia, jaką język krajowy być powinien, jest stosunkowo zaniedbaną, że oryginalnych książek szkolnych dotąd prawie nie ma, a tłumaczenia z niemieckiego główną odgrywają rolę.”

Sprawozdanie w tym kierunku nie oskarża nikogo, ale słusznie stwierdza, że jeżeli szkoły nasze średnie odpowiedzieć mają zadaniu swemu, jeżeli mają utrzymać się na poziomie wymaganych zarysem

organizacyjnym rezultatów, natenczas muszą być przetworzone w duchu, jakiego wymaga narodowy naszej młodzieży charakter, tradycya naszej edukacji, zasoby naszej literatury i naukowości i z tego swojego gruntu, swojską kulturą wyprowadzoną być winna roślina wychowania i wykształcenia przyszłych pokoleń. Myśl tedy zasadnicza, tkwiąca w projekcie akademickim, jest piękna i szlachetna, gdyż zmierza ku wychowaniu dobrych obywateli państwa i pragnie usunąć rażącą anomalią podawania nauk w sposób umyślnie młodzieży naszej obcy i środkami wprost z obcych, niemieckich czerpaniem wzorów, w szacie języka ojczystego.

Nie należymy do bezwzględnych wielbicieli projektu akademickiego, ale też z góry ryczałtowo potępiać się go nie ośmielamy. Jest tam wiele zdrowych myśli, dotknięto tam śmiałą dłońią wiele wad naszej organizacji szkolnej, postawiono niejedną piękną, dobrą i sprawiedliwą zasadę, a z całości wieje żywo duch obywatelski, pragnący nowych urządzeń szkolnych dla dobra kraju i młodzieży.

Stawiając bardzo słuszną zasadę, że od dobrego nauczyciela, zawisła jest dobroć i wartość szkoły, zamieściła komisya akademicka w swoim sprawozdaniu liczne propozycje, które jej się wydały najstosowniejszemi i najbardziej na czasie będącemi do zapewnienia na przyszłość lepiej przysposobionych sił nauczycielskich, a to przez 1) lepsze warunki kształcenia, 2) przez odpowiedniejszą kwalifikacyą, 3) przez zapewnienie posuwania się na coraz lepsze stanowisko materyalne i społeczne, 4) przez reorganizacyą władzy szkolnej.

Wnioski komisji streszczone krótko, bez szerokich rozumowań, bez ostatecznego ujęcia we właściwą formę ustawodawczych rozporządzeń lub instrukcyi. Miał to być zresztą tylko materyał do dalszych dyskusyi, do szczegółowego obrobienia i do późniejszej stanowczej kodyfikacyi. W tym duchu pojęto też powszechnie wnioski ankiety akademickiej, poddając je wszechstronnej krytyce, a świeżo właśnie ukazała się praca jednego ze znakomitszych naszych pedagogów, d-ra. Leona Kulczyńskiego, profesora gimnazjalnego i docenta pedagogiki w uniwersytecie Jagiellońskim, który nie polemizując wprawdzie wyraźnie z propozycjami komisji akademickiej, rozwija jednak w wielu zasadniczych punktach, odmienne poglądy na kwestyą wykształcenia nauczycieli gimnazjalnych.

Cała rozprawa prof. Kulczyńskiego, nosi charakter ściśle umiętny, zdradza rozległą znajomość literatury pedagogicznej i głębsze studia na polu psychologii, na której pedagogika bezwarunkowo oprzeć się musi. W pracy swój poruszył autor mnóstwo zagadnień pedagogicznych i dydaktycznych, dotknął ostrożnie (licząc się z drażliwem usposobieniem przełożonej władzy) wielu zбочzeń i niedostatków w ustroju szkolnym i wysnuł zarówno z teoretycznych wskazówek głośniejszych pedagogów, jak niemniej na podstawie własnego dłuższego doświadczenia szkolnego, kilka szczegółowo i dokładnie uzasadnionych projektów, tak co do fachowego, specjalnego w pewnych przedmiotach

wykształcenia nauczycieli gimnazjalnych, jak co do ich wykształcenia ogólnego filozoficzno-pedagogicznego w połączeniu z ćwiczeniami, wchodzącymi w zakres codziennęj praktyki pedagogicznój. Jeżeli autor żądania swoje w tym kierunku posunął do wysokiego stopnia, to może go istotnie tłómaczyć szczerą chęć zupełnego usunięcia złego, co odbiera żywotne soki całemu organizmowi szkolnemu, a niemniej usprawiedliwia go i to zasadnicze przekonanie, że szkoła gimnazjalna tylko wtedy wyda prawdziwie wykształconą i moralną młodzież, jeżeli znajdzie dobrych nauczycieli.

System gimnazyów austryackich polega na zarysie organizacyjnym z r. 1849, a nasz autor wychodzi z téj zasady, że ów zarys określa rozumnie ducha i zadanie szkoły i że jego twórcy, dzięki niezwykłemu talentowi i głębokiej nauce, przeistaczając dawniejszy ustroj gimnazyów, stworzyli jednolity organizm szkolny, nie żądający zbytecznego wytężenia umysłu młodzieży w naukowym kształcącój się kierunku, a z drugiej strony dążący do pogłębienia i dostatecznego rozszerzenia ogólnego naukowego wykształcenia. Chodzi tedy tylko o praktyczne przeprowadzenie świetnie obmyślanego programu nauk, chodzi o pozyskanie odpowiedniej liczby sił nauczycielskich, należycie ukwalifikowanych i do zawodu praktycznego metodycznie przysposobionych. Przygotowanie do tego zawodu odbywa się obecnie na wydziale filozoficznym, a kwalifikacyą nauczycielską przyznają kandydatom profesorowie uniwersytetu.

Na wydziale filozoficznym zaś panuje obecnie zupełna wolność studyów, a uczeń, wychodzący z gimnazyum, nie może słuchać wykładów swojego przedmiotu w pożądaném stopniowaniu, płacze się od przedmiotu do przedmiotu i niekoniecznie uczy się tego, czego sam ma uczyć. Ztąd téż słusznie domaga się autor, zgodnie zresztą z postulatem komisji akademickiej, aby uniwersytet w tych naukach, z którymi przyszli nauczyciele gimnazjalni mają się obznajmić, dostarczył najważniejszych wykładów, pewną całość zamykających, i to w ciągu czasu, w którym uczeń swoje studia odbywa, a nadto uważa za rzecz konieczną, aby, o ile to jest możebném, zaraz przy wstępie na uniwersytet objaśniono ucznia, jakie właściwie wykłady do jego fachowej nauki należą.

Obecnie dzieje się inaczej. Są przedmioty takie, o których uczeń w ciągu swoich studyów uniwersyteckich żadnego wykładu nie miał sposobności słuchać, a z których później egzamin składać musi. Wykazy prelekcyi dowodzą wymownie, że na niektórych uniwersytetach austryackich po dwadzieścia i kilka lat nie wykładano bardzo ważnych gałęzi nauk, wchodzących w zakres filologii klasycznej. Prawda, że profesorowie uniwersyteccy, jako traktujący umiejętność na jej najwyższym szczeblu, muszą się z powodu jej wielkiego obszaru każdy do pewnej specjalności ograniczyć, bo zresztą tylko w takim razie możebny jest istotny postęp w nauce i wtedy tylko może sam wykład nowością pomysłów zajaśnić. Należy jednak mieć ciągle na pamięci potrzebę

uczniów, którzy się do zawodu nauczyciela gimnazyjalnego sposobią i całość nauki w głównych zarysach objąć powinni; dla nich wystarczy, jeżeli obok kilku wykładów, naukę rzeczywiście naprzód posuwających, usłyszą inne, w których skorzystano tylko z pracy już dokonanej przez innych uczonych, uwzględniono najnowsze ich badań wyniki i rzecz treściwie i w całości żywem przedstawiono słowem. Słusznie twierdzi autor, że chociażby jedne wykłady wypaść miały lepiej, a drugie gorzej, to przecież korzyść, jakaby ztąd wynikła, mianowicie z przedstawienia całego obszaru umiejętności, zrównoważyłaby niechybnie owe ujemne strony.

Zgoda dotąd zupełna z poglądami autora, chociaż wolelibyśmy, aby był doszedł do konkluzji nieco dalej sięgającej, której wymowny wyraz dała komisya akademicka, żądając wprost, aby wykłady na wydziale filozoficznym przedmiotów głównych, jak: filologii, historii powszechnej, matematyki i fizyki, odbywały się w bardziej systematycznym porządku, tak, aby każdy kandydat mógł, przychodząc na uniwersytet, rozpoczynać studia swoje od początku, nie zaś od pewnych wyrwanych partyi i tracić daremnie czas na orientowaniu się. Dałoby się to tak urządzić, aby cały wykład nauk specjalnych był dwuletni lub trzyletni, aby każdy kurs był co rok wykładany i jako taki, był dla słuchaczy uniwersytetu obowiązującym na pewnym roku.

Potrąciwszy o te konieczne zmiany, jakie należałoby zaprowadzić w systemacie wykładów uniwersyteckich na wydziale filozoficznym, przystępuje prof. Kulczyński do kwestyi kwalifikowania nauczycieli, żądając, aby zaraz po ukończeniu triennium uniwersyteckiego składał kandydat ustny i piśmienny egzamin z pewnej grupy przedmiotów fachowych, którym się poświęcić zamierza. Otóż myśl ta, zdaniem naszym, praktycznie nie da się urzeczywistnić, témbardziej, że autor nie chce wcale zmniejszyć dotychczasowych wymagań, stawianych kandydatom przy egzaminie rządowym pro facultate docendi; owszem, żąda rozległej, pewnej i gruntownej wiedzy fachowej, żąda licznych kolloktywów i prac piśmiennych, zarówno domowych, jak klauzurowych. Rzadkie to bardzo przykłady w austriackich uniwersytetach, aby po ukończeniu triennium kandydat był w stanie tak obszerny materiał naukowy pogłębić i poważył się odrazu do egzaminu zasiadać. Ztąd też wydaje się nam o wiele praktyczniejszym i nierównie łatwiej przeprowadzić się dającym program komisji akademickiej, która pragnie rozszerzenia studyów uniwersyteckich na wydziale filozoficznym do lat czterech i zaprowadzenia po każdym dwóch latach obowiązkowego egzaminu rządowego.

Godząc się na tak ogólnie zarysowany program projektu akademickiego, pragnęlibyśmy w szczegółowym jego rozwinięciu niektórych zmian. Zdaniem naszym, dwa pierwsze egzamina rządowe ograniczać się winny wyłącznie do fachowych przedmiotów; podział tego fachowego materiału na dwie części umożliwi kandydatom należyto zorientowanie się w wymaganiach, ułatwi swobodny rozkład naukowej pracy

i doda otuchy do śmielszego zgłaszania się do egzaminu. Wszak w ten sposób składają się egzamina prawnicze i odbywają się rygorozna medyczne.

Na ostatnich kursach uniwersyteckich winien kandydat obowiązkowo słuchać teoretycznych wykładów pedagogiki, której znaczenie i wpływ na wykształcenie praktyczne dobrego nauczyciela prof. Kulczyński zbyt przecenia. Jakkolwiek bowiem znajomość teoretycznej pedagogiki słabemu i mniej uzdolnionemu nauczycielowi nieco dopomóż, a nauczycielowi z wrodzonym niejako do tego zawodu powołaniem zaszkodzić nie może, to jednak przeznaczać specjalnie na to studyum cały rok, lub co bardziej rozwlekać je aż na dwa lata, nie wydaje się nam rzeczą konieczną, ani odpowiednią, a to tém więcej, skoro sam prof. Kulczyński przyznaje, iż pedagogika, „jako umiejętność młoda, mieści w sobie wiele jeszcze zagadnień nierozstrzygniętych, bo główna jej podstawa, to jest psychologia, chroma dotąd w niejednym punkcie” (str. 68).

Dopiero po złożeniu drugiego egzaminu rządowego z przedmiotów fachowych, wprowadzilibyśmy kandydata na praktykę do gimnazjum wzorowego, złożonego z wybranych i wypróbowanych sił nauczycielskich. Po roku takiej praktyki kandydat odbędzie egzamin z teorii pedagogiki, w połączeniu ze zdaniem sprawy z postępu w praktyce szkolnej i to przed komisją złożoną z profesora pedagogii w uniwersytecie i czynnych w szkole wzorowej nauczycieli. Gimnazjum wzorowe musi być w mieście posiadającym uniwersytet, a przeto w Galicyi dałyby się utworzyć dwa takie gimnazyja: jedno we Lwowie, a drugie w Krakowie.

Jaką ma być organizacya takiego gimnazjum wzorowego, jak harmonijnie mają w niem funkcyonować wszystkie siły nauczycielskie, jakie wreszcie obowiązki ma w niem spełniać sam kandydat, to wszystko rozwinął prof. Kulczyński dokładnie i każdy szczegół wszechstronnie wymotywował. Ta część rozprawy jest bezsprzecznie najbardziej samodzielnie pomyślana, a jakkolwiek sam pomysł stworzenia takiej szkoły wzorowej, nie jest ani nowym, ani oryginalnym, to jednak zupełnie oryginalnym jest plan i sposób, w jaki podobną szkołę należałoby urządzić, ażeby swemu ważnemu zadaniu w całej pełni odpowiedzieć mogła. Niepodobna jednak milczeniem pominąć, że ten plan zakreślony w nieco idealnym zarysie, że liczy się on może zamożności z rzeczywistymi warunkami naszej szkoły, i że w praktycznym zastosowaniu natrafiłby na liczne trudności, z których najwალniejszą byłoby właśnie wyszukanie tych doświadczonych sił nauczycielskich, z tak znakomitą kwalifikacyą naukową i z tak wzorową aplikacyą, jakiej się autor słusznie domaga; a przecież bez należycie dobranej obsady profesorów, gimnazjum wzorowe z rzeczywistym pożytkiem działałoby absolutnie nie mogło.

Jeszcze jeden zarzut uczynić należy księżce prof. Kulczyńskiego, a mianowicie, że autor po długich, w ściśle naukowym tonie trzymany wywodach teoretycznych, nie formuluje wyraźnie swoich ostate-

cznych wniosków praktycznych. Z luźnie rozrzuconych myśli i uwag, musi sobie dopiero czytelnik sam stwarzać właściwy plan nowej organizacji szkolnej. W dziele, które występuje z nowymi projektami reformy edukacji publicznej, było koniecznym ujęcie tych projektów w jakieś jasne, krótko, a dobitnie stylizowane artykuły, bo w ten sposób odślania się w pełnych kształtach cały obraz proponowanej organizacji. Uderzyć musi w końcu każdego czytelnika i to, że w całym swoim przedstawieniu niemal wyłączny wzgląd zwraca autor na wykład filologii klasycznej zarówno w uniwersytecie, jak też w owym gimnazjum wzorowym; tłumaczy się to t \acute{e} m, że prof. Kulczyński z zawodu poświęca się właśnie studjom filologicznym.

Na zakończenie dorzucamy jeszcze jedną ogólną uwagę. Poznaliśmy, że projekty prof. Kulczyńskiego nie są nowe; poruszano i omawiano je niejednokrotnie w pismach i dziełach fachowych, na zjazdach słynnych pedagogów, w przeważnej części znajdują się one w sprawozdaniu komisji akademickiej, a nawet potrzebę zaprowadzenia seminariów dla nauczycieli gimnazjalnych we Lwowie i Krakowie, podniósł przed kilku laty poseł Zoll na sejmie galicyjskim. Zasługa jednak główna prof. Kulczyńskiego polega na t \acute{e} m, że obznajmiwszy się szczegółowo z całą tak bogatą literaturą pedagogiczną, tego przedmiotu dotyczącą, wysnuł z niej najbardziej pouczający i objaśniający materiał, podniósł z całą siłą przekonania wielkie zalety austriackiego zarysu organizacyjnego, uzasadnił potrzebę studyów pedagogicznych dla kandydata nauczycielskiego i rozwinął trafnie plan wzorowego gimnazjum. Uznanie należy się autorowi właśnie za to, że nie goniąc za jakąś świetną, napozór błyszczącą oryginalnością myśli i nie tworząc urojonych, w teorii imponujących, ale w praktyce niemożliwych instytucji, z całego chaosu wniosków, projektów i memoriałów, wy dobył wskazówki i myśli przez teorią i praktykę pedagogiczną poparte, i na ich zasadzie osnuł program organizacji szkolnej, który bez wielkiego trudu, bez znacznych kosztów i bez gwałtownych i radykalnych reform, w życie mógłby być wprowadzonym.

II.

Z innego stanowiska podjął kwestyą reformy naszych gimnazyów dr. Bobrzyński. Jako profesor uniwersytetu, nie potrzebował się on liczyć z zadowoleniem lub niezadowoleniem krajowej rady szkolnej, a ztąd t \acute{e} ż z całą bezwzględnością uderza przedewszystki \acute{e} m na tę najwyższą naszą magistraturę edukacyjną za to, że memoriał Akademii niby skrytykowała i ryczałtem odrzuciła; ale sama żadnego projektu nie obmyśliła. Że rada szkolna, jako ciało zbiorowe, jako władza, grzeszy brakiem woli, tego dowód jasny upatruje prof. Bobrzyński nietylko w j \acute{e} y zachowaniu się w sprawie reformy gimnazyów, nietylko w postępowaniu j \acute{e} y w sprawie książek szkolnych, ale szczególnie w obecnym stanie gimnazyów. Od swoich uczniów uniwersyteckich dowie-

dział się prof. Bobrzyński, że co do wykładów i nauki panuje w naszych gimnazyach bezprzykładna dowolność, a na podstawie wiadomości z innych zapewne poczerpniętych źródeł, przyszedł do przekonania, że w całym ciele nauczycielskiem istnieje wielki brak karności i harmonii, że dyrektorowie zajęci biórową administracją, nie mają dosyć czasu na naukową kontrolę, że wizyty inspektorów są rzadkie i niedostateczne, że powaga dyrektorów w obec podwładnych minimalna, a powaga rady szkolnej w obec hierarchii nauczycielskiej niemal żadna.

Z tak luźnie rzuconych uwag swoich, wyciąga prof. Bobrzyński w końcu ten wniosek praktyczny, iż gimnazyja nasze dźwigną się i staną na wysokości swojego zadania, skoro tylko rozumne i wzorowe przepisy zarysu organizacyjnego w całej pełni wejdą w wykonanie i skoro przeprowadzoną zostanie pożądana reforma krajowej rady szkolnej. Nie żąda prof. Bobrzyński reform radykalnych, któreby się dały skutecznici tylko w drodze ustawodawstwa państwowego i mogłyby napotkać na stanowczą niechęć w centralnym rządzie wiedeńskim, ale sądzi, że ta reforma dałaby się skutecznici nawet bez zmiany obowiązującego statutu rady szkolnej, opartego na rozporządzeniu cesarskiem. Plan podobnej reformy streszczałby się w następujących punktach:

1. Konieczną jest rzeczą przedewszystkiem, ażeby namiestnik, zachowując sobie najwyższy kierunek, skorzystał z prawa przyznanego mu artykułem IV statutu i zamianował zastępcę swego jako stałego wiceprezydenta rady szkolnej krajowej, oczywiście człowieka, któryby sam od rady nie zależał, a obdarzony naukową powagą i szerokim na sprawy szkolne poglądem, miał ambycją spełnienia wielkiego zadania i poczucie wielkiej odpowiedzialności swego stanowiska.

2. Pożądana jest zmiana regulaminu rady szkolnej, któraby ściślejszy rozdział przeprowadziła pomiędzy zwykłymi czynnościami biurowej administracji szkolnej, a sprawami ogólnemi należąciami do rady. Posiedzenia rady możnaby z góry oznaczyć i na kadencje podzielić, a wynagrodzenie członków rady uregulować sposobem dyet. Nie trzeba jednak wkładać na nich zwykłych biurowych czynności. Z takiego uregulowania wyniknęłaby jeszcze jedna znakomita korzyść. Oto rada szkolna, która dziś rozporządza tylko siłami miejscowemi Lwowa, miałaby wówczas na zawołanie najznakomitsze siły całego kraju i natychmiast inny duchby ją ożywił.

3. Wyrobić się powinno w opinii publicznej przekonanie, że członkiem do rady szkolnej z wyboru powołanym, nie powinien być dyrektor, czy nauczyciel szkół radzie podległych, a więc od rady i inspektorów zawisły. W radzie zasiadać powinni ludzie niezależni, znający potrzebę kraju i opinią jego reprezentujący, ludzie w panującym systemie i jego praktyce nie zagrzęźli i zdolni do ożywczej jego krytyki i badania.

Do takich tedy rezultatów doszedł ostatecznie prof. Bobrzyński. Artykuł jego wywarł ogólniejsze wrażenie; przedrukowany w „Czasie,” dostał się odrazu do rąk szerszej publiczności, przed której oczyma poraz pierwszy może przesunął się pełniejszy obraz szkodliwych praktyk szkolnych, schwytyanych na gorącym niejako uczynku. Artykuł ogłoszony tuż przed zebraniem się galicyjskiego sejmu, który ma właśnie podjąć reformę szkół, odsłonił bez ogródek naszym postom wiele wad i niedostatków naszej szkoły, a podane wyżej ostateczne postulaty, mogłyby w danym razie być poniekąd programem dla sejmowej komisji akademickiej. Rozpatrzmy jednak bliżej cały ten plan, wyrażony krótko i sformułowany jasno z precyzją bystrego prawnika.

Punkt pierwszy projektu nie jest nowym i da się łatwo przeprowadzić. Myśl tę poruszyła już wyraźnie komisya akademicka wnosząc, aby na czele rady szkolnej stanął w myśl uchwał, przez sejm galicyjski w roku 1880 powziętych, jeden dyrektor wychowania publicznego, w którego ręku spoczywałaby władza wykonawcza i kontrolująca. Taż sama komisya żądała również, aby do rady szkolnej należały wyłącznie sprawy pedagogiczne i dydaktyczne szkół.

Nowością jest tylko propozycja dalsza prof. Bobrzyńskiego, co do stałego oznaczenia posiedzeń rady szkolnej, podzielenia ich na kadencye, a wynagradzania członków sposobem dyet. Prawda, że w takim razie mogłaby jakaś znakomitsza osobistość, mieszkająca n. p. w Krakowie, zasiadać w lwowskiej radzie szkolnej, ale nasuwa się ważne pytanie, czy taki, że się wyrażamy, sejmik pedagogiczno-dydaktyczny, zbierający się co kwartał, lub nawet co miesiąc, mógłby wszystkie kwestye gruntownie roztrząsnąć i czy nie zachodzą często sprawy takie, zarówno pedagogicznej, jak dydaktycznej natury, które wymagają natychmiastowego i stanowczego załatwienia? Pozyskanie tedy takiej znakomitszej siły z poza Lwowa, mogłoby być czasami drogo okupionem.

Punkt ostatni wreszcie zawiera tylko życzenie, aby się wyrobiło w opinii publicznej przekonanie, że członkiem wybranym do rady szkolnej, powinien być człowiek niezawisty od rady i inspektora. Podzielamy to zdanie w zupełności, załączamy, że się od r. 1867 ta opinia jeszcze nie wyrobiła, ale sądzymy, że może daleko właściwiej byłoby wybory tych autonomicznych członków rady przenieść do sejmu, jako do naczelnój reprezentacji kraju całego, gdzie nie wchodziłyby w grę pewne uprzedzenia i zachcianki przypadkowej większości rad miejskich, ale rozstrzygałyby wyłącznie względy podniesione słusznie przez prof. Bobrzyńskiego.

Lecz porzućmy dalsze rozstrząsanie projektu prof. Bobrzyńskiego i przypuśćmy, że on w całej rozciągłości wejdzie w życie. Czyż w takim wypadku na seryo twierdzić można, że nasze gimnazya zakwitłyby i że wychodziłaby z nich młodzież pod naukowym i moralnym względem należycie wyrobiona? Projekt prof. Bobrzyńskiego stwarza tylko posadę wiceprezydenta rady szkolnej i zapowia-

da stosowniejszy wybór dwóch delegatów autonomicznych. I czyż taki tryunwirat zdoła tchnąć nowego ducha w cały organizm szkolny i wywołać na tém polu odrodzenie? Na to potrzeba jeszcze wielu innych czynników twórczo i ożywczo działających.

Cóż poradzi rada szkolna, choćby z najrozumniejszych członków złożona i przejęta najgorętszymi chęciami, jeśli nie będzie miała do dyspozycji dzielnych dyrektorów i należycie wykształconych nauczycieli? Zapewne nie ograniczy się ona tak, jak obecnie, do wydania licznych, nie zawsze ze sobą w harmonii zostających rozporządzeń i wskazówek, dotyczących nauki języka niemieckiego; zapewne nie zamknie się w ciasnym kole, dziś powszechnie zwanego *s t e m u k r a t k o w e g o*, wypełnianego tak skrupulatnie, jak się wypełniają biurokratyczne druksorty austriackie i kontrolowanego tak ściśle, jak się kontroluje cyfry bankowego rachunku. Przyznajemy, że samo złamanie tego systematu byłoby czynem wielce dodatnim, bo system ów wniknął dzisiaj we wszystkie niemal szczegóły nauki gimnazjalnej, począwszy od ortografii polskiej i niemieckiej, ujętej w staranne rubryki, a skończywszy na historii kraju rodzinnego, zamrożonej w sztywnych tabelarycznych formułach daty, tytułu i suchego opowiedzenia faktu. Ale pamiętać należy, że ów system jest ulubionym i pieszczonym dzieckiem podobno jednego tylko członka rady szkolnej i że przeto bez gwałtownych walk dałby się jednym zamachem raz na zawsze obalić.

Wierzymy zresztą, że w radzie szkolnej kilku nowych członków niezależnych, znających potrzeby kraju i opinią jego reprezentujących, zdrową swoją inicjatywą i energicznym działaniem, mogłoby bardzo wiele dobrego dla szkoły w Galicyi zdziałać, ale wszystkiego złego stanowczo nie usunąć. To właśnie wprowadzenie do rady szkolnej nowych żywiołów, niezagrężonych w biurokratycznym systemie i pedantycznej rutynie, należałoby złączyć z temi propozycjami, jakie rozwinął i uzasadnił prof. Kulczyński w swojej rozprawie, a więc z systematycznym uregulowaniem nauki kandydata nauczycielskiego w uniwersytecie, z obmyśleniem odpowiedniej ich kwalifikacji i z utworzeniem wzorowych gimnazyów. W ten sposób zyskanoby dobrych nauczycieli. Obowiązkiem rządu byłoby następnie wybierać naukowo wykształconych i pod względem pedagogicznym znakomicie wypróbowanych dyrektorów i inspektorów, a wówczas w samej radzie szkolnej zapanowałoby musiał inny duch i wyrobiłyby się jakieś idealniejsze pomysły i dążenia, a wszystko to wyszłoby niewątpliwie na korzyść kraju i młodzieży naszój.

Michał Chyliński.

Klemens Kantecki: Szkice i Opowiadania. Poznań, u J. Leitgebra, 1883.

W szeregu wydawnictw z bieżącego roku „Szkice i Opowiadania” p. Kanteckiego zasługują na uwagę przed innemi, jako książka wielce zajmująca. Mieści się w niej szesnaście osobnych artykułów. Nie są to jednak prace nowe, bo drukowano je dawniej już w czasopismach lwowskich. Ale jak ze względu na szerokie koła czytelników, tak i ze względu na szczupłe zastępy uczonych, dobrze się stało, że je zebrano razem i wydano osobno. Pierwsi znajdą w niej interesujący przedmiot czytania; drudzy mają zniesiony na jedno miejsce szereg prac, małych wprawdzie, ale źródłowych i rzucających niekiedy nowe światło na pewne szczegóły historycznego żywota Polski.

P. Kantecki korzystał przedewszystkiem ze skarbów rękopiśmiennych, zgromadzonych w Zakładzie Imienia Ossolińskich; korzystał umiejętnie i ostrożnie, jak to zwykł zawsze czynić; korzystał nadto z tym zasobem literackiego taktu, który ani przecenia historycznego materiału, ani go nie używa za kanwę dla literackiego gadulstwa. O tych okolicznościach wspominam dla tego, że ostatniemi czasy niektórzy autorowie w rozprawkach i opowiadaniach historycznych nie mało pod tym względem zawinili. Rzecz drobną rozwałkować nieproporcjonalnie zapomocą utartych ogólników, znaczy to podobno, według ich zdania, być miłym gawędziarzem historycznym. Każdy fragment starego rękopismu, każdy urywek pożółkłego listu, choćby to był „tylko od ekonomia list,” albo „przymierze wiecznej miłości z Handzią lub Marylką,” przedstawić jako jądro jakiegoś straszego dramatu przeszłości, którego wątek autor właśnie usiłuje pochwycić i na wielu, wielu stronicach chwytą go z wcale miłym skutkiem—nazywa się to podobno intuicyjnie odgadywać przeszłość. Powiedzieć o stariej kartce to tylko, co o niej powiedzieć należało, wydaje im się być sztuką, przechodzącą siły historyografa. Usiłują natomiast powiedzieć bardzo wiele rzeczy à propos, bardzo wiele—lub więcej nawet. Wskutek tego niektóre „szkice,” lub „opowiadania” historyczne, zamiast być tém, czém być powinny, stają się trochę gawędą, trochę plotką, trochę powiastką i w końcu... trochę historyą. Niektóre, powiadam, gdyż naturalnie nie wszystkie.

„Szkice” p. Kanteckiego nie należą do tych gawęd pretensyjnych, które zganić należy. Cechuje je pewna jedrność. Bez pretensyi do dramatyzowania pospolitych drobiazgów, bez rozwlekłości, która się sztukuje komunałami, aby przy pomocy kawałka starego szpargału stworzyć filozofią dziejów jakiejś nieznanej parafii, podaje nam autor ciekawe dane z bogatych zapasów, nagromadzonych w Zakładzie Ossolińskich. Podaje i objaśnia o istotnym znaczeniu ich w sposób o tyleż zajmujący, co naukowo poważny i umiejętny.

Rozmaitość w treści „Szkiców” wielka. Nie ma w nich ciągu, ani łączy ich wspólność przedmiotu. Pisał je bowiem autor różnemi czasami, zupełnie od siebie niezależnie. Jedno powiedzić można, że w większości dotyczą ludzi i zdarzeń z XVIII-go wieku, tego uprzywielejanego w historyografii naszej ostatnich czasów wieku. Tłómaczy się to ogólnym skierowaniem prac i wydawnictw naukowych do bieżącej doby z jednej strony, z drugiej zaś obfitością materiałów odnośnych, jakie muzeum Ossolińskich posiada. O wiek XVII potrąca autor rzadziej, jakkolwiek zupełnie go nie pomija. Owszem, do niego należy jeden z najciekawszych szkiców w książce, mianowicie opowieść o samozwance, Agnieszce Machównie, wyczerpnięta ze starych notat jakiegoś deputata na trybunał lubelski. Bliższe nam czasy uwzględnione zostały mało lub wcale, jeżeli zwłaszcza wyłączymy z rachuby artykuł sprawozdawczy o jednym z dramatów Szajnochy.

Rozpoczynają rzecz „Kłopoty dyrektora teatru.” Dyrektorem w kłopotach jest zasłużony około teatru polskiego Wojciech Bogusławski. Za materiały opowiadania posłużyły autorowi własnoręczne listy Bogusławskiego, pisane z Warszawy do Lwowa, do niejakiego p. Tomaniewicza, zostające w posiadaniu Zakładu Ossolińskich. Listy te pochodzą z r. 1799, w którym, po nieszczęśliwym finansowo pięcioletnim pobycie we Lwowie, dyrektor, obarczony długami, przeniósł się z towarzystwem do Warszawy. Dają one poznać cały ciężar trosk, które go trapiły, i niezłomną wytrwałość, z jaką zwalczał liczne trudności położenia. P. Kantecki w porę przypominał, że w r. 1883 przypadła stuletnia rocznica chwili, gdy Bogusławski z woli Stanisława Augusta został przedsiębiorcą i dyrektorem teatru. Należałoby się słusznie pomyśleć o uczczeniu pamięci niepospolitego tego człowieka.

Szkic o „Generale artylerji koronnej” oparty jest także na autografach Zakładu Ossolińskich. Obok znanj z kądinąd charakterystyki Fryderyka Brühla, syna głośnego ministra Henryka, znajdujemy tu wyjątki z ciekawej jego korespondencji z r. 1778, kiedy donosi królowi z Pforthen o przebiegu wszczętej świeżo wojny między Austryją i Prusami. Ciekawszy jednak jest list Fryderyka do generała Komarzewskiego (z Drezna, 28 lipca 1778), w którym wyraża opinią swoją o znaczeniu i doniosłości Kamieńca, jako twierdzy. Wbrew utartym zapatrywaniom przekonujemy się, do jakiego stopnia Brühl, który również dobrze znał sztukę wojskową w ogóle, co i Kamieniec, lekceważył tę „jedną z najniebezpieczniejszych forteczek w Europie i komendanta jej Witta, „papkę, który nie przestanie nigdy wiele gadać, a robić będzie same tylko głupstwa i jest przedmiotem nienawiści wojska.”

„Przygody szpiega” wyjęte są z bezimiennego pamiętniczka, znalezionego w paryżkiem archiwum koronnem. Dotyczą wyprawy dyplomatycznej jakiegoś francuzkiego agenta, który czasu walk między Leszczyńskim i Augustem III wysłany był z Paryża do Polski w interesie rządu swojego i „dobrego króla Stanisława.”

„Samozwanka,” to owa Agnieszka Machówna, o której wspo-

niałem. Dziwna i niezwykła postać, a jak się zdaje, w swoim rodzaju jedyna. Awanturnicze ję życie z wielu względów zasługiwało na odgrzebanie z pyłu niepamięci, jest ono bowiem ciekawą kartą z historii obyczajowej Polski. Córka dobosza z Dubna i matki chłopki z Kolbuszowój, własnym przemysłem staje na wyżynach społeczeństwa, opływając w zbytek i dostatki. Jak? Dlaczego? Kluczem zagadki jest... piękność. Ożeniona z kozakiem Zatorskim, porzuca go po dwakroć, a ogładziwszy się nieco w Krakowie i w Warszawie i przybrawszy nieprawnie znane w Rzeczypospolitej nazwisko Zborowskich, wikła w miłosne sieci niejakiego Collalti, oficera wojsk cesarza Leopolda I-go, z którym téż, jako małżonka, wyjeżdża do Wiednia. Po pewnym czasie Collalti wypędza lekkomyślną żonę. Odwdzięczając mu się za to, pani Zatorska za pośrednictwem rządu cesarskiego egzekwuje z dóbr męża na swoją korzyść kilkadziesiąt tysięcy talarów, poczem, nie czekając długo, wychodzi poraz trzeci zamąż za młodziutkiego Stanisława Rufniowskiego, kasztelanica bieckiego. Niedoświadczona pacholę bogatego rodu, spotkawszy podczas wojażu piękną Machównę, podającą się znów za Zborowską, pokochało ją. Po roku młody małżonek umiera, a owocem związków tych jest dziecię, które służy pani kasztelanicy za pozór do przywłaszczenia sobie majątku nieboszczyka męża. Tutaj dopięro spotyka pierwszy kamień obrazy. Krewni kasztelanica stają w obronie dóbr zmarłego i wsparci na pogłoskach, które zaczęły już szarpać sławę uroczej awanturnicy, podając w podejrzenie przynależność ję do rodziny Zborowskich, wytaczają ję proces kryminalny. Podczas procesu, trwającego całych lat cztery, piękna pani wychodzi jeszcze raz zamąż, za starostę łukowskiego, St. Domaszewskiego. Ten, jako mąż, udziela ję przez chwilę pomocy w walce. Wreszcie, przekonana o występki, w r. 1681 zostaje przez trybunał lubelski skazana na szarpanie kleszczami i na ścięcie. Wyrok wykonano, a jedyną pamiątką po niezwykłej bądź cobądź awanturnicy jest stara notata szlachezca deputata w rubryce „curiosów” i wiersz poety, uderzonego losami kobiety, która była przez chwilę „świata dziwowiskiem!”

Znam ja, którąm w Polsce zrodziła się w cieniu.

Byłam wszystkim z gładkości w wielkim poważaniu,

Piękność moją z anioły niemal porównano

Zkąd i wielkich parentel być mię poczytano. (Gawiński).

„Pan Podskarbi” jest doskonałą, na autografach również opartą charakterystyką Jana Jerzego Fleminga.

„Za króla Sasa” zawiera przyczynek do charakterystyki położenia kraju w smutnej epoce walk pierwszego Sasa o tron polski. Mianowicie z manuskryptu p. t. „Żałosna ale prawdziwa relacya o ekscesach ludzi nadwornych, alias Harwatów, za królem JMcią z Litwy powracających, a po Mazowszu i Podlasiu hostilissime grasujących” (z r. 1702), wyciąga autor wiadomości o nadużyciach, jakich się dopu-

szczały wojska saskie, nadużyciach nie mniejszych od tych, o jakie oskarżano szwedów. Oto mały wyjątek: „Rozpuścili czambuły szeroko, nie już chałupy i domy poddańskie, ale dwory szlacheckie najeżdżając, rabując, pieniądze, suknie, srebra zabierając, więżąc, na kołkach do góry nogami wieszając, dymem kurząc, nakoniec żony i córki poczciwości pozbawiając, tak dalece, że na wieść pochodu ich, jako przed hordą białogłowy szlacheckie na mil kilka po lasach uciekać musiały, a szlachta słysząc o tak bezecnój tyranii do kapitana Geismarn i Hendego zewsząd prośby zasyłała, okupując dobra swoje. I wzięli tu we dwóch niedzielach na kilkadziesiąt tysięcy, i to w talarach, gdyż na szelągi i patrzeć nie chcieli.”

Najobszerniejszym i najważniejszym ustępem książki, jest rozdział p. t. „Karol XII w Polsce i w Turcyi.” Zestawił tutaj autor obok siebie dwa niewydane dotąd pamiętniki. Jeden pióra Stanisława Poniatowskiego, ojca Stanisława Augusta; drugi nieznanego autora. Pierwszy znajduje się w archiwum książąt Czartoryskich, we współczesnym odpisie p. t. „Memoire ou plutôt une relation du Polatin de Masovie des événements de sa vie depuis sa sortie de chez lui, faite à la requisition de sa Famille, 1734, 22 Janvier;” drugi z tegoż mnięcej czasu, dotyczący tych samych w znacznej części wydarzeń, lecz o tyle ciekawszy i ważniejszy, że zajmuje się mnię szczegółowo i wyłącznie sprawami Karola XII, a natomiast wnika głębiej w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Dwa te pamiętniki uzupełniają się nawzajem. Razem wzięte są cennym bardzo nabytkiem historycznym, rzucającym często promienie nowego światła na wydarzenia i ludzi. Ciekawych bliżej poznać te pamiętniki, odsyłam do samej książki. „Poniatowscy” i „Król bez tronu” dotyczą rodziny Stanisława Augusta i jego samego. W pierwszym z tych szkiców znajdujemy z listów króla wyjęte wiadomości o stosunkach jego z dziećmi, generałem Cichockim i panią Szwanową, o których losy król zdaje się serdecznie troszczyć. W drugim, między innymi przytoczone trzy koncepta abdykacyi. Pełnomocnicy rosyjscy „pracowali nad ich stylem” z powodu że królowi trudno się było zdecydować i chciał być zastępnym czyn swój pozorami dobra publicznego. Zresztą, nie nowe, ale sprawiedliwe słowa autora oceniają jak należało małoduszny postępek Poniatowskiego. Postępowanie jego po wyjeździe do Petersburga, jakkolwiek daje się wytkomaczyć do pewnego stopnia na jego korzyść, dowodzi przecieź małoduszności i upadku człowieka. „Głowę ma zaprzątniętą tysiącem drobnych interesów” pisze o nim Repnin do cesarzowej. Głowa ta, była jak gdyby do nich stworzoną.

„Biskup Krasieński w r. 1787,” jest ciekawym urywkiem z historyi Kamieńca, a ubocznie i z historyi myśli i obyczaju. Za materyał posłużyły listy prymasa, króla i bardziej od nich zajmujący list samego biskupa do nieznanej korespondentki, w sprawie usunięcia z wewnątrz forticy zakonników.

„Początek Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich,” zawiera rys dziejów powstania doniosłej tej instytucji. W innym ustępie, o autografach tegoż Zakładu, zwraca autor uwagę na niedostateczne zainteresowanie się bogatym zbiorem tych autografów: ponieważ można z nich wyciągnąć wiele szczegółów, które nie są bez znaczenia, jeżeli chodzi o przedstawienie moralnej fizygnomii epoki. Sam autor skorzystał z niektórych. Znajdujemy w szkicu niniejszym przedrukowanych kilka listów znakomitych osobistości, jak: Krasickiego, Wacława Rzewuskiego, Niemcewicza, Michała Grabowskiego i t. d. a nawet wiersz polski (sic) kardynała Mezzofantego, urywek listu Ludwika XVIII do jakiejś pięknej polki i inne. J.

„Poètes grecs contemporains,” par Juliette Lamber. Paris,
1881.

Zaznajamiając czytelników „Biblioteki Warszawskiej,” o ile pozwalają na to siły nasze, z ruchem umysłowym cywilizowanego świata, nie dotknęliśmy jeszcze narodu, który kiedyś Europę całą karmił genialnymi płodami swego ducha. Jeżeli Grecya nowożytna zawiodła nadzieje filhelenów, jeśli nie odrodziła pięknej epoki Peryklesa, jeśli nie wydaje nowych Arystotelesów i Fidyaszów i w ogóle niczem nie przypomina dawniejszej chwały, to jednak, bądź co bądź, zasługuje na to, żeby poznać bliżej dzisiejszych jej synów, którzy płodami natchnienia, zrodzonymi pod wpływem najgorętszego patriotyzmu, rozbudzili narodowego ducha, odrętwiałego w długiej niewoli.

Kiedy Grecya — mówi Rangabé — legła pod jarzmem ottomańskim, mniemano, że się już z niego nie dźwignie. Wielka pochodnia jej życia rzuciła te ostatnie iskry, którym Europa zachodnia zawdzięcza ognisko współczesnej cywilizacji, poczem zdawała się zgasnąć na zawsze. Dziki zwycięzca sponiewierał po barbarzyńsku kraj podbity, w którym też wszelkie życie publiczne zamarło, wszelki ruch ustał. Noc i milczenie zapanowało na ziemi niegdyś tak promiennej, a ciemnota znalazła tam swe siedlisko, gdzie wiedza najżywszym jaśniała blaskiem. Lecz, żeby się przekonać czy całun tyranii pokrywał w istocie trupa tylko, badajmy literaturę narodu z epoki jego letargu, tak jak badamy lustro przyłożone do ust konającego, żeby na kryształe dojrzyć technienie ostatnie nadziei i resztkę życia.

Autorka książki, którą mamy przed sobą, dzieli nowo-grecką li-

teraturę na cztery szkoły: jońską, konstantynopolską, ateńską i e-pirską.

Wyspy jońskie są częścią Grecyi, która najmniej uległa wpływom cudzoziemskim, najmniej też straciła z oryginalności swojej. Nigdy muzulmanin nie sięgnął tutaj. Do chwili przejścia pod panowanie Anglii, to jest aż do początku tego wieku, wyspy jońskie należały do Wenecyi, której rządów z rządami Porty porównywać nawet nie można. W chwili, gdy wszystkie dzieci Grecyi upadały pod brzemieniem nieszczęść, mieszkańcy wysp jońskich mieli swobodę, umozębniającą wszelki rozwój, to też ztąd właśnie wyszli najznakomitsi poeci współczesnej Grecyi: Solomos i Valaoritis.

Denis, hrabia Solomos urodzony r. 1798 w Zante, całą swą naukę szkolną i uniwersytecką we Włoszech odbywał, nie przewidując nawet, żeby kiedykolwiek tworzył pieśni w języku ojczystym, który wówczas był mu obcy prawie. Dopiero poezye Rigasa i Christopulosa, dyszące nienawiścią do najezdzców, a czcigodną dla Grecyi, rozbudziły w Solomosie miłość mowy ojczystej, którą też odtąd gorliwie poznawać i całym sercem miłować począł. Przyjaźń z Spiridyonem Trykupisem, przyszłym historykiem rewolucyi greckiej, dokonała przewrotu w duszy Solomosa, tak, że z tej przyjaźni dwóch patryotów wystrzelił „Hymn do Wolności,” który całą ziemię grecką od krańca do krańca zelektryzował, roznosząc sławę autora i po Zachodzie. I dziś jeszcze utwór ten jest hymnem narodowym Grecyi, rozbrzmiewającym przy dźwiękach muzyki Manzara, przy każdej uroczystości patryotycznej. Twórca hymnu, napisawszy jeszcze wiele innych utworów, z których piękniejsze: „Hymn do lorda Bajrona” (po jego śmierci) „Otruta,” „Śmierć Sieroty,” otoczony czcią powszechną, zakończył żywot z goryczą w duszy (w Korfu 1857), że się nie doczekał wcielenia macierzystych wysp jońskich, do całości ziemi rodzinnej.

Andrzej Kalwos urodzony na Zante w r. 1796, odebrał także wykształcenie we Włoszech, poczem wraz z Foscolo przebywał w Londynie, tu się ożenił z angiolką i tu też wyrobił sobie opinią uczonego i poety. Wysoki polot natchnienia, indywidualność ducha i wyrazista oryginalność formy, stawiają go w rzędzie pisarzy niepospolitych, ale odrębny jakiś język, nie będący ani mową ludu, ani uczonych Grecyi, lecz właściwy jedynie Kalwosowi stanął na przeszkodzie do popularności tego poety. Brakło Trikupisa, któryby mu jak Solomosowi powiedział: „Śpiewaj z grekami, jeśli chcesz, żeby ciebie Grecya opiewała.” To też Grecya nie opiewała twórcy „Ód,” które dla ich uprzyśtępnienia ogółowi, trzeba było przekładać na język grecki. Bądź co bądź Kalwos jest poetą prawdziwym, jak to widać, chociażby tylko z jego ód „Miłość ojczyzny” „Chios” „Statki palne” „Morze” i innych, gdzie opiewa epopeę tragiczną narodu, umierającego z nadzieją, że żyć będzie. Liryzm jego jest szczery, obrazy proste a wielkie, uczucie silne a zwarte, myśl szlachetna; nigdzie przesady, nigdzie fałszywego entuzjazmu, wszędzie poczyna prawdziwa. Straciwszy żonę

i córkę Kalwos, z sercem rozdartém przybył do Korfu i objął katedrę filozofii w Akademii jońskieij. Nie długo jednak opuścił to stanowisko pod wpływem rozdrażnienia wewnętrznego i ostatecznie wrócił ścigany przez nędzę do Londynu, gdzie téż i umarł w roku 1869.

Solomos i Kalwos nie posiadają współzawodników, tylko uczniów, do których przedewszystkiem zaliczyć należy: Tertsetisa († 1874), opiewającego wdzięcznie, już to „Korynnę i Pindara,” już téż sprawy swego narodu; Typaldosa, sympatycznego autora takich poematów, jak: „Zniewaga” „Dwa kwiaty” „Dziecię i Śmierć,” i Markorasa, twórcy pięknego poematu „Przysięga.” O Valaoritisie niżej mówić będziemy, gdyż poeta ten, jakkolwiek jończyk, należy do téj z wysp siedmiu, która przez swoje położenie geograficzne i geniusz, zbliża się najwięcej do stałego lądu.

Szkola konstantynopolska powstała w odmiennych zupełnie warunkach. Życie greka pod jarzmem ottomańskim było gnęzione tyśiącem najrozmaitszych przeciwności, krzywd i upokorzeń, które go zmuszały do ustawicznój trwogi o byt swój i co za tém idzie do poddaństwa, do uległości biernój wobec wrogów. W takich warunkach poezya mogłaż być silna, energiczna, wyrazista? Choćby nią nawet być chciała, zgnębiłby ją natychmiast rząd ottomański. To téż poezya téj szkoły przejawia brak siły intelektualnój i moralnój, oddaje się ona zapomuieniu o wszelkich troskach ziemskich, opiewając przeważnie miłość i wino. O ile znów nie jest anakreontyczną, przybiera piękno ironii smutnój, lub przechodzi od goryczy i zniechęcenia do rozpaczyny głęboko tajonój. Inną cechą charakterystyczną szkoły konstantynopolskiej, jest dążność do naśladownictwa dzieł obcych, szczególniej tych narodów, na których Grecya opierała nadzieję swój niepodległości. Przedewszystkiem tłómaczono obficie książki francuzkie, a głównie tragedye Rasyna i Woltera, lub podług tych wzorów pisano utwory oryginalne. Sztuki te przedstawiano albo potajemnie w mieszkaniach prywatnych w Konstantynopolu, albo w Bukareszcie, gdzie był teatr grecki publiczny, pod protekcją gospodarów greckich, lub wreszcie późnziej w Odesie, która na początku tego wieku była miastem prawie greckiém.

Jednym z wybitniejszych dramaturgów był Riso Nerulos, autor „kursu nowożytnój literatury greckiej,” wydanego w Genewie i „Historii Grecyi,” wydanój po francuzku w roku 1828. Umarł on w r. 1849, jako minister króla greckiego, w tym samym Konstantynopolu, gdzie przyszedł na świat niewolnikiem. Do lepszych prac dramatycznych tego pisarza, należą dwie tragedye klasyczne: „Aspasya” i „Poliksena” oraz komedia „Szwargot,” ośmieszająca przesadną gorliwość zwolenników Koraja o poprawność języka. Pisał także poezye liryczne, ale przedewszystkiem celował w satyrze, jak to widzimy z komedyi wzmiankowanój, oraz z poematu heroiczno-komicznego p. t. „Porwanie indyczki,” w którym z niepospolitą siłą humoru wyszydza obyczaje Fanaryotów.

Anakreontem nowogreckim jest Atanazy Christopulos († 1847), którego utwory należą do najpopularniejszych w Grecyi, pełne są bowiem harmonii, prostoty i swobodnego humoru. Ostatnim wreszcie przedstawicielem szkoły konstantynopolskiej jest Tantalides (ur. 1818). Pozbawiony wzroku w 27 roku życia, znosił to straszne kalectwo z rozrzewniającą odwagą i rezygnacją. Nie przerwawszy z tego powodu prac literackich, zajmował godnie katedrę literatury greckiej w szkole teologicznej aż do śmierci (1876). W dziedzinie poezji poszedł za poprzednikami swymi, opiewając miłość i Bachusa, lub chłoscząc obyczaje współziomków.

Ale nie tu koniec szkoły konstantynopolskiej. Ciąg jej dalszy rozwija się już na ziemi greckiej, wyswobodzonej z pod jarzma. Dwaj bracia Aleksander i Panajoti Sutso, rozpoczynają ten nowy okres literatury. Aleksander przybył do Grecyi wykarmiony na wzorach francuzkich. Pierwszą pracą jego była „Historja rewolucyi greckiej,” wydana w Paryżu w r. 1828, poczem dopiero, już na ziemi rodzinnej, wydał dwa tomy satyr p. t.: „Panorama Grecyi,” w których uderza na Capo d'Istria i jego rządy. Niekiedy opiewa z talentem walkę o niepodległość, zawsze jednak przebija w nim narzędzie opozycji. Niezadowolony ze wszystkiego umarł wkrótce po wypędzeniu króla Ottona, w szpitalu greckim w Smyrnie (1863). A. Sutso napisał także trzy komedye: „Cud” „Pierwszy minister” i „Poeta nieujarzmiony;” lecz są to raczej pamflety dyalogowane, aniżeli sztuki sceniczne. Wogóle A. Sutso, naśladuje kolejno Moliera i Byrona, Beranger'a i Bartelemy'ego, wyrażając oryginalność swoją w gorącej sile patriotyzmu, w poświęceniu zupełnym dla wolności, w nieujarzmionym duchu opozycji, oraz w szczęśliwej wielce formie poetycznej swych utworów.

I Panajoti Sutso († 1868) rozpoczął od francuzczyzny, wydawszy w Paryżu w r. 1828 „Ody młodego greka,” wraz z kilku pieśniami wojennymi po grecku. Po powrocie do Grecyi wydał w r. 1831 „Pieśni miłosne,” a następnie najgłośniejszy swój poemat: „Pielgrzym,” będący także pieśnią miłości, napisaną pod widocznym wpływem Byrona i Lamartine'a. Po utworach, opiewających szorstko furją walk krwawych, poemat ten, przemawiający miękkim i pieszczotliwym językiem serca, rozentuzyzmował całą Grecyą. Cztery tragedye tego poety są bez wartości.

Ostatnim wreszcie pisarzem szkoły, którąby francuzką nazwać można, jest Aleksander Rangabé, dzisiejszy poseł przy dworze berlińskim, autor płodności niepospolitej. Pracował w najrozmaitszych kierunkach, poczynawszy od poezji, do matematyki. Poeta, historyk i dyplomata, Rangabé zdobył sobie w Grecyi ogromną popularność. Pomijając mnóstwo przekładów, któremi wzbogacił literaturę grecką, oraz liryczne utwory, nie przekraczające granic wdzięku i wielkiej łatwości wierszowania, zaznaczyć tu musimy napisaną po francuzku „Historjā nowożytnj literatury greckiej” (Berlin, 1877), oraz komedya: „Ślub Kutrulisa,” w której ośmiesza słabostki polityczne Grecyi.

Dążność do naśladownictwa wzorów obcych, naiwna jeszcze na-
pły w szkole konstantynopolskiej, staje się namiętnością w szkole
ateńskiej. Poeci szkoły jońskiej czy pisali, czy nie, w języku własnym,
pozostali zawsze grekami; poeci szkoły konstantynopolskiej naśladowa-
li jedynie. Ale poeci szkoły ateńskiej nie tylko piszą w języku obcym,
lecz nawet są nawskróś przejęci ideami, uczuciami i natchnieniem poe-
tów obcych. Są to pisarze zachodni narodowości hellenńskiej, piszący
tylko po grecku. Objaw ten jest zresztą bardzo prosty. Szkołę ateń-
ską stworzyli grecy, którzy na Zachodzie spędzili prawie całe życie.
Dobrze przyjęci w społeczeństwie, gdzie filhellenizm miał sympatyę,
przyzwyczajali się uważać kraj, w którym żyli, głównie Francją i Niem-
cy, za przybraną ojczyznę swoją. Gdy po wojnie o niepodległość przy-
szło zorganizować nowe państwo, cały ustrój wewnętrzny przeniesiono
do niego żywcem z Zachodu: toż samo było i z literaturą. Lecz jeżeli
łatwe jest do zrozumienia wytworzenie się szkoły ateńskiej, to trudniej
usprawiedliwić jej przetrwanie aż do dnia dzisiejszego. W tym wzglę-
dzie zgubny wpływ wywarł uniwersytet ateński, który narzucając mło-
dym poetom język umarły i walcząc z poezją natchnienia, utrzymywał
tym sposobem w swój sile przystępniejsze dla ogółu, choć łatwe do
zdyskredytowania naśladownictwo wzorów obcych.

Pierwszym laureatem, uwieńczonym na konkursach poetycznych,
przez uniwersytet ustanowionych, był Jerzy Zalokostas, stary żołnierz,
uderzający już to w trąbę wojenną, jak w poemacie: „Missolungi,” już
tż w strunę miłości, jak w innym utworze uwieńczonym: „Armatoles
i Kleftes,” lub w strunę cierpienia rodzicielskiego, jak w apostrofie „do
księżycy,” które ostatecznie rozdarło mu serce w r. 1857. Drobne
liryki Zalokostasa, pisane w języku ludowym, cieszą się w Grecyi po-
pularnością niezaprzeczoną.

Współzawodnikiem Zalokostasa na konkursach poetyckich był
Teodor Orfanides, profesor botaniki w uniwersytecie ateńskim, po trzy-
kroć uwieńczony. Jest to talent przeważnie satyryczny, zimny i ma-
ło oryginalny. Wyżej od niego stoi pod względem uczucia i wdzięku
Demetryon Paparigopulos, syn znakomitego historyka, zmarły przed-
wcześnie w r. 1873, lecz liryki jego i elegie są całkiem pozbawione
oryginalności i w ogóle cech muzy greckiej, podobnie jak i dyalogi
wierszem i prozą p. t.: „Charaktery.” Ten sam charakter noszą na
sobie utwory zgasłego również w trzydziestym roku życia Basiliadesa
(1874) wykarmionego na romantyzmie zachodnim. Obu poprzednich
przewyższa talentem Paraschos, duch posępny i smutny, lubujący się
w cierpieniach i melancholii. Popularność swoją zawdzięcza poeta nie-
tylko talentowi, lecz i używaniu języka ludowego, który przemawiał
wprost do serca greków.

Tym właśnie językiem rozumiałym dla całej Grecyi odznacza
się szkoła epińska, albo lepiej jeszcze narodowa, której dzieła noszą
tż na sobie piętno rasy hellenńskiej. Nie masz w niej najmniejszych
znak naśladownictwa, wszystko jest bezwzględnie oryginalne. Na

czele stoi tu Rigas, poeta-męczennik, oddany katom przez Turków (1798) za wielką miłość ojczyzny. Hymny Rigasa, pełne mężkiej prostoty i siły, natchnione bezgraniczną miłością ziemi rodzinnej, przygotowały Greków do walki najświętszej i roznieciły pierwszą iskrę uczucia narodowego. Jest to grecki Rouget de l'Isle. Drugim poetą tej szkoły jest Vilaras, erudyta, satyryk, bajkopisarz i humorysta, pełen szczerego patriotyzmu († 1823). Wyżej od niego sięga talentem Spiridon Trikupis, poeta i historyk rewolucyjnej Grecji; ale gwiazdą szkoły epijskiej jest Walaoritis, zmarły przed czterema laty. Pieśni ludowe Pindusa i Olimpusa wykarmiły jego fantazję, a przyłączenie wysp Jońskich do Grecji i oswobodzenie Epiru i Tesalii stało się najgorętszym pragnieniem jego życia. Był on nie tylko Tyrteuszem nowej walki, lecz i żołnierzem bohaterskim. Pierwszym utworem, który od razu sławę poety ustalił, są „Pamiętniki,” poświęcone bohaterom niepodległości greckiej. Za nimi idzie poemat: „Frozyna,” opiewający historię pięknej Greczki, utopionej w jeziorze przez Ali-Paszę, za to, że stawiała opór jego żądzy. W innym utworze p. t.: „Atanazy Dyakos,” poeta opiewa jednego z najpopularniejszych bohaterów rewolucyjnej Grecji.

Walaoritis jest wieszczem epoki przedrewolucyjnej okresu epickiego Grecji nowożytnej, którego najgłośniejszym i najbardziej natchnionym był rapsodem.

Łatwo przewidzieć, że w dzisiejszych warunkach istnienia Grecji pierwsze trzy szkoły w niedługim czasie żyć przestaną, a ostatnia epijska, nawskróś narodowa, ogarnie całą hellenowską ziemię.

Taką przepowiednię kończy się książka, którą w skróceniu pobieżnym przedstawiliśmy. Nie jest to praca wyczerpująca, nie czyni zadość wymaganiom ścisłej krytyki, ale daje dostatecznie jasny obraz ruchu umysłowego Grecji w obecnym wieku. Rzecz pisana językiem barwnym, ogrzana wielką miłością przedmiotu, a nadewszystko urozmaicona licznymi wyjątkami ze wszystkich prawie wspomnianych poetów, podanymi wprawdzie w przekładach prozą, ale bardzo starannych i obrazowych. Serdecznie polecamy tę książkę czytelnikom.

J. A. Święcicki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1883. — Akt uroczysty zamknięcia roku naukowego 1882/3 w uniwersytecie warszawskim odbył się w dniu 11-y Września w obecności wielu dostojników rządowych i ciała uniwersyteckiego. Osobom prywatnym wydano biletów wejścia zaledwie kilkanaście, studentów zaś, czego niebyło lat poprzednich, wpuszczano także za biletami wejścia, i tylko tych, którzy mieli na sobie mundury. Sprawozdanie z działalności uniwersytetu w roku ubiegłym odczytał profesor wydziału historyczno-filologicznego p. Tress, i zaznaczył na wstępie, że rok zeszyły smutnie zapisał się w dziejach tutejszego uniwersytetu. Z szeregu profesorów ubyłoby trzech: Andrejew, profesor wydziału lekarskiego, Makuszew, profesor wydziału historyczno-filologicznego, i Baskakow, docent wydziału matematycznego. Drugą stroną smutną stanowią niepokoje studenckie w miesiącu kwietniu, wywołane przez dwustu około studentów, którzy „zapomnieli o obowiązkach swoich i urządzili wzbronione zebranie.“ Jednakowoż, według sprawozdania, w fakcie tym bolesnym można mieć tę przynajmniej pociechę, że w zaburzeniach owych, które wynikły skutkiem okoliczności zaszłych po za obrębem uniwersytetu, brali udział przeważnie studenci pierwszych dwóch kursów, a zatem ludzie młodzi, z charakterem jeszcze niewyrobionym. Następstwem zaburzeń było to, że sąd uniwersytecki z liczby 202 studentów, pociągniętych do odpowiedzialności, wydalil 128 na czas od roku do lat trzech. Odczytawszy rozmaite zmiany w składzie profesorskim (między innymi i wiadomość o dymisji na własne żądanie doktora Piotra Chmielowskiego, mianowanego profesorem historii literatury polskiej), sprawozdawca oznajmił, iż dotychczasowy rektor uniwersytetu, radzca tajny, Błagowieszczenski, na własne żądanie uwolniony został od tych obowiązków, które obejmuje były dyrektor instytutu w Nieżynie, radzca tajny, Ławrowski. Nowy rektor jeszcze nie przybył, zastępuje go czasowo dziekan wydziału historyczno-filologicznego, profesor Nikicki. Potem profesor Tress mówił o stanie laboratoryów, kliniki i biblioteki. W ciągu roku zeszłego otwarto

dwie nowe kliniki: jedną przy szpitalu Św. Ducha, drugą oftalmologiczną przy szpitalu Św. Rocha. Obecnie znajduje się przy uniwersytecie 26 laboratoryów i gabinetów, 8 klinik i 2 oddziały kliniczne. W bibliotece głównej znajduje się 183,165 dzieł w 332,539 tomach, 1,433 rękopisów i 6,128 map, rysunków, oraz nut. W roku upłynionym zakupiono dla biblioteki nowych dzieł za 5,405 rub., a prócz tego przybyły książki i z ofiar prywatnych. Dla czytelnicy studenckiej kupiono książek za 900 rubli, i obecnie jest w niej przeszło 8,200 dzieł w 20,600 tomach przeszło. Katalogowanie biblioteki przez profesorów zmierza już ku końcowi i w niektórych działach jest już zupełnie uskutecznione. Co się tyczy liczby studentów w roku bieżącym, ta jest następująca: Na wydziale historyczno-filologicznym znajdowało się na początku roku zeszłego 30-tu studentów, przybyło 23-ch, ubyło 16-tu, wydano 2-ch, ukończyło kurs 12-tu, pozostało 23-ch. Na wydziale matematycznym było studentów na początku roku 109, przybyło 37, ubyło 37, wydano 10, ukończyło kurs 8, zostało 91. Na wydziale nauk przyrodzonych było studentów 41, przybyło 22, ubyło 9, wydano 17, ukończyło kurs 6, zostało 30. Na wydziale prawnym było studentów 252, przybyło 142, ubyło 39, wydano 15, zmarł 1, ukończyło kurs 24, pozostało 315. Na wydziale lekarskim znajdowało się studentów 463, przybyło nowych 163, ubyło 52, wydano 81, zmarł 1, ukończyło kurs 66, zostało 426. Ogółem na początku roku ubiegłego było studentów 893-ch, przybyło 327, ubyło 94, wydano 125, ukończyło kursa 116, zostało na rok następny 885. Wolnych słuchaczy znajdowało się na początku roku zeszłego 8, przybyło 13, ubyło 18, zostało 3. Farmaceutów było na początku roku 34, przybyło 69, ubyło 18, wydano 3, ukończyło kurs 27, pozostało na rok następny 49. Pomoc materialną udzielano pod postacią uwolnienia od opłaty wpisu, stypendyów i jednorazowych zasiłków. Od opłaty wpisu półrocznego uwolniono studentów 325 na ogólną sumę 8,125 rubli. Między stypendyami największe ministeryalne po 350 rubli rocznie otrzymało trzydziestu studentów, wyłącznie prawosławnych. W ogóle korzystało ze stypendyów 150-ciu studentów, na sumę 36,538 rubli. Jednorazowe zasiłki dawane były dwustu kilkudziesięciu studentom, na sumę ogólną około 7,000 rubli. Razem pomoc materialna dla studentów wyniosła w roku ubiegłym przeszło 52,000 rubli. Rezultatu egzaminów nie można jeszcze oznaczyć z powodu, iż wielu studentów odłożyło je sobie na czas powakacyjny, wyniki wszakże egzaminów przed wakacjami nie są zbyt pomyślne. Za napisanie rozpraw konkursowych na zadany temat otrzymali medale złote: 1) Adam Razumiejczyk, student 4-go kursu wydziału przyrodniczego; 2) Jakób Neumark, student 4-go kursu wydziału prawnego; 3) Marek Borkowski, student 3-go kursu wydziału prawnego; 4) Odo Bujwid, student 4-go kursu wydziału lekarskiego; 5) Kijewski, student 5-go kursu wydziału lekarskiego. Medale srebrne uzyskali: Stefan Cybulski, stud. 4-go kursu wydzia-

tu historyczno-filologicznego i Pawlikowski, stud. 3-go kursu wydziału prawnego. Ukończywszy czytanie sprawozdania, profesor Tress przemówieniem powitał po raz pierwszy obecnego w uniwersytecie tutejszym generał-gubernatora Hurkę, i nadając mu miano bohatera rosyjskiego, wyraził nadzieję niezachwianą, że jak poprzednik jego, naczelnik kraju, obdarzy również opieką swoją uniwersytet warszawski, który w ostatnich latach był w stanie rozwijać się pod dobroczynną pieczołowitością ś. p. generał-gubernatora Albedyńskiego i dzięki niezmiernie pożytecznej działalności kuratora okręgu naukowego, Apuchtina.

— Rozporządzenie rządowe. Z mocy Najwyższej zatwierdzonej d. 18 stycznia 1841 r. ustawy o prywatnych zakładach naukowych, guwernerach i nauczycielach domowych w Król. Pols., oraz z mocy Najwyższego rozporządzenia z dnia 26-go października 1842 r., wydanego w uzupełnieniu i wyjaśnieniu wspomnianej ustawy, wszyscy życzący otworzyć zakład naukowy lub trudnić się nauczaniem w domach prywatnych i prywatnych zakładach naukowych, są obowiązani posiadać przepisane świadectwa, wydawane przez kuratora okręgu naukowego warszawskiego. — Atoli szczególnież ostatniemi czasy poczęto otwierać wiele szkół bez poprzedniego upoważnienia władzy szkolnej, przyczem się wyjaśniło, iż to zjawisko, będące pogwałceniem wspomnianej Najwyższej zatwierdzonej 18-go stycznia 1847 r. ustawy o prywatnych zakładach naukowych, guwernerach i nauczycielach domowych w Królestwie Polskiem, jest następstwem niewłaściwego wykładu przez ludność miejscową, ogłoszonego w dziennikach okólnika ministerium wychowania publicznego z dnia 14-go lutego r. z. za N. 1931 o nauczaniu domowem po wioskach, a to przez rozciągnięcie tego okólnika na gubernie Królestwa Polskiego. — W skutek tego kurator okręgu naukowego warszawskiego poczytuje za rzecz potrzebną wyjaśnić: a) że rozporządzenie ministerium wychowania publicznego z dnia 14-go lutego r. z. za N. 1931, nie rozciąga się na gubernie wchodzące w skład okręgu naukowego warszawskiego; b) że w kraju tutejszym zachowuje całą moc obowiązującą Najwyższej zatwierdzonej d. 18 stycznia 1841 r. ustawa o prywatnych zakładach naukowych, guwernerach i nauczycielach domowych w Królestwie Polskiem, oraz Najwyższe rozporządzenie z dnia 26-go października 1842 r.; oraz c) że na zasadzie przytoczonych praw, osoby otwierające zakłady naukowe, lub w ogóle trudniące się nauczycielstwem w domach prywatnych, nie posiadając stosownego na to upoważnienia, podlegają karze pieniężnej w wysokości prawem oznaczonej, a nieprawnie otwarte zakłady naukowe kwalifikują się do zamknięcia.

— Dnia 8-go września odbyła się w Krakowie uroczystość koronacyi obrazu Najświętszej Maryi Panny, poprzedzona całym szeregiem tygodniowych nabożeństw, w kościele kks. Karmelitów na Piasku. Kościół ten cichy dotąd i znany zaledwie turystom z legendowego kamienia z odciskiem „stopki królowej Jadwigi,” przepę-

niał przez cały tydzień lud ze wszystkich stron kraju się gromadzący. Napływ pobożnych w dniu 8-m b. m. doszedł jednak do kulminacyjnego punktu, i nagromadzenie pobożnych w licznych kompaniach i pojedynczo przybywających, porównać chyba można z napływem ludu na jubileusz również w dniu 8-m września w Częstochowie w roku zeszłym obchodzony. Deszcz od samego rana padał nie ustając ani na jedną chwilę, nie mógł jednak rozproszyć tłumów, które pragnęły asystować rzadkiej uroczystości kościelnej. Sama uroczystość wewnątrz kościoła odbyła się z największą wspaniałością. Koronacy dopełnił ks. biskup krakowski, Albin Dunajewski. Świetne kazanie z ambony wygłosił jeden z najlepszych mówców kościelnych polskich, arcybiskup ormiański ks. Issakowicz, przybrany w szaty pontyfikalne. W ogóle w akcie tym, brało udział 9-u biskupów, z których jeden z godnością arcybiskupią; reprezentowali oni wszystkie trzy obrządkie katolickie. Mianowicie z episkopatu łacińskiego, obecni byli księża: biskup krakowski Dunajewski, biskup przemyski Solecki, biskup in partibus (dawniej wileński) Krasieński, biskup suffragan lwowski Morawski, biskup suffragan przemyski Łoboz i biskup suffragan poznański Janiszewski; z episkopatu greckiego: biskup przemyski Stupnicki, oraz biskup suffragan i administrator archidiecezyi lwowskiej ksiądz Sembratowicz; nakoniec obrządek ormiański reprezentował ks. arcybiskup Issakowicz. Oprócz nabożeństwa w kościele, odbywały się pomimo niepogody msze święte na dziedzińcu klasztornym, przy oktarzu umyślnie w tym celu wystawionym, na wysokim wzniesieniu pod baldachimem, a z prowizorycznej ambony przemawiali kapłani do ludu. Najwspanialszej jednak części uroczystości nie można było dopełnić: mianowicie z powodu słoty zaniechać musiano wspaniałej processyi, która miała pod wieczór przez miasto przeciągać, i dla której właśnie wzniesiono na plantacjach pomiędzy ulicą Szeroką a Dominikańską, piękną bramę tryumfalną z transparentem obrazu ukoronowanego z jednej, a króla zwycięzcy z pod Wiednia, który niegdyś modlił się przed tym obrazem, z drugiej strony. Wieczorem miasto zaświetliło illuminacją. Nie była to wprawdzie illuminacja ogólna, wiele okien było ciemnych zupełnie, ale inne natomiast oświetlono nader rzęsiście i przyozdobiono obrazem i kwiatami, szczególniej rynek, ulice śródmieścia i Piasku. Rynek oświetlono przytém 10-u lampami elektrycznymi. Ludu pomimo deszczu było na ulicach pełno.

— W Krakowie odbyło się dnia 4-go b. m. poświęcenie nowo założonego gimnazjum, pod nazwą Jana III. Uroczystość rozpoczęła się rano o godzinie 9-jej. Po przemówieniach, najprzód prezydenta miasta d-ra Weigla, a następnie p. Badeniego, oraz dyrektora szkoły p. Brzezińskiego, zgromadzenie całe udało się do kościoła dla wysłuchania mszy św., którą odprawił ks. biskup Dunajewski. Przemowę jego do młodzieży, zachęcającą ją do pracy dla dobra społeczeństwa i kraju, zakończyło udzielone młodzieży błogostawieństwo.

— W Galicyi liczą dotąd jeszcze 2500 gmin, niemających szkoły.

Praktyczny pogląd na potrzeby krajowe marszałka sejmu lwowskiego, d-ra. Żybkiewiczza doprowadził go do wniosku, że pilniejszą jest rzeczą zaopatrzyć co rychlej wszystkie gminy krajowe w szkoły, aniżeli wyposażyć jedne z nich w szkoły doskonałe, a innym na lat dziesiątki odbierać nadzieję zdobycia tych krynic wiedzy. W tym celu przedstawił sejmowi następujący projekt, zasługujący na uwagę szerszego koła społeczeństwa polskiego. Art. I. „Znosi się postanowienie artykułu 12 ustawy szkolnej z dnia 2 maja r. 1873, które orzeka, iż nie należy powiększać liczby szkół z uszczerbkiem lepszego urządzenia już istniejących. Istniejące dziś szkoły ludowe publiczne pozostać mają co do urządzenia swego w obecnym stanie tak długo, dopóki każda gmina nie otrzyma swęj szkoły lub do innej szkoły nie będzie przydzielona; wstrzymać więc należy na ten czas dalsze przekształcenie szkół istniejących na szkoły etatowe, tudzież powiększanie w nich liczby nauczycieli, wyjąwszy, gdy gmina sama poniosłaby koszta lepszego urządzenia swęj szkoły. W szkołach, w którychby obecna liczba nauczycieli, z powodu wzmagającej się frekwencji, nie wystarczała, brak nauczycieli zaprowadzeniem nauki półdziennęj zastąpić należy. Powody do art. I: Dziesięć lat ciągłej organizacyi szkół istniejących i ciągłego ich ulepszania powinno było wystarczyć, aby te szkoły doprowadzić do stanu dobrego, a to témbardziej, że koszta ulepszenia ich wzrosły z 700,000 na 1,600,000 złr. rocznie, a ponieważ mamy w kraju około 2,500 gmin, które żadnej szkoły nie mają, przeto wymaga sprawiedliwość, a nawet zwyczajna słusność, abyśmy te gminy w szkoły zaopatrzyli, zwłaszcza, że te gminy przez lat 10 już płacą dodatki do podatków na dwojaki fundusz szkolny, na okręgowy i krajowy, z którego same zgoła nie korzystają i jedynie do utrzymania szkół innych szczęśliwszych gmin się przyczyniają. Czas więc po 10 latach położyć kres tej niesprawiedliwości i pomyśleć o szkołach dla nich samych. Nauka półdniowa znaną jest oddawna w Niemczech, a zwłaszcza w Saksonii, gdzie nawet nie jest wyjątkową, lecz zasadniczą w szkołach niższych, a to dla tego, aby uczeń, mający zostać rolnikiem lub rzemieślnikiem, mógł się obok szkoły wprawiać także do rolnictwa i rzemiosła. Art. II. Każda gmina, licząca 40 dzieci w wieku szkolnym, która nie ma dotąd swojej własnej szkoły publicznej, ani do żadnej innej nie jest przydzielona, winna sama lub w połączeniu z gminą sąsiednią otworzyć szkołę publiczną najdalej w dziesięciu latach od ogłoszenia niniejszej ustawy. Powody: W krótszym czasie trudno pozaprowadzać szkoły w całym kraju, wypadnie bowiem i tak 250 szkół na każdy rok. Art. III. Szkoła ta może być początkowa, czyli tymczasowa tylko, nauka w niej będzie półdniowa i ograniczać się może do religii, czytania, pisania i rachunków, zwłaszcza pamięciowych. Powody: Szkół ze szerszym programem niepodobna będzie potworzyć w przeciągu lat 10, wszakże wolno będzie gminie, którą stać na siły nauczycielskie i środki materialne, urządzić własnym kosztem szkołę na szerszą skalę. Art. IV. Wydział krajowy

orzeka: gdzie i kiedy szkoła początkowa zaprowadzoną być powinna. Art. V. Na każdy powiat zamianuje wydział krajowy na przedstawienie prezesa rady powiatowej, jednego lub kilku inspektorów i powierzy ich gorliwości obywatelskiej zakładanie szkół początkowych. Powody do art. IV i V: Zakładanie szkół jest zadaniem więcej gospodarczém i administracyjném, aniżeli naukowém, łatwiej więc sprosta zadaniu temu wydział krajowy z 74 radami powiatowemi, aniżeli rady szkolne okręgowe, które dla braku odpowiednich sił nie były dotąd w stanie swoich rachunków w porządku utrzymać i tak je zaniedbały, że od lat 10 żadnych prawie nie mają. Art. VI. Nauczycieli i nauczycielki tych szkół mianować będą prezesi rad powiatowych na przedstawienie zwierzchności gminnych; kwalifikacye ustawą szkolną z roku 1873 przepisane, nie będą od nich wymagane, jednakże kandydat, nie mający powyższych kwalifikacyi, wtedy tylko mianowany być może, jeżeli się wykaże świadectwem inspektora, iż dla szkoły początkowej posiada dostateczne wykształcenie. Powody: Trzeba koniecznie uwolnić nauczycieli od kwalifikacyi obowiązujących, musielibyśmy bowiem czekać zanadto długo, zanimby nam seminarya nauczycielskie potrzebną ilość nauczycieli dostarczyły; brak ukwalifikowanych nauczycieli jest zarazem powodem, dla którego nauka w szkołach początkowych ograniczać się może tylko do czytania, pisania, rachunków i religii. Art. VII. Począwszy od pierwszego półrocza, następującego po ogłoszeniu téj ustawy, każda gmina, nie mająca szkoły, założyć winna fundusz szkolny miejscowy; opłacać przeto będzie wraz ze swoim obszarem dworskim dodatki do podatków, artykułem XVII-ym ustawy szkolnej z r. 1873-go przepisane. Powody: Gminy takie nie płacą dotąd nic na fundusz szkolny miejscowy, należy je przeto copędźej pociągnąć do tych opłat, aby miały środki na utrzymanie nauczycieli. Art. VIII. Wysokość płacy nauczyciela, jak i oznaczenie różnych dogodności w naturze, zależeć będzie od dobrowolnej umowy inspektora i zwierzchności gminnej z jednej a nauczyciela z drugiej strony; o ileby jednak fundusz miejscowy na to nie wystarczał, wydział krajowy z funduszu krajowego dopłaci resztę; w takim razie jednak umowa względem płacy winna być wydziałowi krajowemu przedłożoną do zatwierdzenia. Art. IX. Każda szkoła nowo utworzona przejdzie natychmiast pod zarząd i nadzór władz szkolnych, ustawami do tego powołanych. Art. X. We wszystkich szkołach wiejskich i małomiejskich, już istniejących, będzie wprowadzona nauka półdniowa, a nauczyciele, którzyby się przez to stali zbędnymi, otrzymają posady przy szkołach założyc się mających, z temi samými emolumentami, jakie obecnie pobierają. Art. XI. Lepsze urządzenie szkół rozpocznie się na nowo z chwilą, gdy każda gmina będzie miała swoją szkołę, chociażby tylko początkową.

— W szkole krawiectwa, istniejącej przy magazynie Zjednoczonych krawców na ulicy Długiej, odbył się dnia 22 Września egzamin roczny. Szkoła, oprócz uzdolnienia fachowego, daje swym wycho-

wańcom elementarne wykształcenie ogólne. Uczniowie wprawiają się nietylko do szycia, kroju i rysunku technicznego, lecz nadto w czytanie, pisanie, rachunek, otrzymują początki geografii handlowej i t. p., ku czemu służą wykłady dwóch profesorów gimnazjum odbywane po kilka razy na tydzień. Pod obu względami wykształcenia ogólnego i technicznego, uczniowie na egzaminie dowiedli widocznych postępów. Na nieszczęście szkoła liczy zaledwo 13-tu uczniów, wymownie świadczących o tém, że rzemieślnicy nasi nie chcą się uczyć.

— „Austryackie odkrycia w Azji Mniejszej.“ Pod tym tytułem ukazała się w Krakowie zajmująca praca profesora uniwersytetu Jagiellońskiego p. Maryana Sokołowskiego. Autor ocenia sprawiedliwie wyprawy naukowe podejmowane na różnych krańcach starożytnego świata, gdy mówi: „Nie sądzimy, aby te poszukiwania miały wyłącznie teoretyczną doniosłość. Jesteśmy przekonani, że mogą one mieć z całym zasobem badań z niemi związanych, nierównie większe i żywsze dla naszej cywilizacyjnej przyszłości następstwa. Nienapróżno się świat niemi tak gorąco i skrzętnie zajmuje, nienapróżno im tyle nakładów i trudów poświęca, nienapróżno z tak wielkiem zajęciem za przebiegiem ich i za postępem śledzi. Kto wie, czy w nich nie leży klucz do tego zwrotu, który po naszej materyalistycznej epoce na polu kultury i sztuki nastąpić powinien? Czyż z instynktami naturalistycznymi naszych czasów, z obserwacją, zwróconą wyłącznie do indywidualnych i przypadkowych cech otaczającego nas świata, z umysłem nieczułym na abstrakcyjne i idealniejsze pojęcia, przy szarym i ścieśnionym widnokreśgu w około, możemy znaleźć bardziej ożywczą iskrę odrodzenia gdzieindziej, prócz w zetknięciu z tą szlachetną starożytnością, która niemniej niż nasze czasy, w naturze źródła i punktu wyjścia swój twórczości szukała, lecz umiała z jój żywego łona wysnuć prawa ideału?“

— W drukarni J. Bergera w Warszawie ukazała się bardzo cenna książka, mająca doniosłe znaczenie dla rozwoju nauk przyrodniczych w literaturze polskiej, p. t.: „Sprawozdania z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych. Rok pierwszy 1882. Wydanie z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia Dr. Józefa Mianowskiego.“ Jest to dokładne, katalogowym sposobem sporządzone, zestawienie wszystkich prac, ukazujących się w ciągu roku na niwie nauk przyrodzonych. Przy wymienianiu tytułu każdej z tych książek znajduje się zarazem dokładne jój streszczenie, dające doskonały miniaturowy wizerunek omawianej książki lub artykułu. Specjaliści znajdują w tém dziełku możność łatwego i dokładnego zasięgnięcia wskazówek w ogóle prac swojskich, ich specjalności dotyczących. W interesie zatem wszystkich ludzi nauki lub jój miłośników leży jak najgorętsze popieranie tych roczników.

— Medal pamiątkowy na cześć Sobieskiego jest rzadkiej wielkości, a wykonanie czyni go prawdziwem dziełem artystycznem i medalierowi, słynnemu p. Tautenhayn'owi w Wiedniu zaszczyt prawdzi-

wy przynosi. Dodać należy, że komitet starał się wszelkimi siłami znaleźć do téj pracy medaliera rodaka, ale zabiegi jego były daremne. Nadesłanych przez krajowych artystów próbek przyjąć było niepodobna. Medal p. Tautenhayn'a wyobraża na licu popiersie Sobieskiego w koronie i łuskowym pancerzu deliä przykrytym; dokoła napis: „Johannes III. Rex Poloniae, Magnus Dux Lithvaniane.“ Na odwrotnej stronie siedm wierszy z następującym napisem: „Ob solutam obsidio Vindobonam, fractumque Turcarum robur, invictissimo duci pio animo memor posteritas. A. 1883.“ Dokoła tego napisu wieniec laurowy i napis: „Fulmen Poloniae, lumen Europae, horror Orientis.“

— Znaną jest rzeczą, że papież Innocenty XI przesłał Sobieskiemu po odsieczy wiedeńskiej różne dary pamiątkowe. Jeden z nich znajduje się w kościele na Piasku (Sandkirche), w Wrocławiu. Jest to monstrancya srebrna z częstką Krzyża Św., umieszczona pod szkłem kryształowém, którą darował królewicz Konstanty Władysław z warunkiem, aby zdobiła ołtarz Krzyża Św. w kaplicy Św. Trójcy. Drugą pamiątkę po Sobieskich mieści kościół farny w mieście Mittelwalde na dolnym Szlązku. Jest to obraz Matki Boskiej, szeroki 45, a wysoki 57½ ctm. Malowany na płótnie, przedstawia Madonnę z złożonymi rękami. Cały niemal obraz pokrywa grubo złożona blacha miedziana, mająca formę płaszcza, który ku dołowi fałdzisto cyzelowany, otwiera się tak, iż ukazuje tylko oblicze, szyję i ręce. W twarzy ciemnej barwy przebija obok łagodności żałośliwość. Twarz jest dobrze zachowana, natomiast inne części obrazu nieco uszkodzone. Z odwrotnej strony obrazu jest napis: „Hanc imaginem miraculosam B. V. M. ex gratia sedis Apostol.: obtinui Romae 1713. Alex. Sobieski, Pr. Pol. etc. Za pośrednictwem administratora parafii w Mittelwalde, ks. Hatschera, udało mi się zebrać następujące wiadomości o tym obrazie, któremi śpieszę się z wami podzielić. W pierwszej połowie wieku XVIII-go dostał się ten obraz za niemałą sumę baronowi v. d. Goltz z Glatzu. Właściciel Mittelwalde, hr. Otto Althann, pragnąc go nabyć dla kościoła w Mittelwalde, którego był kollatorem, polecił proboszczowi swemu, ks. Exnerowi, aby się zwrócił do barona Goltza z prośbą o odstąpienie obrazu. Goltz skłaniał się do prośby, ale pod warunkiem, że hrabia Althann nie odmówi i jemu pewnej prośby, której osnowy bliżej nie znamy, dosyć, że hr. Althann zgodził się na propozycyą i p. Goltz obraz niebawem nadesłał do Mittelwalde. Działo się to 24 lutego 1750 r. Odtąd zdołał obraz „Matki Boskiej Sobieskiego” wielki ołtarz kościoła w Mittelwalde aż do r. 1831, kiedy wyjęty z wielkiego ołtarza umieszczono po lewej stronie presbiterium, nad stallami w ramie złoconej, wyrzynanej z drzewa. Z tą ramą wynosi dziś szerokość obrazu 95, a wysokość 98 ctm. Podczas restauracyi kościoła w r. 1882 opatrzył administrator dzisiejszy, ks. Hatscher, obraz pomieniony osłoną z drzewa i umieścił kopię napisu, znajdującego się na odwrotnej stronie obrazu, na przodzie, na odpowiednim medalionie. Tradycya, oraz kroniki szlązkie opiewają jednozgodnie, że obraz darował był papież

Innocenty XI Sobieskiemu w dowód uznania zasług, położonych przez niego około Chrześcijaństwa przez oswobodzenie Wiednia w r. 1683. Tymczasem napis oryginalny, umieszczony na odwrotnej stronie obrazu, brzmi wyraźnie, że go otrzymał od papieża w r. 1713 w Rzymie książę Aleksander Sobieski. Baron v. d. Goltz, przesyłając obraz do Mittelwalde, dołączył list, w którym czytamy: „Jest to obraz, który słusznie prym trzyma między innymi podobnemi, bo sędzę nie bez słuszności *ex connexione*, że go darował papież dla uczczenia sławnego króla polskiego, Sobieskiego, który tyle bitw zwyciężkich stoczył z Turkami, oswobodził z pod ich jarzma tyle prowincyi i uratował aż sam Wiedeń.” Jakże teraz pogodzić tę tradycyą z napisem na obrazie samym? Nie mając faktycznych danych, pozwolę sobie tymczasem rzucić domysł, że papież Innocenty XI podarował wprawdzie obraz królowi Sobieskiemu, jak opiewa tradycya i kroniki, gdy jednak król umarł (1696), nie odebrawszy obrazu, mógł powstać w familii spór o jego posiadanie, który stolica Apostolska, wezwana o rozstrzygnięcie, tak załatwiła, iż obraz księciu Aleksandrowi, w Rzymie właśnie będącemu, przyznała ¹⁾. Z powyższego przychodzimy do następujących wniosków: 1) że obraz jest bardzo stary; 2) że pochodzi od księcia Aleksandra Sobieskiego; 3) że dostał się w jego posiadanie z łaski Stolicy Apostolskiej w r. 1713; 4) że stał się w r. 1750 własnością kościoła w Mittelwalde, za przyczynieniem się hr. Althann. Bach, historyk kościelny hrabstwa Kłodzkiego, twierdzi, że Wacław hr. Althann otrzymał był obraz od samej królowej Sobieskiej, ale nie powiada, czy po śmierci księcia Aleksandra, czy jeszcze za jego życia. Goltz był najprawdopodobniej spokrewniony z Althannami, ztąd o obrazie wiedział, a gdy przyszło do regulacyi jakiegoś spadku, który zawierał w sobie i obraz rzeźbony, procesem praw swych dochodził, które prawdopodobnie większy walor miały, niż prawa Althannów mittelwaldzkich. Gdy zaś Goltz wygrał proces, odstąpił obraz, ale nie Althannom, tylko kościołowi w Mittelwalde, nadmieniając w odnośnym piśmie, że czyni to jako *opus bonum*, jako *pium legatum* (list Goltza do ks. Exnera z 24 lutego 1750 r.). Rodzina Althannów miała dawne stosunki z Polską. Już za Zygmunta III spotykamy hr. Althann, jako jednego z jego przybocznych doradców i fundatora bractwa *miseri cordiae Christianae*, a za panowania Sobieskiego był przez lat dwa, t. j. w r. 1678 i 1679, posłem cesarskim w Polsce ten sam hr. Wacław Althann, któremu, wedle wyraźnego twierdzenia Bacha, miała królowa Sobieska darować obraz, o którym mówimy.

Ludwik Żychliński.

— Jan Turgeniew. Znakomity powieściopisarz rosyjski, zmarł dnia 3-go września we wsi Bougival pod Wersalem. Strata to wielce bolesna dla całej literatury europejskiej, wśród której zmarły jaśniał jako gwiazda pisarska pierwszej wielkości; lecz nadewszystko strata olbrzymia dla piśmiennictwa rosyjskiego, w którym nie było równego

¹⁾ Nadmienić wypada, że ta konjektura nie odnosiłaby decyzji do Innocentego XI, bo papież ten umarł 1689 r. (*Przyp. Red.*).

Turgeniewowi. Iwan, czyli Jan Turgeniew, urodził się w listopadzie 1816 r.; był potomkiem starój i zamożnej rodziny bojarskiej, co mu jednak nie przeszkodziło od młodu przejąć się wyobrazeniami nowoczesnemi i pracować nad ich szczepieniem w społeczeństwie swoim. Wyobrażenia te zresztą były poniekąd dziedziczne w domu Turgeniewów; jeden z nich bowiem już na początku bieżącego wieku pracował nad polepszeniem bytu włościan, o czém wtedy nikt ani myślał w Rosyi. Wychowanie uniwersyteckie pobierał Jan w Moskwie i Petersburgu, a następnie od r. 1840 w Berlinie, gdzie słuchał wykładów historii i filozofii. Nie zagrawszy miejsca na urzędowaniu w ministeryum spraw wewnętrznych, poświęcił się całą duszą piśmiennictwu, pisał wiersze, tłómaczył utwory pisarzy obcych, brał nawet udział w publicystyce. Dopiero po kilku latach różnych prób i usiłowań, trafił na właściwą swojemu talentowi drogę powieściopisarstwa. Rok 1847, w którym się ukazała pierwsza powiastka Turgeniewa, przyjęta z wielkiem uznaniem przez publiczność, wyrzekł o przyszłości pisarza. Nie pisał zbyt wiele, lecz każdy prawie rys swoich utworów obmyślał głęboko i wygadzał aż do najmniejszych drobnostek. Podniosłość pomysłu wciąż kojarzy się u niego z uderzającą wiernością rysunku i pięknoscia wykończenia. Dzieła jego, odbijające na tle powieści całe prądy społeczne, nieraz rozświecające ponure głębokie zbiorowego łamanania się ludu rosyjskiego, wyrokujące o pracy narodu, w sądach pełnych umiarkowania i miłości dobrego, rozchwytywano nie tylko w Rosyi, lecz i w całej Europie. Tłumaczono je na wszystkie główne języki Europy zachodniej i na wszystkie niemal słowiańskie. Na język polski są przełożone najcenniejsze utwory Turgeniewa: „Pamiętniki Myśliwca,” „Ojcowie i Dzieci,” „Dym,” „Nowina,” nie licząc wielu utworów drobniejszych, umieszczanych w czasopismach. Od lat 30 bardzo często, a od lat 20 niemal stale Turgeniew mieszkał w Niemczech lub we Francyi; do ojczyzny zaś przybywał na krótko, i zwykle wtedy cały czas spędzał w swych dobrach wiejskich. Od lat kilku coraz bardziej podupadał na zdrowiu, aż nareszcie długa, nieuleczalna choroba złamała potężny niegdyś organizm... Zwolennik cywilizacji zachodniej stał się jeszcze po śmierci przedmiotem napaści tych, dla których nie tylko aryjskie, ale i nowoczesne światło z Azji ma nam przyswiecać.

— Świeżo ukazało się w druku doroczne Sprawozdanie sądu okręgowego w Warszawie, wygotowane z rozporządzenia prezesa sądu przez sekretarza, p. Rudnickiego, a w tym roku powiększone jeszcze drugą broszurą, mianowicie „Sprawozdaniem rady adwokatów przysięgłych w latach 1876—1883 r.“ Z obszernych tych dwóch relacyj podała „Gazeta Warszawska“ (Nr. 196) następujące szczegóły: skład osobisty sądu okręgowego warszawskiego w dniu 13 stycznia r. b. stanowili, prezes, 5 wice-prezesów, 21 sędziów, 25 sędziów śledczych, 7 sekretarzy, archiwista, 2 pomocników archiwisty, 17 pomocników sekretarzy, 10 komorników sądowych, 10 woźnych sądowych, 25 kandydatów do posad sądowych, 24 regentów przy sądzie okręgowym, 12 przy sędziach pokoju m. Warszawy i 20 przy sę-

dziach pokoju gub. Warsz. Z liczby 25 kandydatów do posad sądowych, owych aplikantów, którzy latami całemi wyczekują na posadę, omijającą ich niejednokrotnie skutkiem warunków miejscowych, 9 pracowało w 2 wydziałach karnych, a z pośród nich 2 w charakterze tłómaczów, 4 w 3-ch wydziałach cywilnych, 8 w 2-ch wydziałach hipotecznych i 1 w kancelaryi prezesa. Jak wynagradzana jest ich praca, świadczy sprawozdanie, wykazując, że z ogólnej liczby kandydatów, tylko 6 pobierało miesięcznie od 15 do 25 rubli, 3-ch kandydatów zaś, będących w oddziałach śledczych dla samodzielnego prowadzenia śledztw, otrzymywało po 30 rubli miesięcznie. Na utrzymanie całego składu osobistego sądu okręgowego razem z prokuraturą, według budżetu ministerjum sprawiedliwości, wyznaczona była na rok zeszły suma 200,158 rubli. Z kwestyi poruszonych w roku zeszłym przez prezesa sądu okręgowego i oddanych przez niego pod rozstrzygnięcie sądu okręgowego, największe u nas budzi zajęcie sprawa zniesienia komisji obrończej. Tak zwany „Nakaz ogólny” sądu okręgowego warszawskiego ustanowił przy sądzie komisją z grona adwokatów przysięgłych, w celu, „aby ta komisya ułatwiała sądowi stosunki z adwokatami przysięgłymi, a także celem lepszego urzeczywistnienia prawa dozoru ze strony sądu nad ich działalnością.” Tak zadanie komisji określa art. 172 nakazu, a tymczasem, jak opiewa rzeczony sprawozdanie sądu, na zasadzie dokumentów z kancelaryi prezesa, jak i na skutek przejrzenia kancelaryjnych czynności komisji, niepodobna było nie wnioskować, że rezultat praktyczny działalności komisji adwokatów (izby obrończej), w ciągu całego jej istnienia, ogranicza się wyłącznie do podawania wniosków na prośby osób, starających się o przyjęcie ich do liczby adwokatów przysięgłych. Udział komisji w pośredniczeniu między sądem i adwokatami przysięgłymi był bardzo nieznaczny. Co się zaś tyczy pomagania sądowi w lepszym urzeczywistnianiu prawa dozoru z jego strony nad adwokatami przysięgłymi, działalność komisji, jak powiada sprawozdanie, okazała się nietylko zgoła niedostateczną, ale wprost sprzeczną z wyżej pomienionym zadaniem „pomagania sądowi.” Charakterystyczną cechą działalności komisji (izby) obrończej w ostatnich czasach, począwszy od 1880 r., była—zawsze według sprawozdania—systematyczna powolność i niedbalstwo w wykonywaniu zleceń sądu w kwestyi dostarczania wiadomości uprzednich w sprawach dyscyplinarnych adwokatów przysięgłych, a także i w innych kwestyach, mających na celu urzeczywistnienie dozoru sądu nad działalnością adwokatów przysięgłych. Doświadczenie udowodniło więc, że istnienie komisji nie daje żadnej korzyści praktycznej w kwestyi dozoru nad adwokatami przysięgłymi. Rezultatu tego, zdaniem sądu, nie można tłómaczyć wyłącznie taką okolicznością przypadkową, jak ten lub inny skład osobisty komisji, ale wynika oczywiście z samych zasad organizacyi komisji, jako instytucyi, nie mającej głosu decydującego (dlaczego jej go nie dać?), ani w kwestyi urządzania, ani w kwestyi zarządzania stanem adwokatów przysięgłych, a zatem pozbawionej tego bodźca moralnej odpowiedzial-

ności za godność i działalność stanu adwokatów, od jakiego-to bodźca zależy pomyślnie działanie izb obrończych. Ubolewając więc nad brakiem rozleglejszych praw dla tutejszej izby obrończej, sąd okręgowy pozbawił ją tych, jakie miała, i na zasadzie artykułu 174 osobnego nakazu uznał za odpowiednie izbę obrończą znieść w zupełności, co też, jak wiadomo, uczynił.

N e k r o l o g i a.

— † Ś. p. dr. *Stanisław Koźmiński*, znany okulista, autor „Słownika Lekarzy Polskich,” długoletni bibliotekarz Towarzystwa lekarskiego w Warszawie, zmarł dnia 14 września r. b. w Piotrkowskiem, w powrocie z za granicy do Warszawy. Koźmiński urodził się w Warszawie dnia 22 maja 1837 r. i tutaj odbywał nauki gimnazjalne, poczem dla słuchania wykładów medycyny udał się w r. 1856 do Moskwy, gdzie pozostawał do r. 1861. Znalazłszy się w r. 1863 za granicą, uzupełniał wykształcenie lekarskie w Pradze, Wiedniu i Paryżu, a następnie raz jeszcze w r. 1867 jeździł za granicę, dla doskonalenia się w okulistyce pod kierunkiem Gräfe'go w Berlinie. Mieszkać w kraju, był chwilowo lekarzem obwodowym w Zakroczymiu, następnie asystentem w klinice okulistycznej profesora Szokalskiego w Szkole Głównej, w końcu zaś konsultantem Szpitala Dziecinnego przy ulicy Aleksandrya w Warszawie. Wybrany na członka Towarzystwa Lekarskiego, Koźmiński od roku 1871 był kustoszem biblioteki Towarzystwa, którą do wzorowego porządku doprowadził. Wśród licznych prac pisarskich nieboszczyka, drukowanych już-to osobno, już w czasopismach lekarskich i w „Gaz. Warsz.,” naczelnie trzyma miejsce ledwo do połowy doprowadzony „Słownik Lekarzy Polskich,” nad którym w ostatnich latach życia usilnie pracował Koźmiński, a którego drugi zeszyt niedawno ukazał się w obiegu. Do reszty dzieła pozostały materyały, ale ręka, która z nich budowała, niespodziewanie skrzepła na wieki, z niewymownym żalem wszystkich, którzy znali zmarłego.

SPROSTOWANIE.

W zesz. Bibl. Warsz. za wrzesień r. b. Str. 373 wiersz 14 i 11 od dołu: zamiast *bulowa* czytaj *bulawa*. Str. 374 wiersz 13 od góry zamiast *Askertaz* czytaj *Askertar*.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.